

TONI  
SEN  
YSKI



PATY

C U D A  
P O L S K I



*Zew Karpat*

PIĘKNO PRZYRODY / POMNIKI PRACY  
ZABYTKI DZIEJÓW

» C U D A P O L S K I «

---

*W cyklu tym ukazały się następujące tomy:*

JERZY SMOLEŃSKI  
MORZE I POMORZE

ALEKSANDER JANOWSKI  
WARSZAWA

JERZY SMOLEŃSKI  
WIELKOPOLSKA

STANISŁAW WASYLEWSKI  
LWÓW

GUSTAW MORCINEK  
ŚLĄSK

F. ANTONI OSSENDOWSKI  
POLESIE

JERZY REMER  
WILNO

RAFAŁ MALCZEWSKI  
TATRY I PODHAŁE

F. ANTONI OSSENDOWSKI  
PUSZCZE POLSKIE

F. ANTONI OSSENDOWSKI  
HUCULSZCZYŻNA

JAN KILARSKI  
GDAŃSK

ALEKSANDER PATKOWSKI  
SANDOMIERSKIE

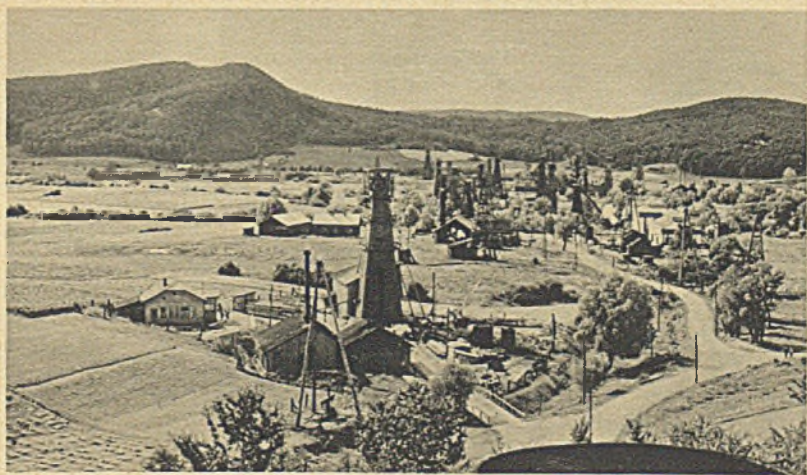
TADEUSZ ŁOPALEWSKI  
MIĘDZY NIEMNEM A DŹWINĄ

*Dalsze tomy w przygotowaniu*

W~~o~~ 287

F. ANTONI OSSENDOWSKI

# KARPATY I PODKARPACIE



*U stóp Karpat wyrósł polski przemysł naftowy*

~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH~~

~~287~~

WYDAWNICTWO POLSKIE  
R. WEGNERA  
POZNAŃ



Ossen.  
Karp.  
~~284~~

908

W SZELKIE PRAWA ZA STRZEZONE

\*

Uklad ilustracyjny i graficzny  
JANA KILARSKIEGO

\*

Druk rotograwurowy rycin wykonaly Zaklady  
BIBLIOTEKI POLSKIEJ W BYDGOSZCZY

\*

DRUK TEKSTU CONCORDIA S. A. POZNAŃ

\*

Okladka wielobarwna wedlug obrazu  
KAZIMIERZA SICHULSKIEGO

\*

Printed in Poland

\*

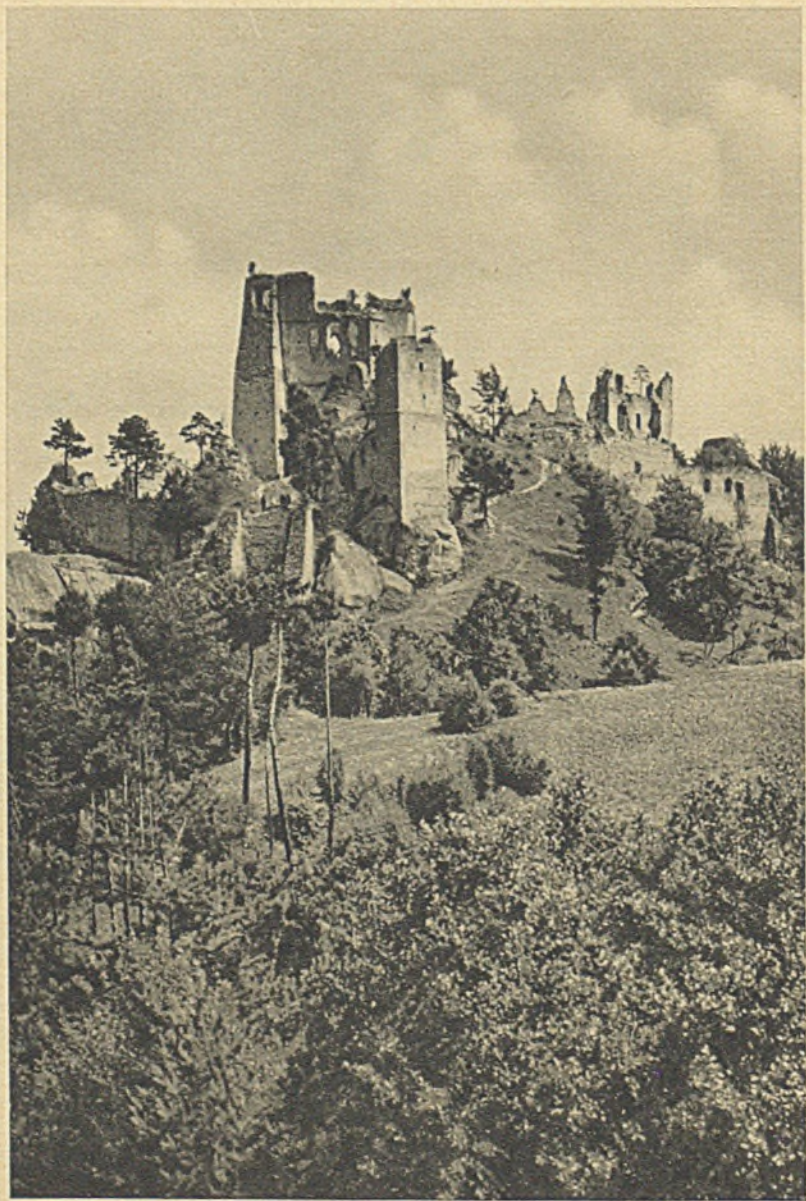


908(438), 913(234, 421.1)

~~SM~~ 18760

„*To Polska —  
to ojczyzna nasza*“

ALEKSANDER FREDRO



*Wyniosłe mury zamku w Odrzykoniu*



*Surowe i groźne są grzbiety karpackie*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

# MILCZĄCE DZIEJÓW ŚWIADKI



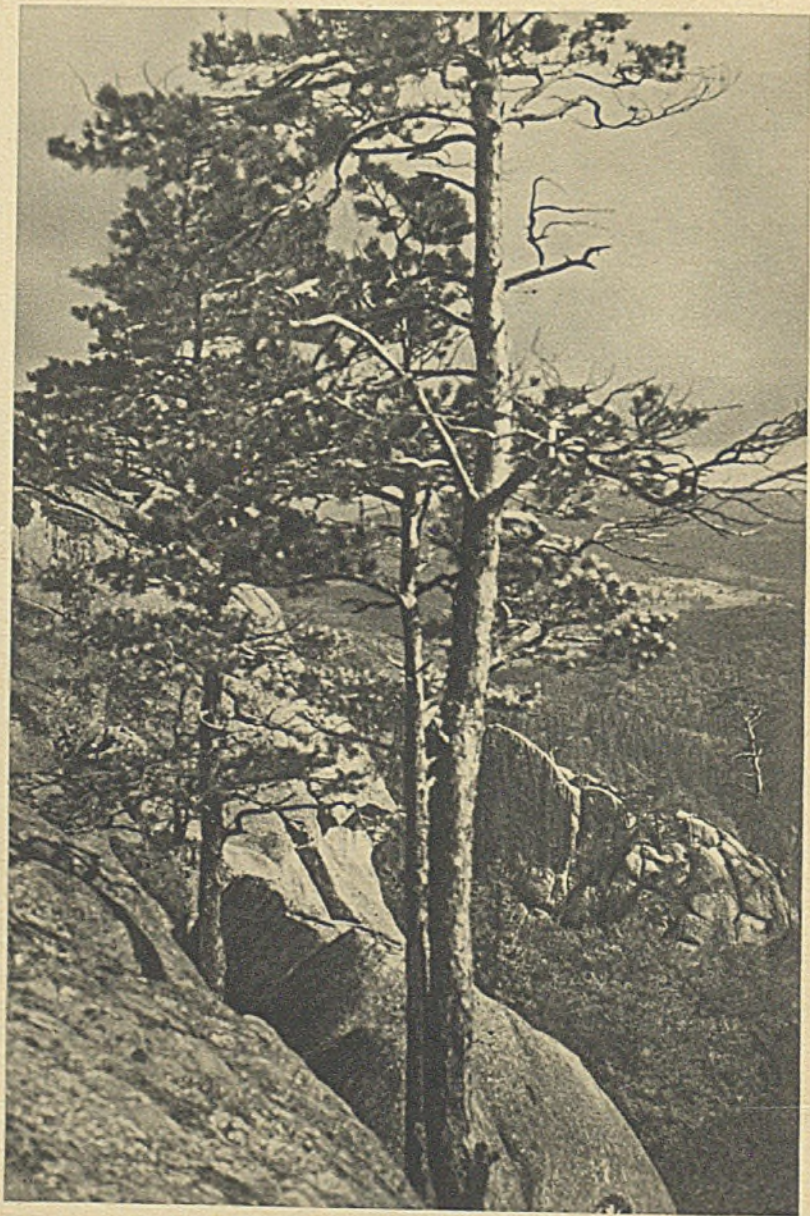
*Świerków biała szata*

**K**arpaty!

Potężny mur, długi na 1300 kilometrów, wygiął się olbrzymim łukiem od ujścia Morawy do Dunaju — do Żelaznych Wrót pod Orsową na granicy rumuńsko-jugosłowiańskiej. Jednak tylko połowę jego długości — od źródeł Ostrawicy do piennego warty Białego Czeremoszu — ogarnia łańcuch Karpat Polskich.

Beskid Zachodni, Tatry, Pieniny, Beskid Niski, Bieszczady, Gorgany, Czarnohora i pasma Karpackie, poza naszą





*Sosny na skałach Bubniszcza*

pozostające rubieżą, ileż widziały one zmian na ziemi, ileż przeżyły strasznych kataklizmów, gdy to moce przepętężne poruszały z miejsca i o setki kilometrów przesuwwały dziesiątki milionów kilometrów sześciennych twardych skał, łamiąc je, ugniatając i fałdując jak wosk? Co przeżywały te góry prastare, gdy oceany i morza to zalewały i burzyły skały na miał je przecierając, to cofały się, aby znów powrócić, zburzyć, co nie zostało zburzone, okryć grubymi warstwicami piachów, glin, wapieni i soli, albo gdy to ognista magma wyrwała się z głębin ziemi i nowe tworzyła skały i pokłady, lodowce zaś zdzierały warstwy nawierzchni i gromadziły moreny z głazów narzutowych!

Karpaty są przedłużeniem Alp i z życiem tego łańcucha górskiego ściśle związały je burzliwe losy na przestrzeni setek milionów wieków. Najstarsza część Karpat — Tatry — jest bowiem zabytkiem prastarego masywu hercyńskiego, który powstał w fazie górotwórczej w okresach węgla i permu, w erze paleozoicznej, jest wyspą istniejącą od niepamiętnych czasów do chwili, gdy z płytkiego morza podkarpackiego w systemie kredowym grzbiet ten począł się kształtować. Ostateczną swoją budowę z warstw osadowych i kierunek otrzymały Karpaty w systemie trzeciorzędowym, gdy obecna Polska o Karpaty oparta, kolejno była lądem lub znikająca stosunkowo na krótko, istotnie — w skali geologicznych obliczeń, pod powierzchnią morza. Ten okres odznaczał się obfitością ryb, otwornic, koralów, raków, wielorybów i delfinów — spadkobierców ichtiozaurów, a dla Polski podkarpackiej był niezmiernie ważny. Wtedy to właśnie z resztek tych stworzeń, gdzieś głęboko pod warstwami fliszu i piaskowców potworzyły się podziemne jeziora ropy naftowej i zbiorniki gazów ziemnych — nasze bogactwa narodowe.

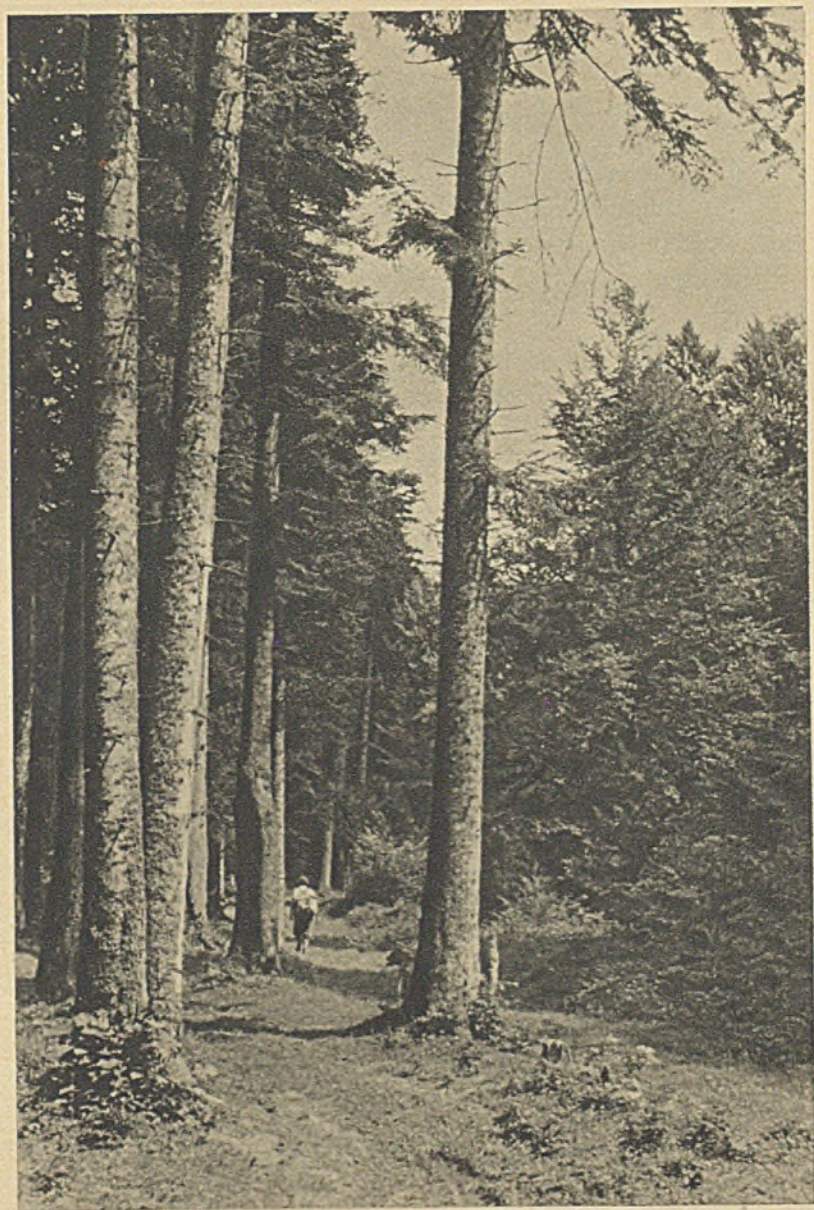
W okresie neogenu, gdy wypiętrzały się Alpy, gdy znikwały i dźwigały się lądy, a morza cofając się przewalały się po obliczu ziemi, zmieniając je do niepoznania, w owych zamierzchłych czasach u podnóża Karpat były w ich spychy wściekle bałwany i tworzyło się głębokie zapadlisko, skąd to wewnętrzne morze odpływało i wdzierało się do dolin i wąwozów Karpat zachodnich docierając jednocześnie aż do pasm gór Świętokrzyskich — starych jak świat gór polskich, — wtedy to osadziły się pokłady soli kamiennej, złoża soli potasowych, gipsu i ropy. W tym to właśnie okresie siły górotwórcze po raz ostatni pchnęły łuk karpacki, pośladowały go i pogzinały. W okresie dyluwialnym uchodzące przed lodowcem mamuty i nosorożce

włochate znalazły tu dogodnie dla siebie pastwiska. W tym mniej więcej okresie człowiek po raz pierwszy dotknął stopą skał karpackich.

Takie to burzliwe i straszliwe długie życie mają poza sobą Karpaty. Najstarszym i najbardziej charakterystycznym odcinkiem całego łańcucha Karpat są bezsprzecznie Tatry. Najwyższe ich szczyty z których zaledwie  $\frac{1}{6}$  należy do Polski, z najstarszych granitów i gnejsów uformowane, wznoszą się ponad 2100 m. Takie są Garłuch, Łomnica, Lodowy, Wysoka, Rysy, Krywań i Świnica — nasz najwyższy szczyt tatrzański dosięgający 2305 metrów, Kozie Wierchy i Miedziany. Śród gór na znacznej wysokości leżą najpiękniejsze jeziora — Pięć Stawów Polskich, Czarny Staw i Morskie Oko. Z Pięciu Stawów Polskich, przelewając się przez progi skalne, z hukiem spadają rozszalałe strugi Siklawy i „wodogrzmoty“ Mickiewicza. To lodowce, co wyżyłoby „cyrki“ i nagromadziły moreny, nad którymi piętrzą się turnie o niedostępnym, pionowych zboczach, pozostawiły po sobie te kotliny okrągłe i jeziora głębokie, zimne i tajemnicze. Z północy i południa wcinają się w Tatry doliny poprzeczne, jak dolina Stawów Gąsienicowych, Chochołowska, Kościeliska, Strążyska, nad którą panują wapienne „krzesanice“ Giewontu. Przez grań tatrzańską prowadzi kilka wysoko położonych i trudnych do przebycia przełęczy, a na łagodniejszych spychach gór tam i ówdzie przytuliły się hale zielone, gdzie pasterz, czujny i śmiały okiem ogarnia pasący się kierz i rozpierzchnięte stado krów. Tam to raz po raz szaleje wichur halny, pokotem kładzie całe połacie borów i z turni zrzuca owce i bydło rogate. Tak go wyśpiewał trubadur tatrzański — Kasprowicz:

O wietrze halny! Cóż, że przelękniona  
 Chowa się koza przed twojej potęgi  
 Wiewem niszczącym! Sam orzeł, co kręgi  
 Toczy podniebne, tuli się do łona  
 Szczelin turniowych, bo królewskich skrzydeł  
 Jędrna rozpiętość nie wytrzyma próby.  
 Strącaj kozice, ty — posłańcze zguby,  
 I orły chwytaj w oka swoich sಿದೆ!

Do obszaru Karpat wewnętrznych należy część Spiszu i Orawy oraz Pieniny — nieduży blok wapiennych skał, przecięty Dunajcem i uwieńczony szczytami Trzech Koron i Sokolicy. Przełom rzeki poniżej Czorsztyna pociąga swoją malowniczością, którą podnosi jeszcze bardziej stary zamek, niejednokrotnie obierany za siedlisko i twierdzę przez zuchwałych opryszków.



*Las przygraniczny w Wysowej*



*W dolinach srebrzą się potoki...*

Tatry i Pieniny należą do systemu Beskidu Zachodniego. Wschodnie zaś Beskidy składają się z pasm Beskidu Środkowego tj. Niskiego, Bieszczadów, Goranów, Czarnohory, a dalej, za naszymi słupami granicznymi, z Alp Rodniańskich i Transylwańskich, z grzbietów Hargity, Karpat Banackich i Serbskich.

Pozostały tam potężne ślady dawnych mórz i lodowców, przepastne jeziora, wodospady, kotły i zwały moren; woda tam wyżłobiła obszerne pieczary, połączone nieraz w zaویły labirynt, gdzie przechowały się resztki nieznanych w tych szerokościach zwierząt i ptaków

a także ślady i znaki, pozostawione przez pierwotnych jaskiniowców; pod warstwami skał przedzierają się podziemnym korytem niewidzialne rzeki; z wnętrza pierśi ziemi biją źródła ciepłej i zimnej wody mineralnej; na głębinie, pod straszliwym ciśnieniem pokrywy ziemnej zgromadziła się ropa naftowa i gazy, gdzie niegdzie budzą podziw miejsca walk rzek z hamującymi ich bieg górami, aż zostały one przebite w przełomach; występują tu i ówdzie wulkaniczne skały i żyły, w których wysączone z głębin ziemi zastygło złoto, srebro i szlachetne, tajemniczymi ognikami migocące opale, aż znajdują się i wygasłe wulkany Sokół i Zapolenka, bazalty, trachity, tufy i źródła gorące — towarzysze gór tego typu; blizny na skałach i hieroglify zagadkowe coś szepcą nam o przepotężnych siłach i gwałtownych ruchach mas górskich i o czolgających się po dnie dawnych mórz istotach wymarłych przed milionami lat; liczne ślady kośćców i łusek ryb, małżów

i otwornic, czaszki i piszczele zwierząt dawnych epok świadczą o sędziwym wieku skał i o burzliwych ich przeżyciach.

Karty historii ziemi w znacznej swej części dają się odczytać na wierchach i połoninach karpackich, w ich kotłach, jeziorach, zwałach moren, w wygasłych kraterach, na skałach starszych i młodszych, po zboczach dolin i w pieczarach, bo też wiekowe są te góry, co olbrzymim łukiem wypiętrzyły się nad Dunajem i, opisawszy potężne półkole, przez dunajską również Żelazną Bramę wtargnęły na półwysep Bałkański, góry jego ramieniem swoim łącząc z prastarym murem Alp. Wraz z nimi przeżywszy zjawiska, przerażające swym ogromem i mocą nicogarniętą zmysłami ludzkimi, stoją milczące Karpaty, pokorne woli Stwórcy, w skupieniu czekając cierpliwie, aż każe im w piarg i piach się rozsypać, lub wydzwignie je raz jeszcze, na inne miejsce przesunie, zarysy ich grani zmieni i przekształci, a może w głębi ziemi pograży, pokruszy, przetopi lub wodą oceanów zaleje na nowe miliony lat, co jak chwila mijają we wszechświecie.

\* \* \*

Karpaty — milczące kataklizmów świadki.



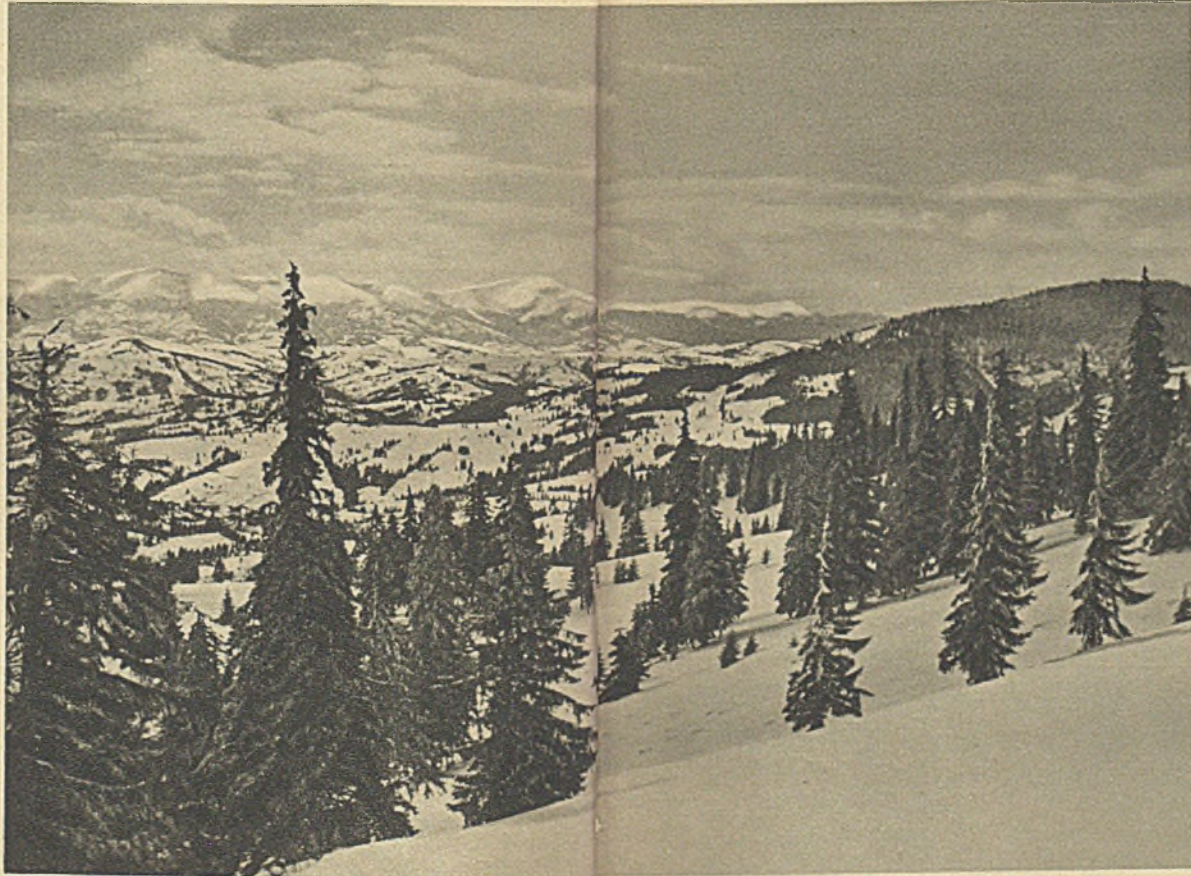
*...w czasie powodzi wściekle, groźne i niszczące*

Karpaty Polskie od Beskidów Zachodnich aż po Czarnohorę — od zarania naszych dziejów stały się widownią wypadków o niezmiernej doniosłości historycznej; ślady zaś spokojnych, ewolucyjnych przeobrażeń lub też — gwałtownych, tonących w krwawej poświacie pożarów, łun i zwary wojennej przetrwały do dnia dzisiejszego i na każdym niemal kroku biją w oczy natarczywie i przekonująco, budząc chwilami uczucie dumy, chwilami żalu, że los surowy tak właśnie, a nie inaczej ukształtował tę połać ziemi, gdzie rozmieściła się Polska.

Niedogodne zaiste jest to rozmieszczenie, wymagające od narodu władającego tą krainą szczególnych wysiłków i cnót niecodziennych. Wiedzieli o tym książęta Piastów, mądrzy królowie, jak Bolesław Chrobry i Kazimierz Wielki, troskali się o „przywary mnogie ziemicy polskiej“ oddani ojczyźnie Jagiellonowie, a i późniejsi królowie myśleli o tym lub odczuwali te braki tragiczne na sobie i na swym panowaniu. Przywary te, braki i tragedia płynąca z geograficznej sytuacji Polski znalazły ściśle ujęcie w wydanym w r. 1595

„Zdaniu syna koronnego o pięciu rzeczach Rzeczypospolitej Polskiej“, gdzie autor taki wydaje osąd — i dziś godny uwagi:

„Owo zewsząd do Polaków pola i drogi nieprzyjacielowi wyborne, przestronne; ma na czym nieprzyjaciel przedniejszą mocą swoją,



*Piętrzą się fale garbów karpackich walem zamykając widnokrąg*

jazdą turecką poczynać; postąpi, ustąpi, pójdzie, wynijdzie, żywności, jeńców nabierze, gdzie chce i jako chce. W samych rękach naszych, w piersiach i gardłach naszych munitia nasza — to nasze góry, to

nasze wody, to zamki, mury i wały polskie... Gdy inne państwa są obronne wodą, mają porty warowne, góry niedostępne, my — nic“.

I wtedy to już, w wieku XVI-ym w wiernym sercu „syna koronnego“ zagnieżdżyła się troska o los ojczyzny, która łatwo stać się mogła zdobyczą drapieżnych sąsiadów. Taka również troska kierowała ręką królów i zasłużonych przed ojczyznę mężów, gdy pisali i nawoływali, by lud w cnotach wszelakich wytrwały był i mocny. Nie dziw przeto, że oczy wodzów i obrońców ojczyzny ku przyrodzonemu wałom — Karpatom w pewnych okresach skierowane były przede wszystkim.

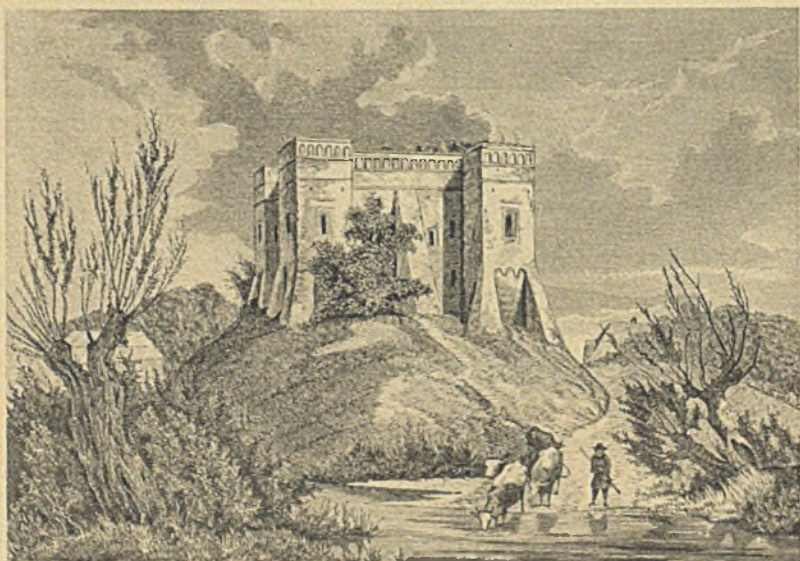
Góry, puszcze i bagniste, często wylewające rzeki jak np. Odra lub San, sprzyjały obronie kraju w dawnych czasach. Rozumieli to Mieszko, Bolesław Chrobry i inni o taką obronę troszcząc się gorliwie. Przerabane w borach drogi były zaopatrzone w cały system „pre-

siek“ — małych blokhauzów ze zwalonych pni i palisad, bronionych przez piechotę, zbrojną w oszczepy, topory, miecze, kusze i łuki. Na tyłach takich „bron“ ciągnęły się szeregi innych, a mianowicie — grodów warownych, tak częstych na granicach państwa. System

tych grodów od panowania Chrobrego zamykał naturalne „bramy“, łatwo dostępne dla wroga. W ten to sposób zostały przegrodzone bramy łużycka, morawska, karpacka, przed którą w górach samych i na pogórzu powstały liczne warownie. Ośrodkiem linii fortyfikacyjnej były okolice Sącza, z najstarszymi szlakami biegnącymi przez doliny Dunajca i Popradu na Orawę i Spisz. Na wschodzie obsadzona była starannie i pomysłowo brama Przemyśka pomiędzy Przemyślem a Samborem i Sanokiem a także stare grody czerwieńskie między Wieprzem a Bugiem z najsilniejszą tu twierdzą — Czerwień, górującą nad całą siecią większych i mniejszych grodów warownych.

Karpaty nasze za bardzo dawnych czasów okryte były nieprzebytą puszcza, ponad którą wyrastały skalne lub bezleśne wierchy Tatr, Gorganów i Czarnohory. Bagniste doliny i głębokie koryta rzek, rozległe torfowiska, częste powodzie broniły dostępu do tego państwa borów, lasów i skał. Obfitowały one w zwierzęta łowne, ryby i dzikie jagody, więc zapewne bardzo wczesnie zabrnął tu i osiedlił się człowiek pierwotny.

Istotnie — jak dowiodły znaleziska — mieli tu swe siedziby ludzie kamienia łupanego i gładzonego, ludzie brązu, początku epoki żelaza i okresu rzymskiego.



*Zamek w Szymbarcku*



Takie było zaranie zaludnienia Karpat, a potem, w miarę postępu trzebienia puszczy i przekładania ścieżek brzegami rzek i przez przełęcze górskie od północy, południa, wschodu i zachodu, poczęły się tu wdzierać mniejsze i większe fale wędrówek ludów. „Młot świata“ Attyla dwa czy trzy razy podchodził do Karpat, wiodąc za sobą barbarzyńskie hordy słowiańskie, germańskie i sarmackie; Goci, Celtowie i sławetne Tacytowskie „flavi capilli Germanorum“ i wreszcie Słowianie napływali i znikali we wczesnohistorycznej mgłę, aż widzimy tu już tylko osiedla Słowian różnych szczepów: Wiślanów, Polan, Ślązanów, Czechów, Morawian, Słowaków, Chorwatów, Serbów i innych, zanim runie fala awarsko-madziarska i podzieli ich na północnych i południowych Słowian. W tym czasie zapewne od dorzecza Wisły zaczynają sunąć ku Karpatom przedsiębiorczy i zuchwali Wiślanie, docierają do grani karpackiej, w różnych miejscach przekraczają ją nawet, na południu stykają się z ludnością grodów czerwieńskich i tam zapuszczają swe zagony.

Jest coś tragicznego i bohaterskiego w nieprzerwanym i niby trwożnym szukaniu twierdzy naturalnych dla krainy przejściowej, od północy, wschodu i południa całkowicie otwartej i na pastwę najeźdźców wystawionej. Takie tragiczne szukanie granic obronnych świadomie lub instynktownie kierowało zapewne ruchem „Jazęków“, smerdów-radlników i „trzeblewiczów“, jak też wyprawami polskimi w stronę Polesia do Przydnieprza, przez puszcze

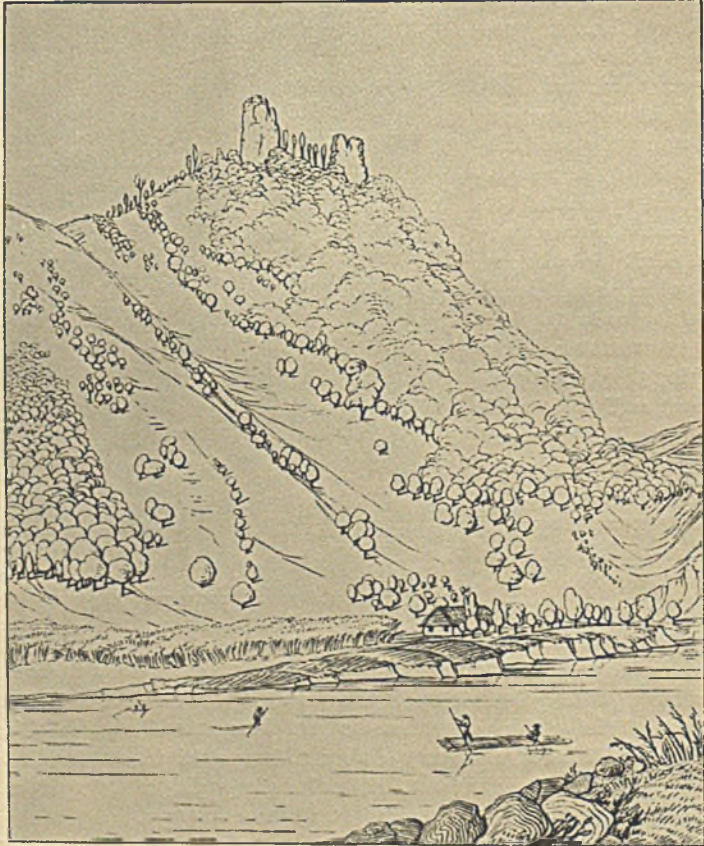


*Skąły i ruina warowni Urycz*



prusko-jaćwieskie ku mierzejom Bałtyku i wreszcie — na Dzikie Pola, za którymi szumiały fale mużułmańskiego morza Czarnego.

Ale i Karpaty nie przedstawiają zupełnie pewnego muru obron-



*„...Dopiero się pojawiają w Rytrze rozwaliny  
Wystające poważnie z obrosłej buczyny...”* B. Z. Stęczyński

nego. Na południu bowiem nie dochodzą one do brzegu morza Czarnego i tworzą „bramę dunajską” otwierając drogę najazdom koczowników. Na zachodzie znów — Karpaty nie łączą się z łań-

„cuchem Sudetów, gdzie stoi otworem, „bramą morawska“ przez którą w czasach najdawniejszych — może egipskich jeszcze, a w każdym razie — grecko-rzymskich szedł handel bursztynem, futrami, woskiem, skórą i solą, a w innych znów okresach wdierały się tamtędy zbrojne hufce Madziarów, Czechów, Tatarów, Niemców.

Słowianie osiedli na Podkarpaciu i Podhalu zapewne w II wieku po Narodzeniu Chrystusa, gdyż w tym to okresie pojawiają się słowiańskie nazwy rzek Wisły i Dunaju. W ostatnim zaś roku wieku X-go zaczyna potężnieć wpływ Polski, rządzonej przez Bolesława Chrobrego, który granice swego państwa rozszerza poza Karpaty — do doliny Wagu, gdzie po dziś dzień pozostały polskie oazy; Czerwona i Biała Chrobacja stają się własnością dzielnego króla: zagarnia on należące za Mieszka do Polaków grody czerwieńskie i całą ziemię halicką, aż z wysokości stolca królewskiego ujrzy swoją rozwieloną w tej części włość pomiędzy Sanem a Skawą, na południu zaś nad wartem Zbrucza, po nierozstrzygniętym ostatecznie sporze o Kijów nad Dnieprem. Zapewne wtedy już, czy też wkrótce po śmierci Chrobrego zrodziły się dwie, tak bardzo różne ideologie polityczne, które wieki przetrwały nienaruszone, zapewne we krwi odmiennych szczepów Słowian polskich mające swe źródła. Z jednej strony jest to przywiązanie do tradycji monarchii wojskowej Wielkopolan, z drugiej tęsknota do swobód samorządu, trawiąca Małopolan — co wpłynęło na bieg dziejów naszej ojczyzny.

Po zgonie Krzywoustego zachodzą poważne powikłania polityczno-ideologiczne. Oto kraj podkarpacki rozpada się na dwie zwalczające się części, reprezentowane przez Kraków polski i Halicz ruski.

Do trudności, spadających na państwo polskie i osłabiających je z powodu rozbieżności ideologicznych, doszła jeszcze jedna ważna okoliczność — osadnictwo na ziemiach granicznych. O ile bowiem dla państwa niezbędną jest jedność i ścisłość budowy, o tyle duszą pracy cywilizacyjnej w osadnictwie jest wolność i decentralizacja „przenośny ołtarz miłości ojczyzny, który o wielki ołtarz nie zwykł się troszczyć“ (J. Szujski). Na przestrzeni dziejów Polski w tej dzielnicy — przeważnie województwa ruskiego, gdzie wznoszono ów „ołtarz przenośny“, spostrzec z goryczą możemy niezwykle swawolę szlachty, brak instynktu państwowego, kłótniwość, pieśniactwo i rozrzutność bezmyślną, pyszałkowatą. O takich to duchach dla ojczyzny niebezpiecznych myślał Kochanowski, pisząc:

Dalekoście się od swych przodków odstrzelili,  
A prawieście na nice Polskę wywrócili!

Przed oczyma naszymi przechodzą tragicznie zbrodnicze postacie szerzycieli strachu i zakały — takich Stadnickich, ze Stanisławem Diabłem Łańcuckim na czele, Sienieńskich i Łohodowskich. Nie ustępują im w prywacie i wicherzeniach Belzeccy, Drohojowscy, Ligęzowie, Korniaktowie, Kmitowic, Herburtowie i hufiec innych buntowników, zbrodniarzy, jakimś obłędem porwanych, a nienawidzących mężów szlachejnych, ojczyźnie i narodowi oddanych, jak Żółkiewski i Ostrogski. Snadź przywary te od dawna już zagnieździły się na podgórskich kresach, gdyż niejaki Łukasz Lwowiec, dominikanin, w kazaniach swoich w Przeworsku wołał z rozpaczą „giniemy“ i stosował do Polski straszne słowa prorocstwa Micheaszowego: „Nunc vastaberis filia latronis, obsidionem posuerant contra nos, in virge percutient maxillam iudicis Israel!“ „Zginiemy!“ — woła w swych przepowiedniach znakomity Stanisław Orzechowski pochodzący z ziemi podkarpackiej.

Jednakże nawet tak surowy dla szlachty ówczesnej sędzia, jak W. Łoziński, znalazł dla niej usprawiedliwienie, z geograficznych warunków naszej ojczyzny wysnute.

A na domiar wszystkiego, co za sąsiedztwo, jakie ściany miała Polska! Wołosza, palenisko, ciągle krwią dogaszane i ciągle nowym płomieniem zięjące; Węgry, zawichrzzone do dna wojną turecką, walkami domowymi; Siedmiogród, w którym w ciągu trzynastu lat siedem razy zmieniają się księżęta, kolejno mordowani lub wypędzani, — nie mówiąc już o bezpośrednim pobliżu „paszczęki tatarskiej“, zawsze rozwarłej i zawsze głodnej łupu i jasyru!

Sączyło się zatem przez ściany Polski zgorzenie, pogarda prawa, obojętność do ładu i systemu trwałości, najgorszą jednak klęską była niepewność jutra, co zmuszało szlachtę, a może i kmieci, bo jakżeż inaczej objaśnić ten ich pęd do zbójnictwa, jako rzemiosła, — patrzeć na tę „ziemię przechodnią“, jak na swoją chwilową zdobycz, z której należało wyciągnąć wszystko, aby przed wrogiem „pustynia ino tu odłogiem leżała, aby kamień na kamieniu nie ostał“.

Mimo to zauważa Łoziński potwierdzając faktami spostrzeżenia Orzechowskiego i Górnickiego, że „wrodzona poczciwość kładła granice temu, co nie miałyby było granic, gdyby sam grunt społeczny, sam instynkt moralny jednostek nie miał zachowawczej i odpornej siły“.

Oni to — ta szlachta swawolna, ci „diabły i diablęta“ w znacznym stopniu stali się czynnikami, niszczącymi i ogalającymi kraj z jego bogactwa — lasów, gdy to, potrzebując dukatów na wojny, wspaniałe

zamki obronne, kobierce wschodnie, konie anatolijskie, broń kosztowną, małmazję i drogie wina tokajskie, gdy to w samej tylko ziemi sanockiej węgryzna w ciągu roku wypijano prawie 2000 beczek, a ile win włoskich, małmazji, alikantu — tego nikt nie liczył — popadli panowie w długi i „wielkie uciśnienie“. By wybrnąć z „ciężkiej opresji“, rzucono się do rabunkowej i lekkomyślnej gospodarki leśnej. Pod pień wycinano lasy i wywożono zagranicę, gdzie z naszych drzew potężniały rozbudowywane floty hanzeatyckie, angielskie, holenderskie i hiszpańskie; piękny masztowy i budulcowy las rąbano bez litości, aby przerobić go na klepki, wanczosa, falby, potaż i popioły, a wszystko to Sanem i Wisłą pędzono na szkutach do Gdańska, tej otwartej zawsze rany, przez którą z ciała Polski żywa płynęła krew.

Do takiego trzebieńcia lasów, których nie widzimy już w Beskidzie Niskim, w ziemi przemyskiej i sanockiej, pobudzały wspomnienia o starych, Kazimierzowskich jeszcze uniwersałach, gdy to król o osadnictwo się troskając przede wszystkim zachęcał do wyrąbывania puszczy, jako że dla jego planów nie miały one „nullam utilitatem“. Toteż w swoim „Satyrze“ ze smutkiem i wyrzutem mówi Jan Kochanowski:

Gdzie spojrzę, wszędy rąbią: albo buk do huty,

Albo sośnie na smołę, albo dąb na szkuty...

... wszak i dREW po chwili

Nie najdą, żeby sobie izbę upalili...

W r. 1340 Kazimierz Wielki po raz drugi i ostatni wciela ziemie halickie i Karpaty aż po Czarnohorę do Polski. Ten energiczny i mądry król dał kulturę, ustrój państwowy i dobrobyt ludności Karpat, Podkarpacia i ziemi halickiej, z całą tolerancją ustosunkowując się do odrębności narodowych i przekonań religijnych swych poddanych. Jak inny wielki król — Bolesław, tak i Kazimierz troszczył się o kolonizację podkarpackich krajów przez oddanych sobie rycerzy — Polaków, Wołochów, Węgrów, Niemców i Czechów, nadając im ziemię, popierając budowę zamków i grodów obronnych, umacniając Przemyśl, Lwów, Śniatyn i Włodzimierz i krok po kroku spolszczając obcokrajowców, osiadłych w granicach jego królestwa. Z tych to osadników wyszli z czasem znakomici możnowładcy krakowscy, którzy tak dodatkowo zaważyli na losach Polski, popchnąwszy ją do unii z Litwą, poskramiając zakon krzyżacki, tłumiąc dzielnicowy chaos piastowski oraz separatyzm książąt litewskich, wpływając na bieg polityki i bacznie śledząc, by nad brzegami Bałtyku nie powstała obca i wroga potęga. Z tej krainy gór i przedgórz dochodzą

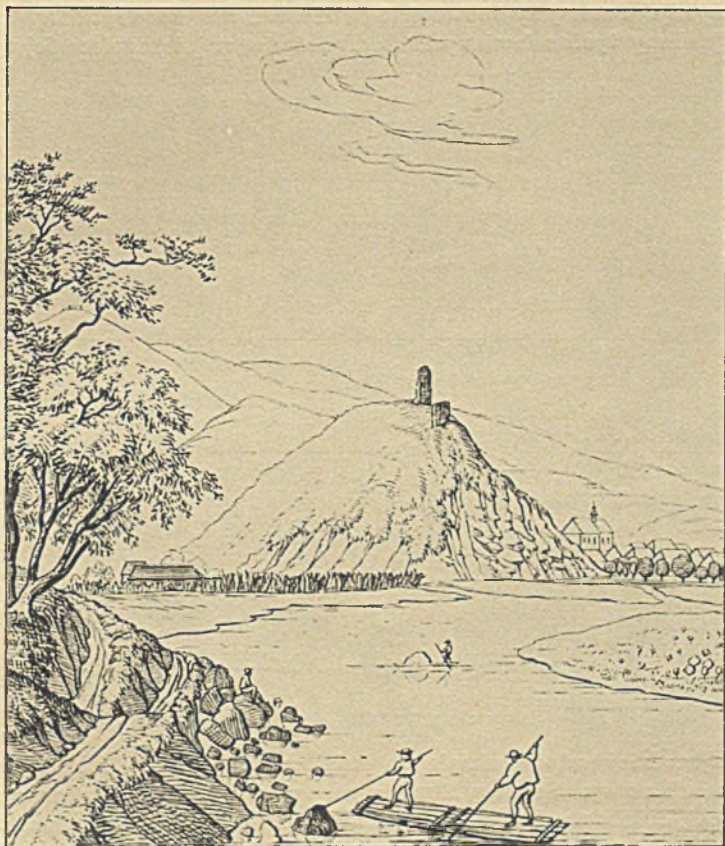
nas echa wielkich bitw z Kozakami i Szwedami, tragedii Jana Kazimierza w Czorsztynie, wreszcie — gloria czynów bohaterskiego Jana III, który pod Kałuszem rozbił i na cztery wiatry rozpedził kilka hord tatarskich, z Krakowa wyruszył pod Wiedeń, przez Duklę zaś powracał z wojny węgierskiej po bitwach pod Parkanami, a potem przysła epoka kościuszkowska, wysiłki powstańcze, ruch wolnościowy, który doprowadził do zbrojnego czynu Legionów i sławnej brygady karpackiej; tam wreszcie wsławiły się Gorlice, nie bez słuszności nazwane „polskim Verdun“, gdyż koło tego miasta zadano ostateczny cios potężde rosyjskiej w okresie wojny światowej.

Wszystko to widziały, słyszały i przeżyły szczyty karpackie, żyzne równiny, wśród nich rozparte stare miasta — obronne i handlowe, zbudowane podług mądrze pomyślanego planu strategicznego, by mogły bronić Polski od najazdów tatarskich, tureckich, wołoskich, węgierskich i niemieckich. Tylu było tych wrogów, a Polska — ów „kraj przejściowy“, — będąc mocnym przedmurzem Europy, cywilizacji zachodniej i katolicyzmu, jakżeż często podlegała ciosom od strony zachodniej Europy i przewagi jej kultury materialnej!

Od Krakowa po Śniatyn ciągną się ruiny zamków, wiążą się w łańcuchu potężnym podkarpackie miasta polskości odwieczne ostoje — z nich przeszłością najświetniejsze Biecz i Krosno — a w starych kościołach widnieją pozostałości i zmurszałe grobowce tych synów ziemi karpackiej, którzy wiernie stali na straży granic i spraw ojczyzny. Nazwiska znakomite, znane każdemu Polakowi, a obok — inne zapomniane już, ale niezatartymi zgłoskami zapisane na kartach naszych dziejów, jak Kmitów lub Korniaktów.

Dziejopisarze chętnie zwykle poddają ostrej krytyce swawolę, anarchiczne skłonności i bezprawie szlachty. Nikt chyba nie będzie bronił złych skutków sławetnej „złotej wolności“ lub usprawiedliwiał takich „Diabłów Łańcuckich“, Bełzeckich, Łohodowskich i Mniszchów, a jednak należałoby w imię sprawiedliwości i prawdy dziejowej określić ściśle, jaki to odsetek całego stanu szlacheckiego stanowili ci „butni, możni i złoczyjni?“ Należałoby też skrupulatnie przewertować kroniki współczesne i ustalić raz na zawsze, czy w życiu wszystkich tych „diabłów i diabląt“ same tylko działały się zbrodnie przeciwko poddanym, sąsiadom, bliskim i dalekim krewnym i normalnemu życiu kraju i czy w dobie „wielkiej potrzeby“ Ojczyzny ci sami możni a niesforni panowie ofiarą krwi i mienia, sławnymi czynami i rycerską fantazją nie odkupili rzetelnie mnogich i ciężkich przewinień swoich?

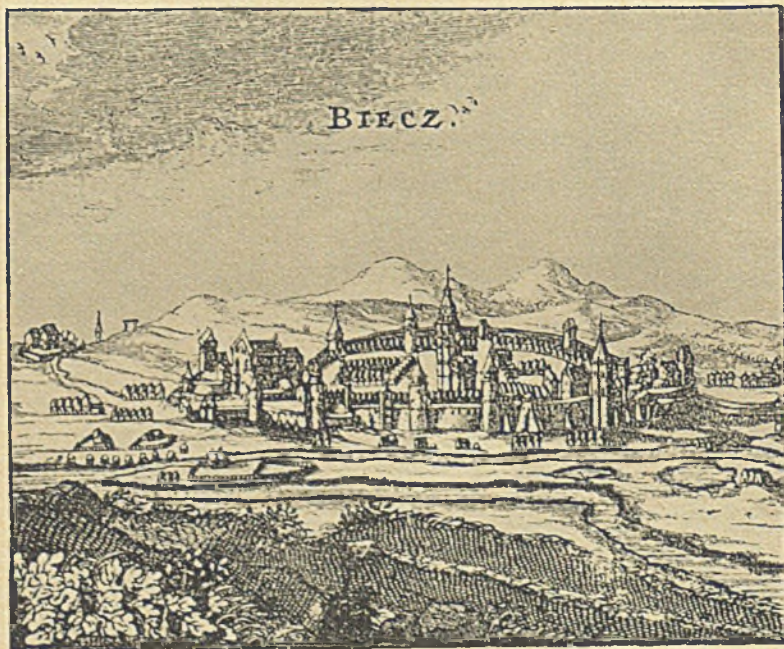
Przecież dla tych, którzy choćby raz jeden rzucili okiem na ślady dawnych gniazd tej od czci i wiary odsądzonej szlachty, staje się jasnym znaczenie i sens istnienia owych „królewiał“ nikogo i nicze-



„...Już miasteczko Muszyna, już na szczycie góry  
Witają nas stojące dwa połączne mury...“ B. Z. Stęczyński

go nie uznających. Osiedlali się oni w miejscach najniebezpieczniejszych, od chciwych i okrutnych wrogów zagrożonych stale, przy szlakach odwiecznych najazdów; gotowi byli do walki z nieprzyja-

cielskimi hufcami, nie oglądając się ani na sąsiadów, ani na zbrojną siłę koronną, w głębokim, wrodzonym snadź przeświadczeniu, że poto istnieją, by pierś swoją nastawiać, krew przelewać hojnie i szafować swym mieniem i życiem dla najwyższego celu — obrony Ojczyzny. Szukajmy starannie i sumiennie, a w każdej bodaj dobie znajdziemy tych osławionych złoczyńców w najniebezpieczniejszych

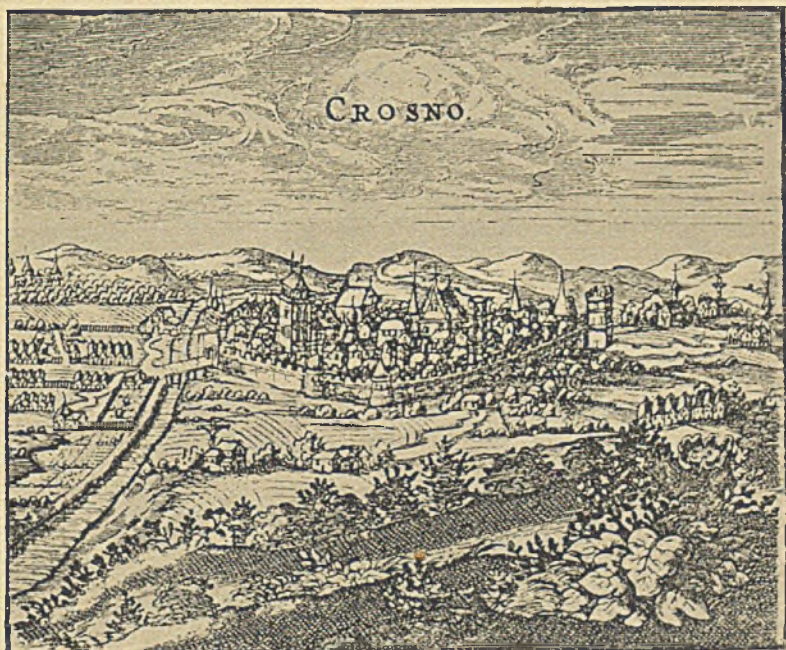


i najbardziej odpowiedzialnych miejscach, ujrzymy ich w promieniach sławy. Stąd wynika, że poza własną wolą i butą uznawali oni coś, co dla nas jest teraz najcenniejsze. Uznawali wielką prawdę, że *prima et maxima res — salus Republicae est*.

Cała bez wyjątku warstwa szlachecka, rządząca w Polsce i za nią bez sprzeciwu i wahania oddająca swoją krew i dobytek pokoleń, potrafiła jednak olbrzymiemu obszarowi pomiędzy Karpatami a Dniestrem i Podolem nadać cechy polskiej ziemi i ludność do polskiej racji stanu przywiązać trwałymi więzami. Z ksiąg dziejów naszych wiemy, że w dawnych czasach nikt bodaj nie wyczuwał,



że wśród ludu podkarpackiego poza Polakami odwalają skiby i trzebią lasy ludzie innego szczepu. Tak było, gdyż Łemkowie i Bojkwowie wiedzieli o wyłącznej przynależności swojej do Polski i losy swoje wiązali tylko z nią, która promieniowała wspaniałością miast, zamków, świątyń, klasztorów, pomagała im wznosić własne domy Boże, tego i owego wywyższała, otwierając mu wstęp do szkoły, wojska



a nawet do wysokich stanowisk. Całą tę ziemię i jej ludność przescyliła i wypełniła polskość, nasza kultura, nasza myśl i idea państwowa kierujące całym życiem narodu. W tym właśnie upatrywać należy największą zasługę tak surowo oskarżanej szlachty naszej, bo ona to tylko olbrzymi kraj, przecięty Sanem, Stryjem, Dniestrem, Seretem i Prutem, uczyniła ojcowizną polską.

Te ślady dawnej myśli i pracy politycznej, niby wielkie runa cichym głosem swej utajonej treści mówią o mądrości i błędach wieków minionych. Lecz zbyt często nikną świadectwa polskiej pracy w polskich Karpatach od zarania dziejów tu wkładanej.

Któż, by przekonać się o tej pracy, zechce zajrzeć do starych kronik i szpargałów? Tymczasem te zabytki wielkiej przeszłości potężnym głosem przemawiają do wyobraźni i uczucia, napawają dumą i nadzieją, utwierdzają w tej prawdzie z całą stanowczością i mocą.

Przypominają nam o tym Karpaty i Podkarpacie, nawet te ich części, które daleko od królewskiego znajdują się Krakowa, a więc w dorzeczu Popradu, Sanu i Dniestru. Te właśnie części naszych gór i przedgórze ogarnia niniejszy tom. Beskid Środkowy lub Niski i Bieszczady oraz związane z nimi Podkarpacie stanowi jego temat. Inne części Karpat polskich, jak Tatry, Gorgany i Huculszczyzna weszły już w skład „Cudów Polski“. Ziemia Sandecka, Pieniny i Beskid Zachodni doczekają się również swojej kolci. Kraina, leżąca pomiędzy Popradem a Świcą, będzie terenem naszych wędrówek po malowniczych, miłych sercu górach, wzgórzach i zielonych dolinach, przeciętych wspaniałymi strugami rzek, stanie się źródłem naszych wspomnień i rozważań, bo rodzą się one tu jak rzeki, co z setek drobnych wycieków i potoków złożone burzliwie nieraz wypełniają głębokie łożyska lub w powodzi słonecznej jarzą się spokojnie na szerokich rozlewiskach.



*Poezja gór*



*Kościół na Łemkowszczyźnie*

## ROZDZIAŁ DRUGI

### OSTATNIE USKOKI BESKIDÓW ZACHODNICH



*Kapliczka przydrożna*

Ostatnie uskoki Beskidów Zachodnich, to Beskid Sandecki. Ciągnie się on od przełęczy Tylickiej i doliny rzeki Białej po przełom Dunajca. Odcięty on został od Spiskiej Magóry górami Lubowelskimi, grzędą Pienin i gór Limanowskich, na północnym wschodzie prawie znika rozplaszczając się na pogórzu karpackim. Wartki Poprad, zbiegający z Tatr, przeciął Beskid Sandecki, niby „Chrobry czekanem“ oddzieliwszy wschodnie pasmo, Jaworzynę od zachodniego, Szczar-



*Wysowa — widok z Ostrego Wierchu*

wnickiego. Szczyty ich: Jaworzyna, Nad Kamieniem, Runek, Pisana Hala, Parchowatka i Makowica — we wschodniej części oraz Radziejowa, Wielki Rogacz, Złamana Hala, Wielka Prehyba, Szczawnicka Hala, Eliaszkówka i inne — w zachodniej wznoszą się niewiele ponad 1000 metrów.

Pasmo Jaworzyńskie lub Krynickie (K. Sosnowski) wzdłuż całej grani okryło się lasami, gdzie ponad wszystkimi drzewami zapanaował buk. Śród lasów tu i tam widnieją jaśniejsze plamy hal, gdzie zanikłe niemal pasterstwo ożywiać się poczyna, gdyż znaleziono naukowe sposoby walki z zanieczyszczającymi łąki górskie kwaśnymi trawami. Czy ożywi się ono ostatecznie — nie wiadomo, bo dawni pasterze porzucili już i zapomnieli o nawykach bacowskich i do radła się wzięli, bo oto wszędzie, gdzie na nagich spychach górskich widnieją wioski, dojrzeć można pola uprawne, biedne, jałowe a niepewne, gdyż cienką warstwę żyznej próchnicy zmywają wody wiosenne, a wicher halny wysusza ją i wydmuchuje. W zachodnim pasmie rozległe hale Prehyba, Konieczna i Niem-

cowa przerywają pasma lasów. W tej grupie górskiej pozostały lasy mieszane, z jodły, świerków, jaworów i buczyny złożone; bory świerkowe niedawno okrywały dziś nagi szczyt Radziejowej, który uważany był za niedostępny, gdyż śmiałek, co do ostępów jego macteczników się zapuszczał, tracił drogę i ginął wśród rozrośniętych niebywale paproci, mleczajów, omiegów i różnorakich traw wysokogórskich.

Na wysokim grzbiecie Jaworzyny, odgraniczającym Krynice od Żegiestowa, widnieją progi skał piaskowcowych, gdzie utrzymały się tylko buki karłowate i cherlawe, o pionach, okrytych grubą płachtą jaskrawych mchów zielonych. Na złomiskach piaskowca lepią się skorupy porostów, a w szczeliny ich wżerają się korzeniami swymi dzikie porzeczki alpejskie, wiciokrzewy i wierzby niskie. U stóp Parchowatki, gdzie pod sam szczyt wpelzły zagrody gazdów i ich pola orne, przytuliła się wieś Łomnica, słynna z tego, że z ziemi biją tu obfite źródła leczniczej szczawy żelazistej, jak w Krynicy. Miejscowość ta nadaje się wyjątkowo do rozbudowy uzdrowiska. Tymczasem niewielu ludzi szuka tu zdrowia, więc cenne „kwaśne wody” giną bez użytku, tworzą mały potok górski i odpływają. Do łożyska potoczka zewsząd, wijąc się, ni to wąż wśród zarośli, biegną ścieżki — kluczące, kręte i tajemne. To sarny i dziki wydeптаły je, dążąc ku „żywej” wodzie, gdy nękanie choroba nieznaną usłyszą nakaz natury. Kto wie, może właśnie jelenie i sarny przyprowadziły do źródeł leczniczych człowieka, jak o tym opowiada historia niektórych znanych w Europie zdrojowisk?

W Beskidzie Sandeckim natura złożyła dla Polski wielkie skarby w postaci wód mineralnych. W zakresie uzdrowienia ludności Rzeczypospolitej zajmuje

on jedno z czołowych miejsc nawet w Karpatach, tej skarbnicy uzdrowisk. Kto nie słyszał o Krynicy, Wysowej, Żegiestowie, Muszynie i Szczawnicy?

Krynica, przezwana „perłą polskich wód mineralnych”, a leżąca wśród gór i lasów, rozwija się szybko, bo



*Pijalnia wód w Wysowej*

rząd, instytucje społeczne i osoby prywatne nie skąpią kapitałów na coraz to nowe i wspaniałe nieraz inwestycje. Leży ona w dolinie potoku Kryniczanki, płynącego z lasu Hutyr i dążącego do Popradu. Kilka źródeł, przeważnie szczawy żelazistej obfitującej w bezwodnik węglowy wybija tu z głębi ziemi. Są też tam inne źródła, na przykład podobne do wody Vichy, kąpiele mineralne i borowinowe, zakłady i urządzenia do różnych zabiegów leczniczych. Na górze panującej nad doliną i zagłębieniem Krynickim urzą-



*Dom zdrojowy w Krynicy*

dzono rozległy park jodłowy z pięknym posągiem Matki Boskiej, zaprojektowanym przez Grottgera, z ławką i popiersiem Kraszewskiego. Z góry parkowej i ze szczytu Huzarów odsłania się wspaniały widok na Beskidy Sandeckie i na skrawek Tatr szafirową ścianą podnoszących się w oddali.

Okolice Krynicy posiadają ziemie orne, sady i łąki i obfitują w malownicze miejscowości zasługujące na zwiedzenie. Do popularnych i łatwych wycieczek należy przejście na Lackową, gdzie pozostały okopy konfederatów barskich, którzy tu cudem wyszli

z matni, do wodospadów Czarnego Potoku i na szczyt Jaworzyny, gdzie w pobliżu wznosi się samotny „Diabelski Kamień“, o którym istnieje wiele strasznych, ponurych, jak też i pełnych humoru nieraz podań miejscowych.

Ciekawe są wycieczki do przytulnego miasteczka Tylicza, posiadającego źródła, podobne do krynickich, i Muszynki koło której konfederaci barscy odpierali z okopów ofensywę rosyjskiego generała Drewicza. Dalej szosa przekracza słowacką granicę i zbiega ku staremu grodowi Bardiowowi, gdzie w kościele św. Idziego i w ratuszu przechowywały się dzieła wysokiej sztuki polskich rzeźbiarzy i snycerzy. W tym mieście powstał współczesny zakład kąpielowy oparty na źródłach szczawy żelazistej.

Niższe góry toną w płaszczu z drzew liściastych, na wyższych rozrzucają szerokie łąpy sosny i świerki. Topole, sprowadzone podobno z Włoch, i buki wypełniają doliny i wilgotne wąwozy. Na zielony przepych lasów, borów i łąk patrzą pobliskie szczyty — Jakubik, Jasiennik, Mochnacka, Kopciowa, Jaworzynka, Hawrylakówka i Krzyżowa, przeznaczone na sporty narciarski i saneczkowy.

Kolej wiodąca do Krynicy jest boczną linią przekraczającą granicę; na węzle tych dróg, w dolinie Popradu leży dawniej biskupie miasto Muszyna. Osobliwością Muszyny jest rezerwat lipowy i ruiny zamku, zbudowanego w w. XII-ym. Muszyna podobnie jak Czorsztyń nieraz była obieraną za siedzibę i ostoję grasujących w tej części Karpat zbójników tatrzańskich, ruskich, madyjskich i wołoskich, lub awanturniczych rycerzy, jak nieznanego nazwiska Piotr, któremu drużennicy Bolesława Wstydlivego tak długo deptali po piętach, że aż zmuszony był w końcu zamknąć się w swoim gnieździe i zginąć w płomieniach wraz z watahą z „beskidników“ węgierskich złożoną. Piękne okolice, łagodny klimat, kąpiele w Popradzie i źródła mineralne pociągają tu letników, kuracjuszy i turystów. W dalszym biegu rzeki, dążącej ku północy w wąskim, o prostopadłych zboczach wąwozie górskim, niby na gzymsie potężnego muru umieścił się Żegiestów Zdrój, otoczony bukowymi lasami, gdzie tuż za zakładem kąpielowym biją źródła mocno kwasem węglowym gazowane, źródła szczawy żelazisto-magnezjowo-wapiennej, zimnej i posiadającej doskonały smak. W pobliżu Żegiestowa Poprad robi dwie ogromne pętle, przez co powstały obie Łopaty — „półwyspy“ — i wymija górę, przez którą przechodzi tunel kolejowy. Dolina Popradu pod Żegiestowem staje się podobna do kanionu, i to stanowi słabą stronę tego zdrojowiska, bo rozwój jego

przestrzenny i rozbudowa natrafia na poważne trudności techniczne, wymagające zniesienia gór lub rozszerzenia się w linii prostej — ku małej lemkońskiej wiosce Żegiestów, ku Wierchomli i Muszynie, co znów wymagałoby wielkich kapitałów na dogodną dla kuracjuszków komunikację. Najwyższym szczytem, panującym nad okolicą, jest Pusta Wielka, skąd roztacza się piękny widok o okiem nieogarniętym widnokręgu. Przez ten szczyt i przez Jaworzynę biegnie znakowany szlak do Krynicy.

Cała ta okolica w różnych miejscach obfituje w źródła typu krynickiego lub żegiestowskiego. Główną ich cechą stanowi obfitość gazu — bezwodnika węglowego.

Do tej też grupy źródeł mineralnych należy drugie po Krynicy uzdrowisko karpackie — Szczawnica, znajdująca się u podnóża góry Radziejowej. Posiada ona kilka źródeł słono-alkalicznych szczaw, znakomicie działających na choroby narządów oddechowych i trawiennych. Piękne parki Górny i Miedziusz oraz kąpiele słoneczne na połoninie Popiej Góry stanowią pociągającą stronę tego uzdrowiska. Jest to ostatnia wieś, zamieszkała przez dorodnych, pięknych, strojnych górali polskich. Tuż w pobliżu zaczęły się w górach wioski Łemków. Nad Szczawnicą panuje góra Bryjarka z krzyżem na szczycie. — Beskidy Sandeckie mogą być uważane za teren klimatyczny o wysokim znaczeniu leczniczym i sportowym. Cały szereg miejscowości, położonych pomiędzy Dunajcem a Popradem i na prawym jego brzegu, posiada źródła mineralne, na przykład Krościenko, Głębokie, Wierchomla, Milik, Rytro, Piwniczna, Grybów i inne, gdzie jedynie brak kapitałów a częstokroć i — komunikacji staje na przeszkodzie przeistoczeniu nędznych, zapomnianych przez Boga i ludzi kątów Polski w znakomite, zbawienne dla chorych ludzi uzdrowiska — malownicze, ciepłe, tanie i skuteczne. W każdym razie jednak cieszyć się należy, że natura uposażyła nasze Karpaty w tak liczne i obfite źródła zdrowia.

Dolina Dunajca i Popradu — to prastare szlaki osadnictwa polskiego, bo tą właśnie drogą w głąb gór wdzierali się i rozpowszechniali po Karpatach Wiślanie i Sandomierzanie. Niedaleko Szczawnicy na górze Jarmut znaleziono brązowe toporki i naszyjniki. Istniała więc tu jedna z najdawniejszych osad.

W dolinie Popradu wszystkie niemal osady, jak Muszyna, Plawiec, Lubowla były już znane i zaludnione na progu w. XIII-go, a zapewne o wiele wieków wcześniej, gdy zagony pierwotnych Słowian rozpowszechniały się w górę Popradu i Dunajca. W czasach późniejszych





*Krynica ze szczytu Krzyżowej*



*Krynica: nowe lazienki...*

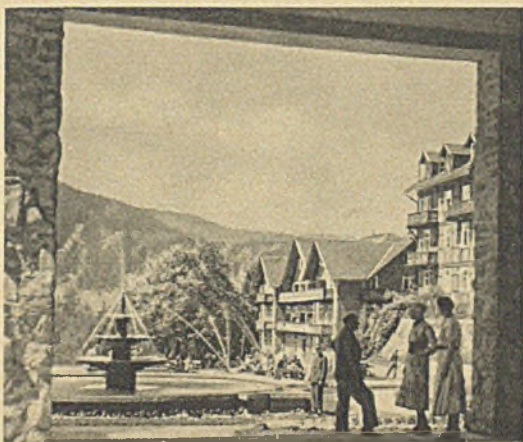
kie przedsięwzięcie, chociaż wąskim zaledwie klinem dotarli aż pod Muszynę, gdzie i teraz spotykamy wsie łemkowskie. Jednak — może też być, iż ci pierwsi osadnicy wschodni wcale nie byli Słowianami, tylko Wołochami, którzy od Rusi przyjęli kulturę i wyznanie religijne.

Jakkolwiek jednak odbywały się te migracje, rozwojowi osadnictwa znakomicie dopomogły przełomy Dunajca i Popradu, otwierające drogę do wnętrza niedostępnych wówczas grzbietów sandeckich — tych właśnie gór, gdzie bezpieczne schrony miały bandy wszelkich zbójników i łupieżców ciągnących tu różnymi drogami z zachodu i południa. Zapewne więc od pierwszych już kroków swoich na nowych obszarach górskich osadnicy musieli zwracać uwagę na obronę, a nawet nieraz rzucać wici zwołujące sąsiadów do wspólnego napadu na niespokojnych i groźnych bandytów. Już wtedy musiały powstać jakieś miejsca obronne; dobrze zamaskowane „przesieki“ przegradzały zbójckim watahom dostęp do dolin, gdzie rolnik lemieszem sochy odwalał pierwsze skiby, a pasterz pędził stada na wysokie hale. Wtedy to wyodrębnił się, wykształcił i zahartował charakter polskich osadników górskich, zuchwałych, chciwych i odważnych, wtedy też ponad wszystko



*...i portyk tego gmachu*

wybujał pęd ich do wolności i niezależności. Za panowania Mieszka i Chrobrego, ludzie, co w górach od dziada-pradziada osiedli, wyrobili dumny nawyk wspólnymi siłami radzić sobie w najcięższej choćby potrzebie. Przez długi czas niechętnym okiem spozierali oni na królewskich rycerzy i możnych komesów, którym nadawano wielkie obszary wraz z całą ludnością, czyniąc ją owymi „glebae adscripti“, co to z biegiem czasu na niewolnych zmienili się kmieci. Toteż nieradzi oni byli sąsiadom: kasztelanom i nawet samemu księciu lub królowi, gdy zjeżdżał do okolicy „na stan“, bo wonczas musieli żywić go wraz z jego drużyną i świtą, dawać mu środki przewozowe i spełniać różne uciążliwe nieraz i rujnujące osadników posługi. Przeto nie jeden raz wynikał bunt, krwawo tłumiony, gdy bace halni, na przykład, wzbraniali się dawać królewskiemu urzędnikowi grodzkiemu — „narzazu“, bydła na rzeź, a rolnicy doliny odmawiali „sepu“ — ziarna i mąki — a wszyscy społem słyszeć nie chcieli o poradnym, porożnym, podymnym i innych daninach w naturze. Królowie jednak zrozumieli niebawem, jak ważnym czynnikiem państwowym stają się osadnicy, zdobywający góry, więc obdarzyli ich szczególnymi swobodami i od zależności od panów ochronili. Te to właśnie warunki wytworzyły powstanie znanego i do naszych czasów w znacznym stopniu przechowanego dumnego, wolnego i hardego typu górala.



*Przed domem zdrojowym w Żegiestowie*

Zasłużyły się więc Polsce i ludności górskiej oba przełomy Dunajca i Popradu.

Jakżeż powstały te przełomy i czy są właściwie „przełomami?“

Czy nie miały tam miejsca inne jeszcze zjawiska? Czy nie leżały gdzieś w górskiej kotlinie, jako wspomnienia po lodowcach, — ogromne jeziora, a rzeki z nich wypływające na wyżynie, zmy-



*Piękno zimy — Słotwiny koło Krynicy*

wając i unosząc coraz to głębsze warstwy gleby, zrównały z czasem swoje koryta z dnem tych jezior i osuszywszy je w końcu popłynęły w tym samym co przed wiekami kierunku? Czy też rozmywane wodą doliny pogłębiały się szybko, cofając się ku trzonowi grzbietu górskiego, coraz bardziej wrzynając się w jego skaliste cielsko, aż przepiętowały je na wylot, a rzeki pomknęły z przeciwnych jego zboczy, zmieniając pierwotny swój kierunek? Być też może,



*Cerkiew w Szczawniku*

że nie wrzała tu żadna wściekła walka pomiędzy górami a Dunajcem i Popradem. Przypuszczają niektórzy geografowie, że obie te rzeki płynęły tymi samymi łożyskami wtedy, kiedy jeszcze moco podziemne nie wydzwignęły i nie połaďdowały Karpat. Kiedy zaś poczęły one podnosić się powoli i mozolnie, starsze od nich a wartkie i pełnowodne rzeki zdążyły zmywać i burzyć powstające w ich łożyskach nierówności, zachowawszy w ten sposób swoje koryta i swój odwieczny kierunek. Inni znów twierdzą, że obie rzeki wdarły się do szczelin, utworzonych w grzbiecie, pękającym pod ciśnieniem sił górotwórczych, wyłobiły je, pogłębiły i za łożyska

sobie obrały. Czy stało się to nagle i gwałtownie, gdy owe siły wpadły w szal tworzenia, czy też góry dźwigały się zwolna w ciągu milionów lat, w których niezliczonym korowodzie rzeki znalazły sobie nareszcie jakieś zagłębienie i w nowe weszły koryto? Dotychczas nie ma na to odpowiedzi. Jednak, przyglądając się obu przełomom, myśl mimowoli biegnie ku epoce, gdy oko ludzkie nie oglądało jeszcze Karpat, i pyta natarczywie:

— Pieniny i ty, Beskidzie Sandecki, powiedzcie, podszeptajcie, kiedy i co się tu działo, bo nie zabiłnily się jeszcze wasze rany, przez Dunajec i Poprad ni to cięciem miecza zadane, otwarte od wierchów aż po przyciesie skalne?

.....

Milczą wciąż góry i jak gdyby przerażone opadają, płaszcą się tuż za rzeczką Białą i w nowe przechodzą — łagodne, słońcem zalane, ludne i nie groźne pasma Beskidu Niskiego.



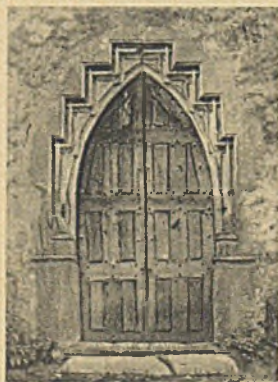
*Tak ongiś wyglądała Muszyna*



*Krosno sprzed stu lat*

### ROZDZIAŁ TRZECI

## POMIĘDZY DWIEMA PRZEŁĘCZAMI



*Bobowa — portal  
kościola św. Zofii*

Od przełęczy Tylickiej, a raczej od doliny Białej Dunajcowej do rzeki Osławy i przełęczy Łupkowskiej lub, jak tego chcą niektórzy uczeni, do koryta Solinki, rozpięła się ta część łuku Karpackiego, której nadają różne nazwy, najczęściej zaś Beskidu Środkowego lub Niskiego. W niniejszym opisie przyjęta dla niej została nazwa Beskid Niski, gdyż istotnie — ta grupa góraska — niższa od Karpat Zachodnich i Wschodnich — rozdziela je krajobrazowo, ni to łagodna panorama, a zarazem łączy, ni to płaskie zwono. Część północną

Beskidu Niskiego stanowi pogórze, środek — znaczne kotliny, południową — kraina górzysta.

Pogórze — to falisty kraj płaskich, o dostępnych zboczach wzniesień nie przekraczających na ogół 500 metrów nad powierzchnią morza, choć tu i ówdzie wznoszą się nieco wyższe góry, jak Liwocz, Brzanka, Chełm, Królewska Górka i Sucha. Nie ma tam skalistych i złomiskowych szczytów i tylko w okolicach Krosna, na Królewskiej Górze, gdzie stoją ruiny zamku Odrzykoń, wydobyły się spod ziemi malownicze, fantastycznie rzeźbione lite piaskowce; podobne też skały znane są w „skamieniałym mieście“ w Ciężkowicach i „Wiep-



*Krajobraz Ropicy — powiat gorlicki*

rzyk“ w Bukowcu. Lasy niemal zupełnie i od dawna tu znikły, a na ich miejscu powstały pola orne i osady ludzkie.

Góry właściwego grzbietu, o bezleśnych zboczach, o pasmach krótkich i w nieładzie rozrzuconych, w pewnym oddaleniu od swej grani zaczynają nagle obniżać się, tracą swój górski charakter i tworzą zapadłość — „doły jasielsko-sanockie“, od północy otoczone pogórzem tarnowsko-przemyskim, przechodzącym po linii Tarnów—Pilzno—Rzeszów—Przemyśl i stapiającym się z niziną Podkarpacką.



M. Klimaszewski bardzo starannie podzielił pogórze Beskidu Niskiego na poszczególne zwona — Ciężkowickie, Strzyżowskie i Dynowskie — na północy, uzależniając ten podział od przecinających je dolin Białej Dunajcowej, Wisłoki, Wisłoka i Sanu; w południowej części rozróżnia on pogórze Gorlickie, Jasielskie i Krośnieńskie, gdzie krajobraz nabiera cech terenu górskiego i gdzie w końcu łączą się one z głównym grzbieciem.

Przez Pogórze od zachodu ku wschodowi ciągnie się długie na 90 km, szerokie do 18 km pasmo kotlin: Jasielska, Krośnieńska, Osobnicy, Osieku, Dukli, Rymanowa, Sanoka i Leska. W granicach tych „dołów jasielsko-sanockich“ natura zgromadziła źródła „ropy naftowej“, ciągnące się od doliny Ropy, (a nawet Dunajca koło Limanowej) aż w głąb Beskidu Huculskiego.

Powstanie tak obszernej kotliny należy do szeregu wielkich zjawisk, których świadkami stały się Karpaty na jednym z odcinków życia ziemi, trwającego około dwu miliardów lat.

Badania nad pochodzeniem „jasielsko-sanockich dołów“ — nie są jeszcze zakończone. Podanie ludowe i niektórzy geolodzy twierdzą, że w tej części Karpat Niskich istniało niegdyś obszerne jezioro międzygórskie, powstałe na miejscu zapadających się gór, gdzie na ich szczytach pasły się mamuty, a wśród nich i ten, którego ząb wykopano w Płowcach na szczycie pagórka.

Główny łańcuch Beskidu Niskiego składa się z kilku krótkich łańcuchów, przerywanych w pewnych odstępach przełomami Wisłoki, Jasiołki, Wisłoka i Osławy, należących do dorzecza Sanu i Wisły, a więc do zlewiska Bałtyckiego. Pasma górskie obniżają się znacznie na przełęczach Tylickiej, Beskidu, Jaworzyńskiej, Dukielskiej, Łupkowskiej i innych. Grzbiet szeregiem zapadlin dzieli się na dwie części — północną, na którą składają się Magóra Małastowska, sięgająca 814 metrów, Magóra Wątkowska — 847 m, Cergowa — 718 m i Bukowicy — 778 m, o wierzchach, posiadających ostre zarysy, odcinające się wyraźnie na ogólnym tle łagodnych, kopulastych wzniesień, okrytych łąkami i polami i z rzadka tylko — lasem. Szczyty graniczne z dawną Czechosłowacją i najwyższe w Beskidzie Niskim, jak Lackowa, Ostry Wierch, Jaworzynka, Czeremcha, Skalne, Pasięka i Wysoki Groń nie wznoszą się ponad 1000 metrów. Najniższą i najbardziej dostępną przełęczą jest Dukielska (położona na wysokości zaledwie 503 m.).

Beskid Niski w dawnych czasach, w każdym razie jeszcze za Zygmunta Starego, obfitował w puszcze. Rosły tu drzewa różnych

gatunków, jak smereki, buki, jawory, lipy, jesiony, brzozy, graby, brzozy, cisy i inne. Zachęteni do rolnictwa czarnoziemem dołów jasielsko-sanockich, a nie znajdując już w nich wolnego miejsca, osadnicy w pośpiechu trzebili puszcze, od w. XIII aż do końca XVII-go wydzierając im żyzne połacie, aż na szczyty tego grzbietu wdrapał się rolnik z pługiem i tnie po dziś dzień głębokie bruzdy. Toteż zmalaty tu lasy i zmarniały. W niższych pasmach rosną brzozy, graby, wiązy, dęby, lipy i olchy, którym za podszyt służą leszczyny, kaliny, jarzębiny i z rzadka — brzość. Z drzew iglastych walczą tu o swój byt sosna; na większej wysokości widnieją szmaty borów jodłowych i świerkowych, lecz z nimi wiodą zażarty bój buki, brzozy, gdzieś indziej jawory i jesiony, a nawet ostatnim bohaterskim wysiłkiem — modrzew, nad którym rozpostarto niezbędną opiekę. Z rzadkich już okazów drzewnych wspomnieć należy laszek cisowy koło Żmigrodu. Na szczycie Mareski, na wysokości około 800 m przetrwało kilka limb. Obecnie niewiele już pozostało tu lasów zasługujących na tę nazwę, a mianowicie kompleks bukowy na Magórze Wątkowskiej, w nadleśnictwie w Śnietnicy, na górze Jasieniów, u źródeł Wisłoki, na przełęczy Beskid, i wreszcie w skurczonej żałosnie puszczy błogosławionego Jana, w okolicy Dukli.

W wytrzebionych już puszczech podupadł dawny świetny zwierzostan, gdy to niedźwiedź, bury władca kniei karpackiej, uważany był za dość pospolitą zdobycz łowiecką; rzadkością stały się już jelenie, tak rozwielnione w sąsiednich poza Solinką Bieszczadach. Sarny, dziki, lisy i borsuki znajdują jeszcze dla siebie pożywienie i łągi w żalosnych resztkach puszczy. Za to w Beskidzie Niskim wykryto kilka miejscowości, obranych sobie na schronisko przez cenne okazy świata zwierzęcego. Są to białe lisy — albinosy dziedzicznie przekazujące potomstwu swoje zewnętrzne cechy, i — czarne bociany.

Wartkie rzeki, obfitujące w wodospady i szypoty, stały się ojczyzną pstrągów górskich, które, po długich latach rabunkowych połowów, doczekały się wreszcie należytej ochrony. Koło Magóry Wątkowskiej założono dwie wylęgarnie pstrągów, które rokrocznie wypuszczają cenny narybek do rzek górskich i większych potoków.

Role i łąki okrywają zbocza gór i płaskie ich szczyty. Na łąkach wyrastają pięciornik, rozchodnik, jaskier, piołun, wilczomlecz, lilia-żółtogłów, dziewanny, barwinek, konwalia i lnianka, jak też najpiękniejsza z naszych roślin cebulkowatych — zimowit jesienny. Późną jesienią zakwita on dużymi blado-fioletowymi kwiatami, by schować w zimie torebkę owocową pod warstwą

śniegu i na wiosnę rzucić nowy siew. Zimowit zawiera w sobie truciznę, ale wysuszony nie jest już szkodliwy, toteż przywiązane są do niego legendy, zaklęcia i zabobonna cześć jak do talizmanu.

Beskid Niski — jest pięknym i przyjemnym krajem, gdzie obszerne, zielone doliny z wijącymi się po nich wstęgami rzek, małymi gaikami i malowniczymi cerkiewkami łemkowskimi, z kwadratami pól po łagodnych zboczach zielonych gór, z kwietnymi łąkami, tonącymi w powodzi promieni słonecznych, — są urocze i dziwnie swojskie jak gdyby przemawiające rodzimą mową polską.



*Wieś Odrzykoń — powiat krośnieński*

Ludzie osiedlili się tu w bardzo dawnych czasach. Najgęściej zaludnione zostały doły jasielsko—krośnieńsko—sanockie, bo też najpiękniejszy to i najbogatszy kraj. Wszędzie, gdzie tylko oko sięgnąć zdoła, rozpierają się w lecie złote łany i łąki zielone, a pola niby poły szmaragdowego i złotolitego płaszczu spływają z miękkich, falistych pagórków obrzeża. Jak gdyby wielkie guzy i kłamry na tym wspaniałym płaszczu widnieją gaje cieniste. Gleba wszędzie niezwykle urodzajna stała się niegdyś źródłem bogactwa ludności miejscowej i potężnych magnatów. Nikt nie chciał opuszczać



*Handlarz mazią na rynku w Bobowej*

tych okolic błogosławionych i, chociaż majątki, wskutek rozrostu rodzin, malały i rozdrabniały się przez coraz to nowe podziały, wszyscy jednak pozostawali na tej roli, co powodowało liczny wzrost obywatelstwa, ożywienie stosunków towarzyskich i podniesienie się poziomu kulturalnego. Przez tę zapadłość między Beskidem Niskim i jego pogórzem biegiły najważniejsze drogi handlowe na Zachód, szczególnie na Węgry, skąd między innymi towarami przysyłano nam z Tokaju wino „na wychowanie“, po czym na baryłkach, antałkach i flachach pisano po łacinie: „wino na Węgrzech urodzone, w Polsce wychowane“ i wyciągano z kalet i sepecików

szlacheckich z tej i tamtej strony Karpat dukaty i talary, z roli i potu ludzkiego wybite. Główny trakt polsko-węgierski prowadził od Tarnowa przez Pilzno i Brzostek na Jasło do Żmigrodu, skąd rozwidłał się biegnąc na zachód przez Polańską przełęcz na Zborów, Bardiów, Koszyce — do Tokaju, na wschodzie zaś ciągnęła się przez przełęcz Dukielską — na Świdnik po węgierskiej stronie i na Ungwar do Munkacza. Trzeci najtrudniejszy szlak łączył Polskę z Węgrami przez Sanok i dolinę Osławy. Doliny Wisłoka, Sanu i Strwiąża otwierały drogi na Podkarpacie również od północy i wschodu. Wszystkie gościńce przebiegały



*Kapliczka w Nowicy...*

i krzyżowały się na jego obszarze, kwitnął handel i ruch nigdy tam nie ustawał. W czasach tak często niespokojnych pojawiła się potrzeba obrony kupców od „kup swawolnych“, budowy domów zajazdnych, składów towarowych, ustanowienia urzędów starostów targowych i królewskich sędziów. Wynik takiego stanu rzeczy okazał się wspaniały, ponieważ wtedy, kiedy reszta Karpat tonęła jeszcze w mroku uroczysk puszczańskich, w kotlinie powstały najstarsze miasta polskie Biecz, Jasło, Krosno, Sanok, Mrzygłód, Brzozów, Zagórz, Dukla. Należało też bronić miast handlowych, dróg i przejść górskich. Nie wystarczały już starodawne „przesieki“ i grodziska, — każdy dwór stawał się małą fortalicją, klasztor, kościoły i cmentarze — warowniami, zamki, zaopatrzone w grube mury, wały, fosy i załogę, stanęły w ściśle określonych, do terenu przystosowanych punktach.

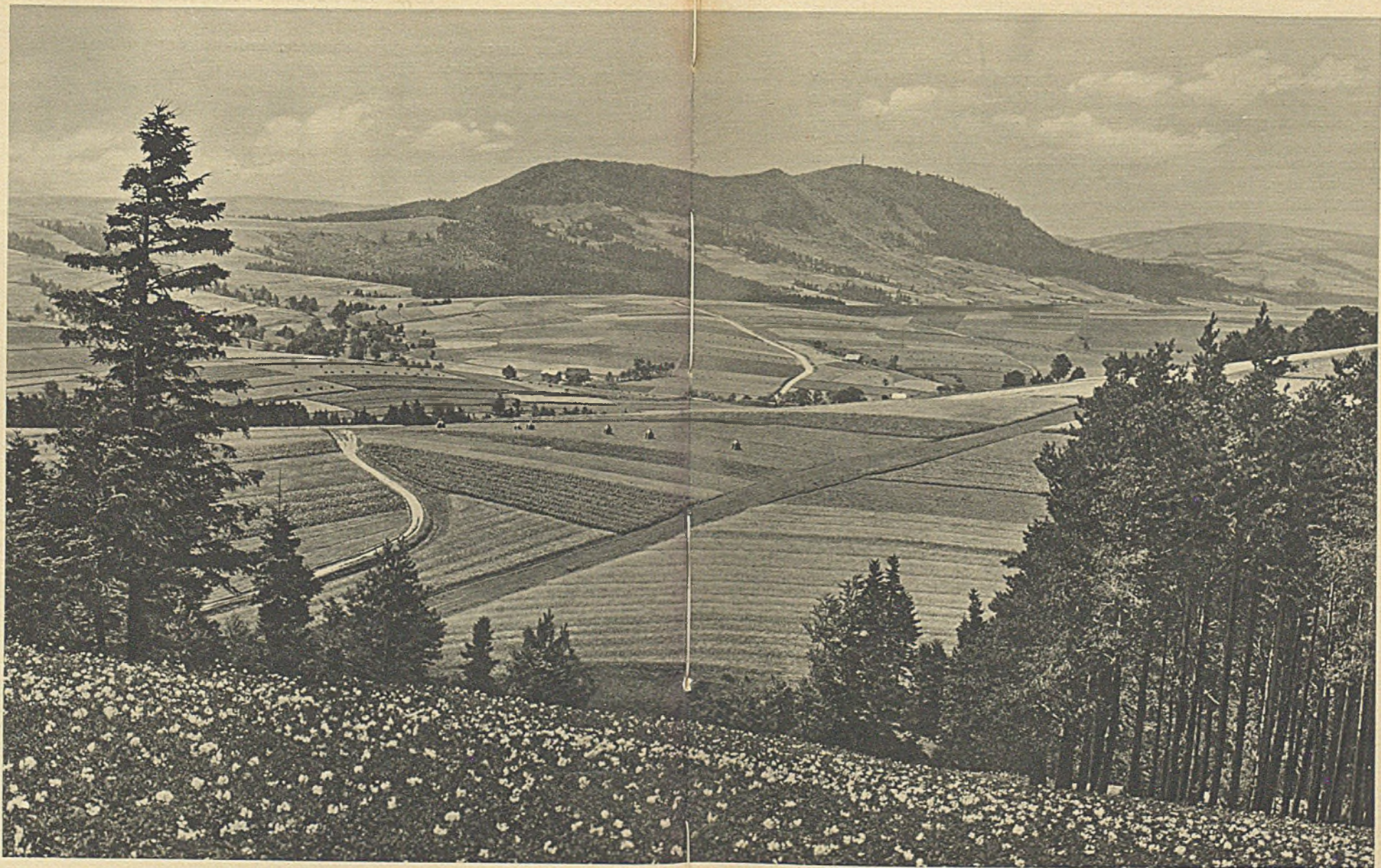
W wieku żelaza, pary i elektryczności nowe systemy handlu, zmienne koniunktury rynku światowego zadały cios rolnictwu dolów jasielsko-sanockich, lecz, snadź, Bóg łaskawym spojierał okiem na tę błogosławioną przez Niego, a dla nas wciąż jeszcze zagadkową kotlinę, bo oto wykryto w leżących głęboko piaskowcach karpackich obfite zbiorniki ropy naftowej i gazów ziemnych —



...i we wsi Stróżna



Stare ganeczkowe domy w Bobowej



*Góra Cergowa pomiędzy Iwoniczem a Duklą*

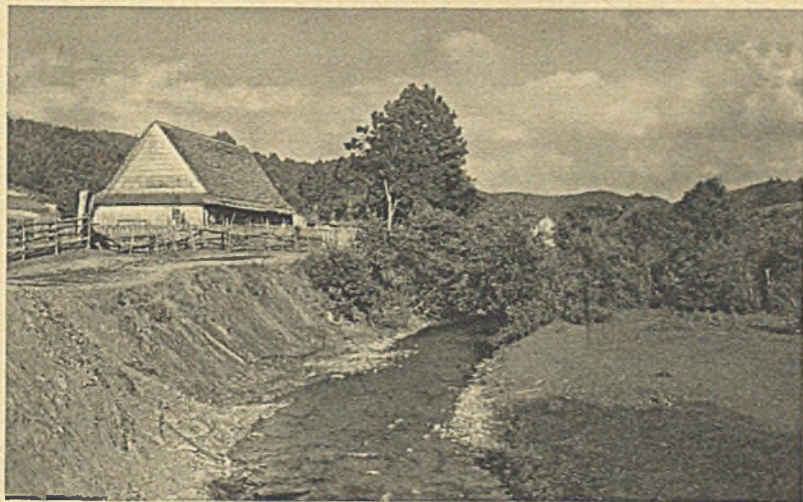
w powiatach gorlickim, jasielskim, krośnieńskim, brzozowskim, sarnockim i leskim. Podkarpacka kolej przecięła niebawem całą kotlinę z zachodu na wschód, a kilka jej odnóg biegnie od północy ku obecnym granicom Rzeczypospolitej Polskiej. Szosy, zwykłe drogi kołowe i szlaki turystyczne otwarły wszystkie bramy do najdalszych nawet zakątków Beskidu Niskiego, Bieszczadów, Gorgan i Czarnohory.

Tak blisko zewsząd do tej zielonej krainy i tych przełęczy, przez dalekich przodków naszych bronionych! Któż nie zapragnie podążyć tam, skąpać się w słońcu, wchłonąć powiew od grani zielonej, ujrzeć bogactwa ojczyzny i z trosk się otrząsnąć, gdy od starych murów zamczysk i starych świątyń dobiegną jak gdyby obudzone w otchłani wieków pienia zakonników, brzęk zbroic i tarcz rycerskich, a ponad wszystko niosący otuchę szept przenikliwy:

— To — nasze, odwieczne, prapolskie i naszym zostanie!



*Odrzykoń: Prządki i góra zamkowa*



*Balnica, wieś łemkowska w ziemi sanockiej*

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### ŁEMKOWSZCZYzna

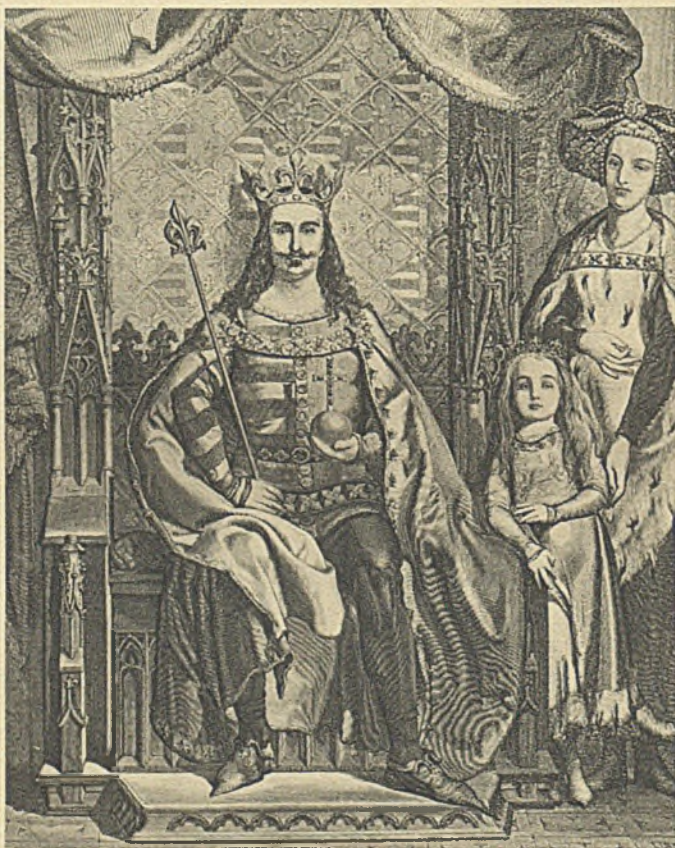


*Odrzwia starej chaty  
łemkowskiej*

**W** wieku XIII., wieku wielkich klęsk wstrząsających całym Wschodem Europy, a zagrażających również i Zachodowi, Karpaty na całej ich rozciągłości pokryte były puszciami i prawie pozbawione ludności. Tak się przynajmniej wydawało podróżującym z towarami kupcom cudzoziemskim i bandom „ludzi wolnych”, zaglądnących tu w poszukiwaniu łupów i jeńców. Tymczasem było to pozorne tylko pustkowicie i bezludzie. Z najdawniejszych bowiem, przedmieszkowych jeszcze czasów zabrnęli tu przedsiębiorczy Wiślanie i zapadli



w uroczyskach górskich dolin. Na Pogórze Karpackim plóg Polski zaorał do połowy XIII-go w. wszystkie łagodniejsze skłony i niższe wierzchowiny, tworząc coraz silniejsze szczyby wzdłuż pobocznych



*Ludwik, król polski i węgierski — wróg schizmy  
i obrońca wiary katolickiej*

dolin rzecznych. W Beskidzie Niskim osadnictwo posuwało się ku terenom dolinnym, dogodniejszym do uprawy roli i przerywało się często w przełomach rzecznych. Kazimierz Wielki skierował planowe osadnictwo polskie do dorzecza Roby, Dębówki i Jasiołki aż

puszcza w niektórych miejscach grani karpackiej padła pod naporem rolnika polskiego w końcu XIV-go w. (M. Dobrowolska). Toteż nieraz kupcy węgierscy i niemieccy natrafiali na utajone w Karpatach osiedla, znajdowali tu noclegi bezpieczne i wytrawnych przewodników, znających dokładnie ten kraj górski i leśny a nawet nawiązujących stosunki handlowe z miastami zarubieżnymi.

Ile tam w górach i puszczech osiadło tego ludu z nad Wisły — nikt już teraz określić nie potrafi, gdyż z biegiem czasu, gdy poczęły powstawać miasta, miasteczka i wsie — zgiełkiwe, handlowe, bogate i wesołe, pociągnęły one ku sobie tych ludzi leśnych, tych pasterzy połoninnych, łowców i wojowników nadrubieżnych i opustoszały wonczas znacznie wąskie, kręte doliny rzeczne; wytrzebione i zorane polany leśne buczyną i olszą porosły i okryły się zielonym płaszczem traw i krzewów opuszczonych połoniny. I nagle dzikie te ostępy ożywiły się raz jeszcze. Nad głowicami jodeł i świerków, nad zielonymi namiotami buków coraz częściej wznosić się poczęły słupy dymów, na połoninach pokrzykiwali juhasi, po nocach migotały z daleka płomienie wiatr przed nędznymi szałasami, rozlegało się basowe grzechotanie drewnianych brząkań, zawieszonych na szyjach wołów, ryk bydła, bek owiec i szczenie psów. Jacyż to przybysze przedarli się przez macteczki puszczańskie i osiedli na skraju ich po obrzeżach połonin?

Z daleka przybyli ci ludzie, pędząc przed sobą swój czworonożny dobytek a na małych, krzepkich konikach wioząc kobiety, starców, dzieci i mienie! Od dawna już, kiedy to od bramy dunajskiej w tę i tamtą stronę przewalały się hordy nieznanych ludów, mieszkańcy tych połaci, wyparci ze swych siedlisk, wywedrowali poza Karpaty, przejmując z czasem od Rusi ich wiarę, kulturę, zwyczaje i mowę. Jak długo tam popasali i z jakich korzystali praw — tego nie łatwo się doszukać. Dość, że wiemy o ich osadnictwie na niezaludnionych ziemiach podkarpackich i o tym, że nazywano tam przybyszów Kucowolochami. Zapewne zruszyły ich z nowych miejsc coraz częstsze i groźniejsze napady Tatarów. Skośnoocy i okrutni jeźdźcy chętnie bowiem zapuszczali swe zagony nad Dniestr i Prut, a wkrótce i na ziemię rdzennie polskie.

Naród pasterski wypasający swe bydło na stepowych równinach Besarabii, Mołdawii i Bukowiny, a więc Wołosi i Rumuni, wycinani w pień i ograbiani, musieli uchodzić przed najeźdźcami. Obrali sobie dwa szlaki. Jeden prowadził w góry Siedmiogrodu, który niebawem zalali Wołosi całkowicie, dochodząc do Kroacji i Styrii; drugi — skierował się na zachód, wzdłuż głównego grzbietu Karpat. Ta fala

wniosła na swym grzbiecie, jeżeli nie wszystkich, to znaczną część zruszczonych już Kucowołochów, przerażonych widmem najazdu tatarskiego. Oni to stali się winowajcami zruszczenia nowej fali przybywających tu rodaków, którzy w poszukiwaniu bezpiecznych schronisk i pastwisk z biegiem czasu rozpowszechnili się po całym grzbiecie Beskidu Niskiego, a nawet przekroczyli Poprad, wciskając się w słabo zaludnione wówczas, wąskie pasmo pomiędzy Polakami i Słowakami i docierając aż do Radziejowej, Jaworzyny i powiatu gorlickiego. Dalej nie poszli i nie idą. Zatrzymali się w granicach pasa, nazywanego Łemkowszczyzną.

Około 150 000 tysięcy Łemków, którzy przyjęli do swych żył krew najstarszych tu polskich rolników, rozproszonych z dala od większych ośrodków planowego osadnictwa polskiego, zamieszkuje kraj, pokrywający się obszarem Beskidu Niskiego z dodatkiem nieznacznych skrawków Beskidu Sandeckiego i Bieszczadów.

Od stóp Radziejowej i okolic Krynicy na zachodzie, do Halicza koło źródeł Sanu na wschodzie — a może tylko do rzeki Osławy ciągnie się Łemkowszczyzna. Granicę jej na południu stanowi łańcuch Beskidu Niskiego; na północy rozsiadanie Łemków, zatrzymuje się na granicy obszaru rdzennie polskiego; granica wschodnia stanowi jeszcze przedmiot badań. Na obszarze polskim znane są wsie „ruskich zamieszkańców“, zapewne bardzo bliskich Łemkom, wśród których natomiast spotykamy liczne wyspy polskie wzdłuż doliny Sanu i na linii Nowosielce—Sanok—Lesko. (Leszczycki, Udziela, Spett, Falkowski, Pasznycki, Reinfuss). Wyspy te są drogowskazami misji historycznej Polski na tych obszarach. Jeżeli założone one zostały w wieku XV. lub XVI., a więc po wędrowce Łemków, pamiętajmy, że powstanie osiedli polskich było zjawiskiem wtórnym, bowiem na dawnych mogiłach, śmieciach i rumowiskach osiedlili się ponownie Polacy. Nie dajmy się zbici z tropu, nie cofajmy się wobec hałaśliwej propagandy i modnych i szkodliwych dla nas teorii, że całe Podkarpacie jest „rdzennie ruską ziemią“, gdzie my jesteśmy „późniejszymi przybyszami“. Polska to ziemia z dawien i dawna! Polska z tych sędziwych czasów, gdy osady Wiślan opasywały obszar alański, który następnie przekształcił się w Ruś Czerwieńską, a ją znowu mieczem jak też mądrą polityką królowie nasi wcielili do Polski. Mogłaby ona wstrzymać falę przybyszów, lecz nie uczyniła tego w zrozumieniu korzyści zaludnienia tych kresów nadgranicznych, bo przecież kolonizowali je również Niemcami, Wołochami, Madziarami, Słowakami i Czechami. Zresztą skąd te zakusy na „rdzennie ruskie

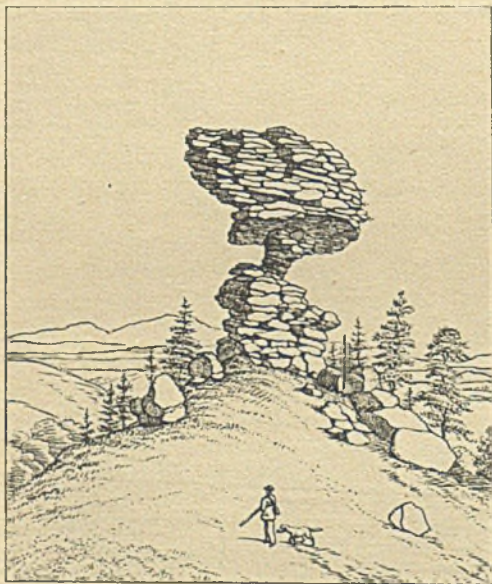
ziemie"? Ani Łemkowie, ani Bojki nie są wszakże czystymi Rusinami. W ich żyłach płynie innoplemienna krew i odmienną mają oni duszę — niepodobną do duszy ruskiej Słowian naddnie-



*Król Władysław Warneńczyk kościołowi ruskiemu w Polsce nadał w roku 1443 te prawa, jakie posiadał kościół rzymski*

przańskich, mieszaniny Turków, Berendejów, Połowców i Tatarów. W skupieniu wsi łemkowskich znajduje się kilka osad z ludnością obcą temu społeczeństwu, bo złożoną z Białorusinów, sprowadzonych niegdyś spoza Prypeci, i Tatarów z w. XVII-go; istnieje tam również

oaza niemiecka czy, podług innych wskazówek, szwedzka. Jest to jedna z największych i najzamożniejszych w Polsce wsi — Haczów w powiecie brzozowskim nad Wisłokiem. Haczów powstał w dołach jasielsko-sanockich za panowania króla Kazimierza Wielkiego po odzyskaniu przez niego Rusi Czerwonej. W swej trosce o kolonizację kresów swego państwa i mocniejszego scementowania jego, król — za którego wladania Podkarpacie poczęli zaludniać osadnicy polscy — osadził w Haczowie niemieckich rolników. Później, bo w w. XVII dopłynęła tu nowa ludność — Szwedzi — jeńcy wojenni.



*„Jest to „kamień diabelski“, piaskowice ogromny  
Co tysiące lat przetrwał i przetrwa niezłomny“*

B. Z. Stęczyński

Jaki wpływ wywarli oni na rdzennych mieszkańców — Niemców, to nie da się tymczasem określić, więc należy uważać Haczów, dawny „Hanshof“, za wieś pochodzenia niemieckiego, chociaż mieszkańcy jego od dawien dawna są całkowicie spolszczeni i odznaczają się gorącą miłością do swoich domów, pól i łąk. Podług nadania królewskiego godność sołtysa była w Haczowie dziedziczną — a tak zapewne intratną i zaszczytną, że ubiegali się o nią nawet niektórzy z możnowładców jak na przykład starosta sanocki Pieniążek w roku 1468, miecznik krakowski Fryderyk, kasztelan

sanocki Siemieński i inni. Bywał też Haczów zastawiany przez królów Zborowskim i hetmanowi Janowi Tarnowskiemu. Dekrety Batorego, Władysława IV-go, Jana Sobieskiego stwierdzają, że dwie rodziny haczowskie Ekiertów i Szajnów, obowiązane do służby w piechocie łakowej, wydały dzielnych żołnierzy, za co otrzymywały różne przywileje. W r. 1388 Władysław Jagiełło ufundował w Haczowie

rzymsko-katolicką parafię i kościół w stylu gotyckim. Pożarły go jednak płomienie w r. 1624, gdy wpadł tu czambuł tatarski. W siedem lat później wzniesiono nową świątynię modrzewiową, która, po odrestaurowaniu jej w r. 1864, po dziś dzień stanowi ozdobę Haczowa i najcenniejszy zabytek polskiego budownictwa drewnianego. Ludność okoliczna czci tu słynącą cudami statucę Matki Boskiej Bolesnej, którą, jak głosi legenda, przyniósł prąd rzeki. Haczowiaci są silni, dzielni i pracowici, Haczowianki słyną ze swej urody i odcinają się wybitnie od ogólnego tła okolicznych Łemków.

Łemkowie są potomkami Polaków i Kucwołochów, uchodzących przed najeźdźcami. Do pierwszych dwóch fal przyłączyły się inne, spowodowane polską polityką kolonizacyjno-osadniczą w w. XV i XVI-ym. Kolonizacji wołoskiej sprzyjali Jagiello, Władysław Opoleczyk i Ludwik Węgierski. Za króla Stefana w r. 1582 liczono już w ziemi muszyńskiej 63 „póldworzyszc“ wołoskich i siedemnaście — w dolinie Górnego Dunajca. Wiemy, że, zaczynając od Bolesława Chrobrego do Henryka Brodatego, królowie, książęta i komesy — jak Teodoryk Gryfita, Śreniawici, Pieniążkowie-Odrowążowie i inni — werbowali sobie do drużyn cudzoziemców, których w owe czasy sporo włożyło się po Europie w poszukiwaniu wolnego i dostatniego życia. Byli wśród nich Niemcy, Skandynawowie, Wołosi, Holendrzy, Szkoci, Włosi. Zapewne zabrnęli oni również na obszary Polski i dali tu początek antropologicznym typom alpejskim, laponoidalnym i dynarskim, które spotykają się wśród Łemków (Czekanowski), bo ich ziemie z biegiem czasu nadawano spolszczonym przybyzszom, ich samych zaś czyniono kmieciami, od panów zależnymi. Łemkowie otrzymywali od królów prawo rządzenia się według wołoskich obyczajów, nadania na wypas bydła w dobrach królewskich i biskupich, na budowę fo-



*Żywokost lekarški*



*Mlecz kołczasty*

luszów i młynów, na zakładanie pól i pasiek, z czego widać, iż byli dla władz ówczesnych elementem pożądanym.

Część Łemków kilkakrotnie przekraczała Karpaty i powracała nieraz, przynosząc ze sobą domieszkę krwi słowackiej, węgierskiej i germańskiej, powtarzając to, co spotkało Hucułów czarnohorskich. Być może, że wszystkie te szczepy, o które tak energicznie walczą działacze „ukraińscy“, jak Huculi, Tucholcy, Dolinianie, a nawet i Bojkowie, są im równie obce z pochodzenia jak i Polakom, rozpoczynając swój rodowód od pnia wołoskiego, zmienionego głęboko drogą licznych i różnych krzyżowań. W żyłach tych szczepów płynie za-



*Na górskim pastwisku...*

pewne tyleż polskiej, co i ruskiej krwi, ale w żaden już sposób przecie nie mają one krwi połowiecko-mongolskiej z Dzikich Pól Ukrainy. Taki to niezwykle mieszany typ zaludnia Łemkowszczyznę. Zapewne namiętnie i wiernie kochają oni swoją ziemię — czy tę wspaniałą, żyzną „Podola Karpackiego“, czy ubogie, jałowe spychy górskie i połoniny, — gdyż od wieków nie przekraczają jej granic, przestrzegają zazdrośnie swoich obyczajów, bardzo powoli pod naciskiem czasu i warunków życia porzucają swoje stroje i mowę — pełną słów ruskich, wołoskich, polskich, słowackich i staro-słowiańskich. Powracając z emigracji Łemkowie czym prędzej strząsają z siebie naleciałości europejskie i amerykańskie i stają się dawnymi

„Rusnakami“, „Spiżakami“, „Kurtakami“ i „Czuchońcami“, jak nazywano ich w dawne czasy. Obecna nazwa Łemków jest nowego pochodzenia i powstała wskutek zwracającego na siebie uwagę częstego używania przez nich słowa „łem“, co ma oznaczać „tylko“ (Kopernicki).

Mowa łemkowska na ogół różni się od znanych gwar ruskich akcentem swoim, odmiennym słownikiem wyrazów najbardziej pospolitych nawet — oraz częstymi skrótami.

Śród wsi łemkowskich znajdujemy dość liczne wsie polskie. Wiemy teraz dokładnie, że było ich więcej na teraźniejszej Łemkowszczyźnie, a jeżeli tak, to co się stało wtedy z Polakami, którzy niegdyś budowali tu „przysieki“ i „brony“? Porzucili te miejscowości i wynieśli się na zachód i północ? Nie wydaje się to prawdopodobnym, gdyż trudno przypuścić, żeby odłogiem pozostawili oni żyzne gleby kotliny jaśniejsko-sanockiej. Bliższy prawdy byłby domysł, że z biegiem czasu część kmieci polskich została przez zarząd dóbr królewskich i panów przeniesiona do innych miejscowości, część zaś z tych lub innych powodów stopiła się ze społeczeństwem łemkowskim, zmieniając nazwiska, zawołania i religię nawet, co odbywa się często i nieraz bardzo szybko, bo przecież nawet Włosi z Mediolanu — Marzani i Paletotini, osiedleni na Polesiu za czasów Bony, stali się od dawna — „rdzennymi“ już Poleszukami — Marzanami i Paltami.



...koza przyjacielem,...



...owca nieodstępny druhem





*Chata lemowska w Małastowie...*

dogodne dla Polaków rozproszenie osadnictwa na Łemkowszczyźnie, gdzie rzucają się w oczy zwarte skupienia osad łemkowskich, wśród których Polacy mają tylko pobyt sezonowy lub zamieszkują przysiółki. Dość szerokie pasmo osadnictwa łemkowskiego zwęża się coraz bardziej ku zachodowi — w powiatach krośnieńskim i jasielskim. S. Wygrzywalski tłumaczy to silnym obniżeniem Karpat w kierunku Przełęczy Dukielskiej i jeszcze jedną niezmiernie ciekawą okolicznością historyczną. Okolice te ogarniające Żmigród, Stary Żmigród i Kąty, dość wcześnie zostały zabudowane przez Polaków-„przewoźników“. Stanowili oni odrębną warstwę ludności i trudnili się prowadzeniem karawan przez Beskid Niski. Trakt handlowy biegł doliną Wisłoki na Biecz, Jasło, Dębowiec, Żmigród, i przez Duklę poza główny grzbiet. Kraj — pomiędzy Duklą a Gorlicami i Bardiowem, uważany był zawsze za mało bezpieczny. Grasały tu bowiem bandy beskidni-

Ten sam proces trwa również od kilkunastu lat na Litwie kowieńskiej i na Śląsku niemieckim i w Prusach Wschodnich, kędy nazwiska polskie i mazurskie, lecz nie dusze ulegają całkowitemu zniekształceniu. Jednak należy zwrócić uwagę na nie-



*...i w Przegoninej (pow. gorlicki)*

ków opryszków. Aby zabezpieczyć się przed nimi wynajmowali kupcy polscy, ormiańscy i węgierscy silne nieraz oddziały zbrojnych przewoźników, którzy za ustaloną opłatą podejmowali się przewozu i obrony ludzi i towarów przez Karpaty i inne miejscowości niebezpieczne. Przewoźnicy ci — odważni i przedsiębiorczy — przybywali z głębi Polski i osiedlali się po obu stronach traktu handlowego i u podnóża Beskidu Niskiego, czym daje się wytłumaczyć głębokie przeniknięcie Polaków w okolicach Żmigrodu i Dukli. Wyspy zaś polskiej ludności wśród Łemków powstały wskutek osiedlenia się Polaków, dawniej mających swe odwieczne siedziby w górach i puszczech, po stacjach handlowych, jak Piwniczna, Muszyna, Tylicz, Dukla, Jaślika, albo też wskutek zakładania osad przez bartników, potażników i smolarzy, jak np. Huty: — Wysowska, Krempska, Samo-  
 kłęska i Polańska w gorlickim, jasielskim i krośnieńskim powiecie. Łemkowskie wieś to zazwyczaj łańcuchówki z zagrodami typu jednobudynkowego we wschodniej i środkowej połaci kraju i typu dwubudynkowego na zachodzie. Domy łemkowskie są zmodyfikowanymi szałasami pasterskimi, po dodaniu do nich sieni, drugiej izby i komory. W zagrodach jednobudynkowych, zaraz za sienią rozpoczyna się część gospodarcza: stajnia, szopa i stodoła. Poza fundamentem z kamienia jako budulca używają Łemkowie belek świerkowych lub jodłowych, układanych na zrąb. Im bliżej ku wschodowi, tym częściej spostrzec można chaty o ścianach zwyczajem słowackim pokrytych równymi pasami białych okrągławych plam, po czym następuje bielenie kantów zrębu przez całą rozciągłość szpar pomiędzy belkami — aż takiej „wyprawie“ zdobniczej ulegną zewnętrzne ściany izb mieszkalnych i wreszcie cały dom, jak to się prak-



*Dom w Lelechowice*

...  
 zachodzie. Domy łemkowskie są zmodyfikowanymi szałasami pasterskimi, po dodaniu do nich sieni, drugiej izby i komory. W zagrodach jednobudynkowych, zaraz za sienią rozpoczyna się część gospodarcza: stajnia, szopa i stodoła. Poza fundamentem z kamienia jako budulca używają Łemkowie belek świerkowych lub jodłowych, układanych na zrąb. Im bliżej ku wschodowi, tym częściej spostrzec można chaty o ścianach zwyczajem słowackim pokrytych równymi pasami białych okrągławych plam, po czym następuje bielenie kantów zrębu przez całą rozciągłość szpar pomiędzy belkami — aż takiej „wyprawie“ zdobniczej ulegną zewnętrzne ściany izb mieszkalnych i wreszcie cały dom, jak to się prak-

tykuje w powiecie gorlickim a także w jasielskim. Jednakże najbardziej zwracają na siebie uwagę domy o barwnej wyprawie — czarnej, czerwonej i żółtej z równoczesnym bieleniem szpar międzybelkowych,



*Kościół oo. jezuitów w Starej Wsi*

ram okiennych i framug wejściowych. Zamiast farby używane są miejscowe kolorowe glinki i łupki bitumiczne, zmieszane z ropą. Okapowy, o szerokim kącie szczytowym dach chaty kryty bywa gontami, słomą lub dranicami, przy czym kalenice wzmocnione są

szeregiem gontów, snopkami słomy lub kozłami. Szczyty domów są starannie pobite gontami. Chaty częstokroć nie posiadają kominów. Takie „kurne” legowiska mają ponury wygląd: okopcony pułap i czarne ściany, okryte grubą warstwą sadzy nie usposabiają mieszkańców ich do wesołości i różowych nastrojów, tym bardziej, że dawne okienka — małe, o dziewięciu drobnych, mętnych szybkach, nigdy nie otwierane, nie przepuszczają świeżego powietrza i promieni słonecznych. Jedyłą białą plamą na czarnym tle odcina się codziennie pobielany piec. Obecnie zjawily się już piece z kominami, większe okna rozmaitych typów, a nawet domy murowane. Zabudowania gospodarcze, stosunkowo niedawno wprowadzone „sypance” — spichrze, chlewy, stajnie i szopy stawiane są pod jednym dachem z izbami mieszkalnymi. Osobno stoją tylko piwnice kamienne, wkopane głęboko w zboczu pagórka. Niektóre chaty mieszkalne na zewnątrz zasłonięte są oszalowaniem z desek, co przechowuje ciepło w izbach i daje miejsce na skład drzewa opałowego lub słomy na podściółkę dla bydła. Na Łemkowszczyźnie każde niemal gospodarstwo ma swoją „filię” w górach, gdzie stoi „chryza”, czyli letnia chata jednoizbowa i stajnia. Przebywają tam Łemkowie na wiosnę i w jesieni, gdy orzą wysoko położone pola lub zbierają plon. W pewnych miejscach celem tych zagród sezonowych jest wypas bydła — tradycyjne zajęcia potomków wędrownych Kucowolochów. Stoją tam budy dla bydła i budki dla pasterzy, a czasem szałas, chociaż w tym wypadku wygody człowieka odchodzą na plan dalszy, jak daje się to spostrzec u wszystkich koczowników, bo echa ich życia nie zamarły jeszcze w duszach Łemków. Koło domów pojawiły się już sady owocowe, lecz są one prowadzone nieumiejętnie i do nich miejscowe gospodynie nie czują, zdaje się, żadnego pociągu.

Pola i pastwiska większej części włościan ulokowały się na marnej, nieraz błotnistej glebie. Gospodarstwa z biegiem czasu zostały rozdrobnione, a ziemia, słabo nawożona i niewspółcześnie uprawiana, niedostateczny dla wyżywienia rodzin daje plon. Najlepiej ze zbóż udaje się owies i jęczmień, urodzaje żyta bywają słabe i niepewne, pszenica z powodu wysokiego położenia, późnej wiosny i wczesnej zimy prawie nigdy się nie udaje. Gospodarstwa rolne Łemków po zniszczeniu ich przez szalejącą tu w r. 1915 wojnę, a już i wcześniej nawet — wobec zaniedbania roli przez licznych wieśniaków udających się na emigrację do Kanady, Francji i Stanów Zjednoczonych nie mogą jeszcze dojść do stanu normalnego. Przeszkadza temu w

znacznym stopniu rozdrobnienie posiadłości włościańskich i rozbitcie na małe kawałki, w nieładzie rozrzucone po terenie. Obecnie prowadzi się energiczna walka z tymi „szachownicami“ drogą komasacji, życzliwie przyjętej przez Łemków w zupełnym zrozumieniu jej korzyści. W pierwszych latach odbudowy zniszczonego przez Niemców i Rosjan Państwa, Łemkowie byli pozostawieni własnemu losowi. Wielkie z tego powstały braki — materialne i moralne, lecz teraz, w miarę słusznego zainteresowania się tym ludem, od wieków wspólnymi z Polakami kroczącym drogami a istotnie potrzebującym mądrej i serdecznej opieki, wkrótce już nastanie czas, gdy Łemkowie podniosą stroskane głowy i różnie już spoglądać będą w przyszłość. Nie łudźmy się jednak nadzieją, że lud łemkowski zachowa na długo jeszcze swe dawne cechy zewnętrzne i swoisty byt. Już obecnie i to i tamto zmienia się szybko, przekształca się i zmierza do szablonu. Na to nie ma rady! Cywilizacja i ogólnie państwowy plan życia są to potężne czynniki ewolucji i standaryzacji we wszystkich dziedzinach. Taka jest konieczność dziejowa...

Znawcy tego kraju wskazują, że mogłyby tu jak dawniej dawać dobre zyski wypas wołów, sadownictwo, pszczelarstwo i uprawa lnu. Przemysł ludowy nie jest w stanie podnieść dobrobytu Łemków, jak ma to miejsce na Huculszczyźnie. Łemko — pierwotny, niepomysłowy rzemieślnik — „struga“ łyżki, misy, talerze i inne przedmioty z drzewa w Nowicy i Leszczynach, wyrabia żarna w Bartnem, Przegonieniu i Jaśliskach, tka grube sukno i płótno w Świątkowej, Krempej i Polanach, warzy w Łosiach znaną w całej bodaj Polsce maź kołową i robi miotły; lubi wędrować z wyrobami własnego skromnego przemysłu po wsiach i miasteczkach, bo to prawdopodobnie koł budzącą się w jego sercu tęsknotę do dawnego życia koczowniczego. Rzeźbiarstwo w drzewie, choć zdradza piękne i bogate motywy, u Hucuków zapewne zapożyczone, nie wydało tu ani jednego prawdziwego artysty tej miary, co Szkryblak, Diaczuk-Derejuk i Mehedeniuk za Prutem, ani takich garncarzy, jak Bachmiński, Koszak i Tymiak w Beskidzie Huculskim.

Źródłem dobrobytu Łemków może stać się wyłącznie rola i pastwisko oraz naturalne bogactwa ich kraju — źródła lecznicze — szczyawy żelaziste w Wysowej, siarczane — w Wapiennem, Uściu Ruskim, Gładyszowie, Samoklęskach, Mszanie itd.; solanki — w Ropic, Prelukach i Uhercach a także i te, których na swych terenach uzdrowiskowy Iwonicz i Rymanów jeszcze nie wyzyskał. Przy stosowując je do użytku publicznego i ułatwiając komunikację można

byłoby tu ściągnąć niezamożne zastępy kuracjuszków i kolonice dla dzieci, co dałoby zarobek okolicznej ludności łemkowskiej. Trudno byłoby wylizzyć wszystkie miejscowości tak bardzo nadające się do zorga-



*Kościół w Haczowie*

nizowania stacji klimatycznych, letnisk i kolonii dla młodzieży — gdyż jest ich zbyt wiele, a częstokroć o wysokich walorach i możliwości rozwoju. Tym a nie innym sposobem związanoby gorączkowo, sztucznie, natrętnie „ukrainizowaną“ Łemkowszczyznę z Polską, za-



*Sypaniec (spichrz)*

Ja sy chłopak szwydkyj, ny bojusia bytky,  
Chto sia bytky bojit, ten za drzwiami stojit...

Ze zdumieniem i utajoną radością słuchać go wtedy będzie siwy staruch — niedobitek z czasów minionych i ciężkich jak koszmar, jakiś tam Atanas-długowłosy i po dawnemu „czuchaty“.

\* \* \*

Niedziela... Pogodna jesień od dawna już w złoto i szkarłat odziała gaje bukowce, brzozy, olchy i jarzębiny. Ścierniska lśnią się złotym połyskiem, a nad nimi snuje się błyszczącymi pasmami „babie lato“, na podorywach runią się oziminy; po ugorach,



*Folusz sukienniczy*

interesowaną w ekonomicznym odrodzeniu tej części Beskidu Niskiego i jego przedgórze. A wtedy czy przy radle, czy przy baranach na „łuhu“, czy i w niedzielę po cerkwi donośnym wesołym głosem zaśpiewałyby — nie zatruty podstępna agitacją z za kordonu — młody Łemko z wojska do zagrody wróciwszy:

szukając dobrej trawy, błakają się laciaste krowy.

W dolinie, wśród grabów i lip, wznosi się niby ścięta piramida czworoboczna dzwoniczka z galeryjką i kopułką na szczycie, a za nią dwie inne kopułki na czterookopowym dachu gontowym drewnianej cerkiewki. Dalej — hen —

za rzeką bieleje inna — murowana, o zarysach okrągłych; trzy na niej kopuły, przy niej dzwonnica.

Drogą, co wije się brzegiem, idą ludzie kupkami, przystają, gwarzą i dążą dalej. Różowy kurz klebi się za wozem. Barwne, wesołe ukazują się na nim plamy.

— Ha — to młodycie idą z cerkwi!

Tak myśli patrząc na to, co dzieje się na nizinie, stary gazda Atanas, lecz nie uśmiecha się ani do strojnych dziewczyn, ani do słońca nawet, ani do migocących w jego promieniach „farbitek” — chust młodyc i ich „malowanek”.

Wyszedł dziś z chaty bodaj o świcie, zanim synowie z żonami i dziećmi do cerkwi zbierać się poczęli, i zabrnął starym zwyczajem, może od lat osiemdziesięciu, a może i dłużej — znaną mu ścieżką na ten „hrunek”. Niewysoki to pagórek, a przecież widać z jego szczytu całą okolicę, całą...

Westchnął Atanas i okiem ogarnął daleki plant kolejowy, białą wstęgę szosy, a potem wzrok zatrzymał na cmentarzu przy cerkwi. Pociągnął głośno nosem, oparł się mocniej na sękatym kijku i mruknął do siebie:

— Dawniej tego nie było, a wszak żyli ostatnio Fedor, Andruszko, Baraba i Iwan z Hawrylą, co to leżą sobie teraz w ziemi przy cerkwi i już o nic się nie troskają.

— Och! — westchnął znowu i ciężką ręką



*Szalasa pasterski*



*Kamienne szalasy*



uczynił na piersiach trzykrotny znak krzyża. — Długie, bardzo długie życie dał mi Bóg, a po co?

Stęknął i usiadł na skraju ścierniska. Koniki polne, niby szare bryzgi, rozprysnęły się na wszystkie strony. Stary pochylił się, bo w burej trawie między dojrzał drobne, żółte grzyby „łyszki“ i inne — „barani rohy“ co to jeszcze przetrwały, jak on sam — stary Atanas, rolnik łemkowski i pasterz.



*W sanockim i w gorlickim powiecie gazda...*

Poprawił na głowie staromodny, wypłowiały „kałap“ — okrągły kapelusz filcowy, nabyty niegdyś u Słowaka wędrownego.

Zamyślił się, i — zapatrzony w promienistą dal, — nic już nie widział. Właściwie widział i słyszał gazda, tylko wszystko to było niejasne, ni to jakieś majaki, ni to echa zamierzające za Wisłokiem. Jakaś tęsknica żrąca ścisnęła mu serce, a potem wżarła się w nie kłami i już nie popuściła. Zdawało się, że razem z krwią w żyłach,

sączyły się wspomnienia, w niej jak ropa w ziemi ukryte. Atanas widzi przed sobą ogromny, bezbrzeżny step, tak ogromny, że aż mu się w głowie zakolowało. Step ów tak się rozparł, że zdawało się, iż jest to olbrzymia zielona stolnica, a na niej — szafirowa kopuła nieba. Hej — ani tu, ani tam nie widać końca i skraju! Aż oddech staremu sparło, bo nigdy tak bogatego stepu nie widział i wymarzyćby nie potrafił. To krew jego, co tała w sobie gorącą czer-



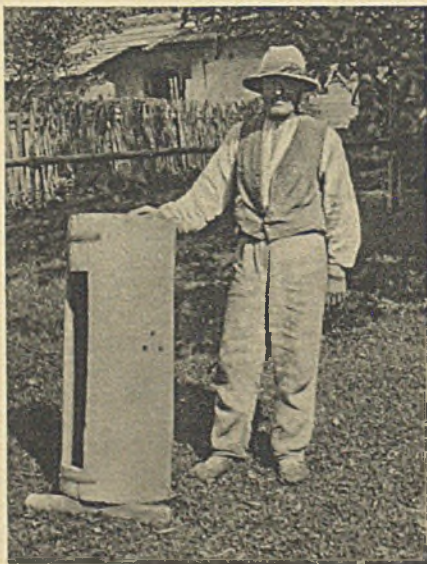
*...lemkowski odziewa się w zdobną czuchanię*

wień praszczurów wołoskich, pokazała mu dalekie widnokregi południowych, nadmorskich przestworzy, na nich zaś płowe woły o szerokich rozlogach rogów, czerwone krowy o ciężkich wymionach, tysiączne kierdele baranów, owiec i kóz. W końcu dojrzał sędziwy Łemko przodków swoich — starodawnych pasterzy — i zdumiał się. Spod szerokich rondów kapeluszków wybijały im się długie, czarne włosy, pyłem stepowym niczym siwizną przy-



Przy tokarce — wyrób tyżek

wzrok jego dojrzał to, co było najważniejsze i najbardziej wymowne — odzież! Niczym się nie różniła ona od strojów, noszonych jeszcze przez starych gazdów łemkowskich. Wszystko na tych smagłych i rosnących pastuchach „fajne” było i wedle obyczaju — „soroczki”-koszule, o kołnierzach, kraśnymi wstążkami zawiązanymi od tyłu, — gdzie się tworzyła pazucha; wełniane spodnie — „hołoszni”, niebieska kamizelka tzw. „lejbyk” aż z szczęci rzędami świecących się guzików, ciemna kurtka z rękawami — zwykły „sierak”, czy jak indziej mówią — „hunia”, a na jedno ramię narzucona ciemno-brunatna „czuchania”, z długą na plecach „galerią” — peleryną, zakończoną białymi frędzlami, a wszystkie szwy i kanty lejbyków, sieraków i czuchań — zdobione barwnym sznurkiem czy sukniem. I spodnie — „hołoszni” z ciemnej wełny, ściągnięte szerokim pasem skórzanym z kieszeniami, jaki nosił jeszcze dziad Atanasa —



Ul. „kołoda” ąrażony w pnit:

też Atanas; „kapeluchy“ filcowe, szerokie — prawdziwie, rdzennie lemkowskię z zagiętymi do góry rondami! I onuczę „chustianky“ na stopach — „skirni“ — chodaki... wszystko znane i swojskie.

Jakiś kundel zabłąkany nie zwietrzywszy człowieka zawczasu wypadł znieacka na Atanasa, przysiadł przerażony i po chwili umykał już poszczekując jękiwie. Widzenie przysto...

Stary wyciągnął z kieszeni płóciennych, brudnych „nohawek“ fajeczkę i kapciuch z machorką. Zapalił i émił sobie powoli, patrząc, jak ucieka dym z nozdrzy i odpędza drobną „muszkare“, co lepić się poczęła do pomarszczonej i ciemnej skóry starca.

— Hej, gdyby tak było! — marzy Atanas, wspominając widziany obraz. — Hej, choć raz jeden okiem rzucić na ten step i na te woły długorogie, lepsze nawet od węgierskich, i na te owce, przelewające się jak wart wezbranego potoku.

Tak marzy starzec i nie wie, że odżyły w jego duszy radości i troski dalekich przodków —

pastuchów koczowych. Nie wie nic o tym, że nastala niegdyś czarna godzina, kiedy to uchodzić musieli na północ wciskając się pomiędzy góry a pola ludu polskiego. Wtedy szukali połonin dla bydła, szałasę stawiali, z gałęzi smrekowych sklecone, opędzali się niedźwiedziom, rysiom i wilkom, bili się na śmierć ze zbójnikami, którzy gniazda swoje mieli w karpackich rozłogach, aż doszli do tej tu krainy i tu pozostali, bo dalej, snadź, sunąć nie mogli, a z czasem już i — nie chcieli. Wszystko tu inaczej, nie tak jak na stepach z widziadła, co go tak dziwnie judziło, a nawet nie tak, jak to dziadowie gospodarzyli, stawiając na halach szałasę dla owiec i wypasając woły węgierskie. Teraz już mało jest gazdów, którzy mają chyżę i szopę na hali za polem, i wołów już nie widać opasłych, a i bydło marnieć poczęło. Dopiero niedawno wojsko polskie



*Przy krosnach*

rozdało właścianom dobre barany i owce a i o krowy też troskać się poczęły władze. Zapewne „łem“ czekać — lepiej będzie, ino on — stary Atanas — tego już chyba nie ujrzy, bo to już i czas, by nad nim, wedle zwyczaju zawodząc żałośnie zaśpiewały baby:

Już ja sia wybraju do hrobu sumnoho,  
Już mia tu ne budete wydity,  
Dity moi nikoły...



*Kościółek w Libuszy (pow. gorlicki)*

Westchnął znowu i brwi gęste nastroszył, ni to strach odganiając, ni to czując, że w sercu gorycz wzbiera, niczym potok górski.

Po chwili jednak uspokoił się i o innym zupełnie myśleć zaczął, ot tak, aby nie siedzieć z pustą głową. Synowie jego w Ameryce byli i „stówki“ dolarowe do domu jemu i swoim żonom posyłałi. Dokupił on wtedy gruntu i coś-niecoś z trzody, a gdy powrócili z za morza...

Atanas zaklął nagle i kijem w ziemię uderzył. Owa wojna przyszła i hulać poczęła, jak wścicka!

Splonęły wsie, pokotem legły łany, pobrano bydło, a iluż to ludzi poległo, jak dwóch jego synów pod Gorlicami i na Dukielskiej przełęczy... Wszystko poszło z dymem i z krwią! Och, Boże

Miłosierny, co się tu działo!! Wszak cała bodaj ziemia cmentarzami wojennymi się okryła. Widział je Atanas gdy, żeby coś zrobić, kupczył po wsiach i miasteczkach. Widział te mogiły, tyśiące mogił na cmentarzach w Magórze Małastowskiej, Gorlicach, Staszówkach, Pustkach, Łużnej i wzdłuż traktów, a już je tam i ówdzie przeorał pług i jęczmień okrył rozkołysanym łanem. Zapewne z torbami poszłaby cała rodzina lub z głodu wymarła, gdyby nie brat Szymon, co, z Kanady powróciwszy, zagrody ani nikogo ze swoich nie znalazł, więc do Atanasa przysłał i dolary mu swoje oddał. Trochę wytchnęli wtedy i odżyli. Mogliby zapewne stanąć mocno z takim kapitałem, ale nie sążzone to im było. Chwała Przczystej, że choć zdążyli nieco chudoby dokupić i nową chatę wystawić z dymnikiem wysokim i aż czterema izbami, bo resztę dolarów wycyganili Żydy z miasteczka i na marki wymieniły. Wiadomo — papier, dym, ot tak — zupełnie nic! Szymon z tej zgryzoty do mogiły się położył, ale Atanas i synowie wytrwali.

— Dzie-c-c-dziu A-a-tana-a-a-s! — dobiegło z doliny dźwięczne, jak granie fujarki, wołanie dziewczęce. Ho-ho-dzie-e-e-dziu!

Starzec wstał i odkrzyknął w dół:

— Hau, Marynoczko! Po-łe hau!

Oparty na kiju uśmiechał się łagodnie i czekał.

Przyszła... Kraśna, jak zorza, roześmiana jak słonko, co na szypotach rozprysnęło się figlarnie. A strojna, a barwna!

Jasny wąż warkocza wyslizgnął się spod pstrej chustki, na skroniach z obu stron świeżej, wesołej twarzy poruszały się z lekka „mucyky“ starannie skręcone loczki a puszyste, bo dziewczucha włosy w „warze“ z liści kapuścianych z wieczora wymyła. Granatowy gorset odsłaniał białą, lnianą koszulę, na mankietach czerwona i czarna włóczką ozdobiona, na spódnicy były w oczy pasma różnobarwnych wstążek i fartuszek, również poszyty wstążkami, których cały pęk zwiślał od kołnierza „soroczki“ i przykrywał nieco sznury paciorków i koralików. Małe stopki obute były w żółte chodaki, włożone na świeże, białe onuczki. Marynka, szybko wchodziła na pagórek stromą ścieżką wymachując trzymaną w ręku „huńką“ i coś podśpiewując.

Wreszcie wbiegła na szczyt „hrunka“ i łasząc się do dziada szczebiotała:

— A chodźcież, dziedziu, bo już wszyscy z cerkwi powrócili! A chodźcież, bo strawa czeka na stole!

Ciągnąc starca za „czuchę“ trajkotała bez przerwy:

— A na stoli pyrohy, maczanka z muky z mołokom, warianky z kapusty i bandurky z hrudkoju.

— Hardi! — uśmiechnął się do niej dziad.

— Nuże, chodźcie tedy, dziedziu! — pociągnęła go za sobą.

Atanas wspierając się na lasce począł zstępować z góry. Choć leciwy był, szedł pewnym, lekkim krokiem nadążając za wnuczką, która rozejrzawszy się wokoło zauważyła:

— Baczcie-łem, dziedziu, jaka tam zawała!

Istotnie od zachodu sunęła ciemna chmura. Stary machnął ręką i uspokoił dziewczuchę, że deszczu ani wiatru halnego do nocy nie będzie. Ucieszyło to ją widocznie, bo wydała cichy okrzyk i klasnęła w dłonie. Po chwili śmiała się jak dzwonek, bo jej huńka z rąk wypadła i potoczyła się po stromej zerwie.

Stary gazda przyjrzał się jej uważnie i pytająco, po chwili zaś mruknął:

— Haj tam! Któryż to z chłopaków „wyhledał“ ciebie za „żeniczkę“, Marinko?

Przystanąła, lecz nagle jednym skokiem przypadła do niego i, szarpiąc go za poły „czuchani“, mówiła szybko i gorąco:

— Któż inny, jak nie Hryc — „hardyj“ chłopak! On już „chomełkę“ mi do czepca z leszczyny struga, a świekra czepiec szyje... Prędko już prędko swaszki przyjdą „ładkaty“, by matula Marynoczkę im pokazała... Ach, dziedziu!

Zawstydzona nagłym wybuchem, ukryła zarumienioną twarz na piersi Atanasa.

— Daj wam, Boże, szczęścia! — szepnął gazda ogarniając wnuczkę ramieniem. — Daj Boże!

Nic nie mówiąc więcej schodzili w dolinę. Gdy weszli do izby, cała rodzina zasiadała już do stołu.

— Dobre dnuwałyste? — spytał starzec czyniąc zadość dobrem obyczajom towarzyskim i powiesił na kołku laskę, czuchę i kapelusz.

— Dobre, sława Bohu! — odpowiedzieli mu chórem domownicy.

Usiadł i pierwszy ze wspólnej misy łyżką lipową wyciągnął pierog i zatopił go w maczance.

Do misy wyciągnęło się natychmiast piętnaście łyżek.

— Duże dobri pyrohy! — pochwalił Atanas.

Jedli szybko i zręcznie, a gdy skończyli i podziękowali Bogu, stary gazda zrzuciwszy hunię i lejbyk wgramolił się na zapiecek, aby z nawyku przespać się nieco. Sen jednak nie chciał tknąć powiek Atanasa. Czuł się podnieconym i wzburzonym. Ale czym?

Czy ożywającym w nim majakiem dawno minionych koczowisk stepowych praszczurów — pasterzy, co aż tu nad Wisłok i Jasiołkę zabrnęli, czy może uradowała go wieść, że wnuczka Marinka — tylko patrzeć czepiec niewieści wdzieje i własne gniazdo z Hryciem założyć?

— Daj im, Boże, szczęścia i zdrowia! — szepce gazda i nagle odbiegają go wszystkie troski, a jakaś fala wesołości tak go porывa, że nabija „duhanem“ fajczkę i basowym głosem nucić poczyną:

— Popid lis kałynowyj, Tam Marynka chodyła, Kałynu łamała...



*Cerkiewka w Kolanni (pow. jasielski)*

I tak już zasypia... Zasypia i nie słyszy, jak w sieni drżącym głosem opowiadają sobie baby, że tej nocy parobek Fedko słyszał, jak sowa — zła wieszczka — „hołowkaty“ dwa razy poczyną.

— Diżdaj, chtoż to pomre? — spytała strwożona Marynka.

— Może Atanas, bo duże stareńkij — odrzekł cichy głos niewieści.

W tej samej chwili stary gazda wypuścił zgasłą fajkę z ust, zamruczał przez sen — „Z łyeczka rumianoczek, — Z hołowońki winoczek“... — i chrapnął potężnie, po gazdowskiu.



Starzy ze zgorzeniem patrzą na wdzierające się zewsząd nowe obyczaje. Jeszcze nie mogą lub nie chcą dobrych od złych odróżnić. Już, zacisnąwszy zęby, darowaliby pogardę młodzieży do odwiecznej odziczy lemnowskiej, bo — jeżeli prawdę powiedzieć — droga jest ona na te czasy i niedogodna, kiedy uwijać się trzeba i ruszać bez przerwy, by końce wiązać z końcami, walcząc o dzień jutrzejszy.



*Niedziela przed cerkwią w Wysowej (pow. gorlicki)*

Dobre jest to, że choć lejbyków nie porzucają i sieraków, a reszta... ech, minęło, minęło! Parobki wolą fabryczne spodnie, marynarki, kapelusze i trzewiki, bo to miejskie, współczesne. Tego ich nauczyli ci, co po miastach w wojsku służyli, bo im lemnowska „staryna“ myszką trąci. Chwała Bohu, że baby i dziewczuchy dawnych strojów się nie wstydy, ale i to prawda, — że bardzo pięknie w nich wyglądają na zielonych kobiercach łąk i na tle ciemnych ścian lasu.

Wiadomo, niewieści ród! Jeszcze ledwie-ledwie utrzymuje się dawny nawyk malowania chat na czerwono w białe pasy, a nawet w dwa kolory — czerwony dla mieszkalnej połowy i żółty — dla gospodarczej, lecz utrzymuje się — i to cieszy serca starych gazdów. We wszystkim innym wielkie zaszyły zmiany! O gospodarstwie inaczej już myśli młodzież, coś tam o spółdzielniach jakichś się naradza, o pożyczkach, oborowym chowie bydła, o nowych szkołach, drogach i lekarzach wiejskich.

— Może to i dobre, ale nowe, a więc i straszne — mruczą do siebie starcy i podejrzliwie patrzą na młodych gazdów. Staruchy tylko, a i młodsze baby nie zwracają na te gadania najmniejszej uwagi. Nie mają czasu i w dawnej żyją atmosferze. Ustaliła ją i w nieruchome, zda się, przyoblekła formy długa przeszłość łemkowska, co na wszystko — od urodzenia do śmierci, na każdy dzień i każdy czyn niezłomnie utrwaliła prawo niepisane. Siwowłosi gazdowie wstydzą się już, ale baby nie ustępują i żądają, by „take welyke ważne diło“, jak budowa nowej chaty odbywało się starym zwyczajem szukania za pomocą kołaczyków zawieszonych na patykach — szczęśliwego miejsca i wpuszczenia do nowego domu koguta przez okno, zanim ktoś pierwszy wejdzie do sieni. A orka i siew — od czego zależy urodzaj i byt rodziny — czyż to nie „welyke ważne diło“ i czyż



*Łemkowie w Wisłoku...*



*...i w Wielkiem (pow. sanocki)*

można tu czegoś zapamiętać i nie wykonać, co przez tyle wicków chroniło dziadów od kłęski i głodu? Należy więc oracza, konie i woły, pług i bronę wodą świętojańską pokropić, między kołami pługa umieścić chleb w lnianej szmatce, konie batogiem przeżegnać w imię Boże. Wielka to nieostrożność, gdy gazdynia przed wyjazdem „czołowika“ na siew zapomni kozuch „na liwyj bik werchom“ włożyć, pokropić ziarno wodą, a resztę wylać tuż poza wozem, a już nigdy



*Kobieta lemowska...*

nikomu nie wolno tego dnia pożywać węgla, zapalek i w ogóle ognia! Przeciwno gradobiciu ludziska święcą patyki leczynowe i zatykają je po polach. Pierwszy snop z pola przynosi do domu gazdzina, a wtedy już nikt nie tknie zboża w polu, jak również myszy nie będą psuć ziarna, jeśli przed pierwszym wozem żyta na boisku rzucić zamkniętą kłódkę. O tym wszystkim pamiętać należy starannie, bo tego wymaga surowe, niepewne życie w łemkowskiej krainie. Wróżby wszelkie i szczątki, echa dawnego prawa ludowego i czary — to też dziedzina niewieścia, zazdrośnie przez nie przekazywana córkom, bo wnuczki już zmałdrzały i śmieją się w żywe oczy,

patrzac na praktyki babskie i słuchając, co gładzą one cichymi głosami, ni to wielką powierzając tajemnicę. Szepcą zaś one i mruczą o „chowańcach“ — dobrych, chętnych do pomocy ludziom biesach domowych, o „błudach“ złośliwych, które pijanych i niewierzących gazdów na rozstajne wyprowadzają drogi, aż chłopcy zabłąkają się gdzieś i przepadną. Mruczą coś o „wenkluzach“ czy „jengluszach“, co to zuchwałemu człowiekowi, jeżeli zdobyć je i ujarzmić potrafi, pieniędzy przysporzą. A ileż to te stare, w kabłak zgięte baby mają w pamięci opowieści „szczyrych“ o diabłach i wiedźmach, o topielicach, o sile uroków od złego oka, a jeszcze więcej odczynów, zamawiań i zaklęć przeciwko czarnym mocom piekielnym?! Leczyć też umieją wszystkie choroby, byle dzień wybrać odpowiedni, szczęś-

liwy i taką również godzinę, czy to do „swytanja“ czy „z noczy“. Skuteczne to są leki — owe „czorne zila“, które tak trudno znaleźć, jak i kwiat paproci na Kupałę; ale i pospolity barwinek, spalony na popiół, dobry jest na bielmo, tendziawa w gorzałce — na cholereę, a i tyrylcz niezgorszy. Na gojenie ran niema lepszych środków, jak sok „serpnyka“ i popiół ze skóry jeża. Obkurzanie „prystritem“ zdejmuje uroki, lecz to nie wszystko, — bo w siwych głowach, okrytych czepcami, przechowuje się prawdziwa skarbnica sposobów na obłity udój, cielenie się krów i owiec, na tłuste mleko i na epidemie u zwierząt domowych, poza tym — któż inny, jeżeli nie baba, zna do sedna dawne obyczaje — przy chrzcie, ślubie i pogrzebie. Przed tymi „starinkami“ poważnieją nawet i śmiać się przestają wnuczki, co już łyknęły życia wielkomicjskiego, a dlatego, że są to bardzo rzewne zabobony, pełne dostojności i wymagające żywego udziału osoby zainteresowanej, która staje się celem współczucia, zachwytu i zazdrości, szczególnie więc przy obrzędach weselnych, o czym najśmielsze i najbardziej wyemancypowane dziewczuchy myśleć i marzyć nie ustają. I nie dziw, boć to wszakże życie, nowe życie, które trzeba rozpocząć i do grobowej deski możliwie szczęśliwie dociągnąć na roli, łąkach i w chacie mężowskiej, co będzie cichą przystanią lub też udręką niewypowiedzianą i nieskończoną. Śledzą więc dziewczuchy pilnie, pamiętliwie na zasłyszane rady babek, by „swatacz piszow na diwky“, wedle obyczaju łemkowskiego i, gdy się ułoży z rodzicami chłopca, wraz z „tatio“ poszedł do księdza dać na zapowiedzi. Nie zapomni panna młoda przyjmować podarki ślubne nie gołą ręką ino przez lnianą chustkę i ofiarować oblubieńcowi kołacz i koszulę, otrzymawszy od niego kołacz z białej mąki, podany na „chusti“ do czepca. Pamięta ona też o tym, aby swatki i drużki włożyły jej do trzewików ziarna, przędzę, miód i pieniądze, by w cerkwi ślubny wianek nie zsunął się



...z powiatu gorlickiego

z głowy i nie zgasła świeca w rękę starosty. Po skończonym obrzędku, tuż na dziedzińcu cerkiewnym młodycia potajemnie puści sobie świeże jajko kurze za pazuchę, a gdy ono bez zatrzymania ześlizgnie się po jej ciele i spadnie na ziemię — młoda mężatka już wie, że porody będzie miała lekkie, więc uśmiecha się radośnie, kiedy ją i męża sąsiedzi obsypują ziarnem na bogate i płodne życie. Z cerkwi nowożeńcy powracają każde z osobna do rodzicielskich chat, gdzie dawniej zawsze, a teraz już w niektórych zaledwie okolicach, naprzeciwko nim wychodzą rodzice, odziani w kozuchy, wywrócone futrem do góry, niosąc na plecach chleb — znowu dobra wróżba na szczęście i dostatek.

Po obiedzie u rodziców młody z przyjaciółmi idzie do chaty żony, ale znajduje ją zamkniętą. Pukają głośno, a wtedy wywiązuje się tradycyjna rozmowa. Zapewne ustalili ten rytuał młodzi pasterze stępowi, inną niegdyś posługujący się mową, gdy to, podczas krótkich postojów po większych obozach koczowych, wypatrywali sobie dziewczuchę po sercu i, wymaniwszy ją na step szeroki, jak umieli, przekonywali o swej miłości i o tym, że cała ziemia, słońce, księżyc i gwiazdy tylko dla nich dwojga zostały stworzone, aby w radości



*Kotylska polna*

i szczęściu żyć mogli. — Chto tam je? — pytają z chaty.

— My — ludy podorożni, spokijni, chcymy u was widpoczaty! — odpowiada pan młody.

— My was ne znajemo — szczo wy za ludy, może wy jaki opryski, bo ne majete żadnych znakiw, a czomu wy deś do inszoji chaty ny zajszły? — udanie groźnym i niby strwożonym głosem pyta dalej ojciec mołodyci.

— Nam sa tut zwizda objawyla, tu stała i dała nam znak, szczo by my tu zajszły — objaśnia pokornie jeden z družków.

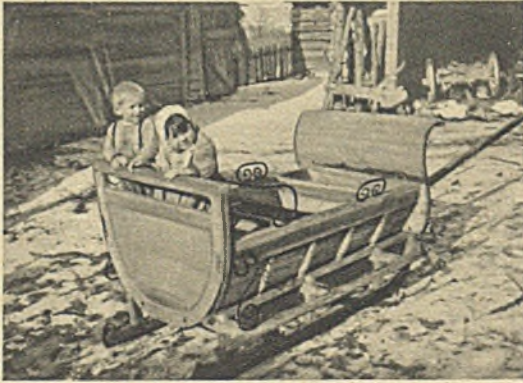
Drzwi się otwierają — goście wchodzą, piją wódkę i zasiadają do stołu, chociaż mołodyci nie wiadać i nie słyhać. Wtedy swazki rozpoczynają „ładkanie“ grożąc, że nie będą pić i jeść, zanim nie pokażą im mołoduchy, starosta zaś przysięga, że nie ujrawszy jej nie opuszczą chaty.

Gospodarz się certuje, zwleka i kręci, w końcu wychodzi i powraca z parobkiem o wypchanym poduszkami brzuchu i długich wąsach. Po długiej mitrędze przyprawdzają wreszcie oblubienicę i sadzają obok młodego męża. Stoły już nakryte, jedzenie i picie przygotowane. Zaczyna się uczta weselna, podczas której młodym podają osobne dania, najczęściej kurę.

Wreszcie „młoda“ wraz ze swoją skrzynią wyprawną przybywa wozem do domu męża. Pierwsze straszne, odpowiedzialne kroki, decydujące o całej przyszłości! O ile przed ołtarzem broni swych praw głowy domu mężczyzna, bacząc, by kobieta nie nadepnęła mu na nogę, nie przycisnęła do jakiegoś twardego przedmiotu odzieży i podczas przysięgi nie położyła na jego rękę swej dłoni, o tyle, wchodząc do nowej chaty, działa z gorączkowym pośpiechem niewiasta. Ona pierwsza zaczyna się myć, by odpędzić złe moce, ona też kropi wodą gości i wszystko wokół w całej zagrodzie. Do świtu nieraz przeciągnie się starodawny „propijnyk“ — zapijanie młodej i ocepiny, gdy to przy jej płaczu i zawodzeniu zdejmują



*Przędzenie wełny*



*Łemkowskie sanki*

dło rozpoczyna powszednie, szare życie i już od tych dwojga ludzi zależy, czy będzie im przyświecać słońko, czy też „nawała” czarna okryje dziś takie promienne niebo nad nimi.

Są to stare, siwe obyczaje, ale pełne nieśmiertelnej żywotności. Niech cywilizacja, współczesne poglądy i prądy przenikną całe życie Łemków, zmienią wszystko, zabiją szyderstwem diabłów, wiedźmy, duchy, rusałki, uroki i inne zabobony, co rychło już nastąpi, jak tylko umrze gazda Atanas i staruchy — znachorki, — te obyczaje weselne długo jeszcze żyć będą! Jakiż bowiem chłopak i jaka dziewczyna nie zechcą w tym ważnym dniu uczynić wszystko, by stworzyć sobie życie pogodne, dostatnie i szczęśliwe?!



*Chłopak w staroświeckiej „huni”*

wieniec — nakładają „chimplę”, upinają na niej włosy i „powiazują” czepcem, przy czym starosta weselnikraje żytni, zdobny w gwiazdy i „ptaszki” „chlib-stilnyk” i dzieleli go pomiędzy członków rodziny.

A nazajutrz młodzi przyniosą na plebanie trzy gałązki sosnowe, oplecione barwinkiem. Koniec... Młode sta-

Jeszcze od czasu do czasu, powijając dziecko, jak przez sen, instynktownie przypomina sobie matka — co słyszała niegdyś od starych kobiet wiejskich — wprawnych „powituch” — domorośliwych akuszererek. Te przestrzegały „wahitne zinki”, oczekujące potomstwa, by dla zdrowia dziecka za-

wsze nosiły przy sobie nożyk, a nigdy nie kładły za pazuchę świeżych owoców, by za nic nie stąpały po sznurze lub łańcuchu, nie ściągały mężowi butów; one też uczyły, że nie wolno na kobietę ciężarną rzucać czymśkolwiek, choćby dla żartu, i pluć w jej stronę. Noworodkowi, jeżeli jest dziewczynką, dają do rączki igłę, chłopakowi — młotek, aby był kowalem, i pieniądze — przepowiednię i talizman przyszłego bogactwa. Teraz dzieciom, oprócz pieniędzy, darują książkę i ołówek — bo zrozumieli już Łemkowie, że sztuka czytania i pisania — lepsza to nieraz od majątku potęża i „odczyn“ na różne biedy i klęski. Tak to dogorywają przeżytki obyczajowe. Następne pokolenie kobiet nigdy już ich sobie nie przypomni, bo i teraz już młodzież nie darzy zaufaniem znachorów wiejskich, woli poradzić się lekarza w miasteczku i nie zadaje sobie trudu, by na Kupale i w wigilię święta Matki Boskiej Zielnej szukać traw i ziół leczniczych. Zapomną też niebawem młodzi Łemkowie, co należy robić, gdy, przepowiadając czyjąś śmierć, zawyje pies, huknie sowa, skrzeknie sroka pod oknem lub kogucim głosem krzyżeć pocznie kura, z łopotem skrzydeł zlatując z drąga w stajni lub oborze? Już i w naszych czasach gdzieniegdzie tylko umierającego kładą na słomę i wciskają mu w rękę „hranycznu świczku“, by miał lekkie konanie. Zmarłego zaś ubierają w koszulę lnianą, uszytą bez węzłów, i w najlepszą odzież, zatrzymują zegar i odwracają lustro szkłem ku ścianie. Po nabożeństwie żałobnym młodzi urządzają w chacie zabawę. Taki „pochoron“ kończył się nieraz krwawymi bójkami, co uważane było za bardzo dobry znak, lepszy nawet od „jojkania“, gdy matka, żona lub córki nieboszczyka niezwykłe głośno zawodzą i szczerze płaczą. Do trumny kładą różne przedmioty, zapasy żywności i „wykupne“ pieniądze. Wynosząc ciało z izby, żegnają ją trzykrotnie, uderzając trumną o próg, a w tym samym czasie domownicy poruszają wszystko w zagrodzie — bydło, konie, psy, ziarno, siano, wozy, narzędzia rolnicze i sprzęty domowe, co ma na celu sprowadzić urodzaj i zdrowie. Smutne bywają ostatnie chwile przed oddaniem ziemi ciała nieboszczyka, jeżeli posądzą go, że stanie się upiorem lub innym „pekelnikiem“. Teraz to już odeszło w mrok przeszłości, lecz niedawno jeszcze takim bidadkowi, leżącemu już w trumnie, wbijano w głowę ząb od brony, a przez całą drogę na cmentarz przed orszakiem pogrzebowym sypano mak, by upiór nigdy nie mógł wrócić.

Po pogrzebie rodzina i przyjaciele zmarłego spożywają „nie spodziewanyj“ obiad bez mięsa i śpiewają na intencję nieboszczyka



„wicznuju pamiat“ — nasze „requiescat“, a na cześć pozostałych na tym padole — „mnohaja lita“, co odpowiada polskiej pieśni biesiadnej „sto lat“. Na siódmy dzień po pogrzebie urządza się nowe przyjęcie — „tyżdeń“ z udziałem popa, modłami, odczytaniem ewangelii i święceniem chaty. Wiele przechowało się jeszcze dawnych pogańskich i koczowych obrzędów pogrzebowych, lecz, jak coraz już częściej mówią gazdowie i gazdynie — „toho zwyczaj tu neje“. Tak — znikają coraz szybciej stare obyczaje i tradycje. Samo życie z nowymi warunkami wykorzenia je jak chwasty... Jeszcze kilkanaście lat i — wszystkie echa minionej przeszłości umilkną na zawsze, umrą i nie odnowią się, bo im cywilizacja, zwyczajem łemkowskim i cygańskim, wbije w głowę żąb od brony, pod język położy dwie szpilki, obsypie makiem i nasieniem dzikiej róży. Po raz ostatni, po raz ostatni... O tej samej godzinie rozwieją się jak smugi mgieł porannych sędziwe zwyczaje domowe i gospodarskie, a nawet obrzędy doroczne, o ile nie zostaną związane z wypoczynkiem po pracy, zabawą, śpiewem i tańcem. Już młode gazdynie nie bardzo chętnie pieką wigilijny „kriaczun“ z talizmanicznym żąbkem czosnku we środku, na krzyż przewiązany pasemkami przędzy lnianej. Uśmiechają się młodzi łemkowie śledząc, jak ojcowie niosą staromodne pieczywo na brzeg potoku i, trzymając je na dwu snopkach owsianych, zanurzają w wodzie, a potem myją się i dźwigają kubełek z wodą, aby inni obmyli się w tej wodzie, co wszelką czarną moc odgania. Wszystko, co przyniósł gazda od potoku, ma znaczenie i dobroczynną siłę, a wszystko służy do wróżb. Bochen „kriaczuna“, pchnięty tak, by toczył się kantem, ma zatrzymać się górną częścią, by wszystko wypadło szczęśliwie. Snopki owsa łemkowie rozwiązują i kładą pod serwetę, co chroni najskuteczniej przed myszami.

Te zwyczaje nie wszędzie już są przechowywane w swej pogańskiej czystości. Zmieniają się szybko i niedługo już przejdą w krainę wspomnień, bo już i teraz nie wierzy młodzież łemkowska, żeby czosnek z „kriaczuna“ mógł być skuteczny na ból zębów i mają większe zaufanie do jodyny, aspiryny, a nawet... dentystyki. Na święta wielkanocne za to w każdej chacie baby pieką z żytniej mąki „pasku“ i kładą na niej trzy ucięte pręty wierzby. W niektórych wsiach robią pisanki, lecz jak ziemi do nieba, tak im do huculskich wyrobów! Na świętego Jana, którego wesoły i zawsze trochę tajemniczy dzień będzie zapewne długo jeszcze obchodzony, mają miejsce sobótki i kupało, gdy to palą stopy z gałęzi jałowca,



*Zimowy ranek w Rychwałdzie*

smereka i jodły, śpiewają i skaczą przez płomienie, — bo gdzieś głęboko w duszy Łemków tkwi przekonanie, że ogień — brat Jariłoboga uzdrawia i oczyszcza. A noc świętojańska, duszna i gorąca burzy i zapala krew... Rozłożyste buki i ciemne graby spoglądają na to, co się dzieje w ich cieniu, bo tajemne tam i ważne zachodzą wypadki, o całym stanowiące życiu, gdy to pojawi się na wsi zawsze od tej nocy szalonej pogardzana „zawytka“ — sierocina lub nowa, szczęśliwa młodocia... Młoda gazdynia będzie myślała, że swym urokiem czy lubystkiem zdobyła sobie męża i nie wie, nie pamięta, że było to na Kupałę, a więc sam Jariło taki jej los szczęśliwy wyznaczył... Nie pamięta o tym gazdynia, co to już



*Rozwożenie obornika*

w mieście bywała nieraz, słyszała radio i przyglądała się obrazom na srebrnym ekranie. Poznała ona życie i wie, że jest tak zawile i groźne, że nic na to nie poradzą wróżby, czary, odczyny i lubczyki. Nie ma ona żadnych złud i żadnych rozczarowań. Przed nią wije się i ginie w oddali droga ciężkiej pracy, troski i chwilami rozpaczliwej walki. Polega więc tylko na własnych siłach, wytrwałości i sprycie. A wszystkie te staroświeckie gusła — zabawa, żart, oszukiwanie samych siebie, budzenie mętnej nadziei. Ech! Co dla niej Jariło? Dźwięk bez treści, niezrozumiałe, obce uchu, niepotrzebne echo przeszłości... I pieśni nawet pocieszycielce nie wierzy...

Spiwanoczky moji, tilko was spiwaty —  
Takyj roczok nastaw, by was zabywaty.  
Takyj roczok nastaw, taka hodynoczka,  
Szczoby zabywaty swoji spiwanoczky.



*Biel kwiecica i obloków*



*Słynne karpackie uzdrowisko Iwonicz; to jego sanatorium...*

## ROZDZIAŁ PIĄTY

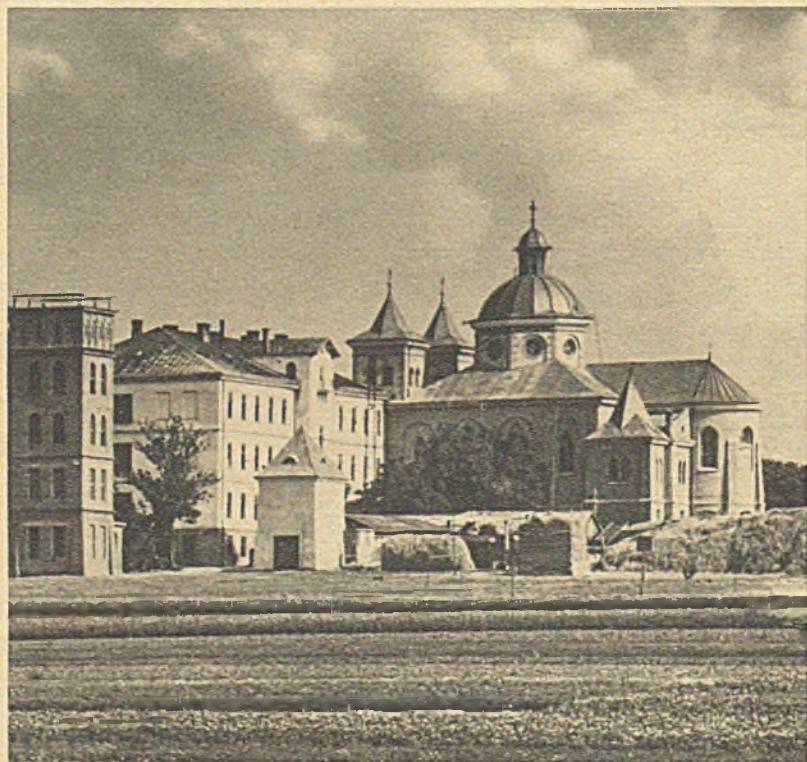
### KU PRZEŁĘCZY DUKIELSKIEJ



*...i poczta*

Takie to płynie ciche, szare życie na Łemkowszczyźnie. Do kadzi, pełnej starych drożdży nowe już jednak sączy się wino. Co wyniknie, gdy burzyć się zacznie, a potem się uspokoi? Czy nowe fermenty wytworzą lepsze, czy gorsze życie? Takie pytania powstają same, gdy się przecina w lecie — ten tak łagodny, ciepły, skąpany w promieniach słońca kraj — czy będą to doły sanocko-jasielskie, czy Pogórze, łanami żyta okryte, czy uskoki i zbocza Beskidu Niskiego,

na które z nizin wpełzła już szachownica pól, łąk i małych oaz leśnych. Od Sanoka ku południowi rozbiegły się drogi po Łemkowszczyźnie — koleje, szosy i zwykłe „polskie“ drogi. Na zielonej równinie „dołów“, obrzeżonej dalekimi falami Pogórza i siniejącymi na południu zarysami wyższych gór stapiających się z błę-



*Zakład wychowawczy w Miejsce Piastowem*

kitem pogodnego nieba, drogi tną ziemię żyzną, tyle razy już tratowaną kopytami bachmatów tatarskich, szkap rajtarów szwedzkich i nogami dzikich „sabatów“ węgierskich, aż rozszalała tu wojna światowa, wyczerpaną i wstrząśniętą glebę strugami krwi ludzkiej użyźniając i czerepami ciężkich pocisków głęboko przerując. Raz po raz ciągną się zagrody łemkowskich i polskich

wsi, a są niby zwona łańcucha, co do potoku czy do większego dopływu Sanu przytuliły się od niepamiętnych czasów. Nic to, że wojny sto razy zmiatały je z powierzchni ziemi, gruzy i zgliszcza pozostawiając — życie tliło się tu jak żar pod popiołem, nie tylko pod gontową lub słomianą strzechą i dachem dworu



*Kościół w Wrocance (pow. krośnieński)*

lub pałacu, ale przede wszystkim w ziemi samej, gdzie leżą kości dziadów i pradziadów ludu miejscowego i bezdźwięcznym głosem szepcą do wnuków:

— Tu zakładajcie nowe gniazda, miejsce to bowiem szczęśliwe jest, przez dziadów obrane, wedle wróżb i oznak wiernych!

Rany, blizny i szczyrby, zadane przez wojnę, znikły od dawna. Jak feniks z popiołów odrodziły się wioski łemkowskie. Może tam i sam zmieniły one swój wygląd zewnętrzny, już blachą pokryte i barwnych ścian pozbawione, lecz i stare też pozostały i jak dawniej biją w oczy czerwonymi bierwionami i białymi na spoinach pasami. Gdzieś tam przytulił się do nich gaj grabowy, olszowy lub bukowy, a przed chatami wybujały bzy różowe, czereśnie i śliwy, do okien zaś zaglądają słoneczniki i malwy. Po łąkach pasą się krowy — nie te



*Cerkiew w Żydowskim (pow. krośnieński)*

dawne — małe i suche, lecz — rosłe, czarnobiałe, leniwe, ciężkie i mleczne. Małe kierdele owiec kosmatych, „poprawionych“ staniem wojska, które rozdawało gospodarzom rasowe barany, snują się po suchych garbach. Spozą drzew wyzierają murowane i drewniane dzwoniczki kształtnych, malowniczych cerkiewek, nieraz pięknej lub wymyślnej nawet budowy; przy drodze — a to i wprost w polu być może — na skrzyżowaniu dawno już zaoranych dróg tkwią krzyże, kapliczki o zarysach przeróżnych — czworokątne, okrągłe, spiczaste i kopulaste, z krzyżkami na szczycie, z figurami Chrystusa lub świętych we wnękach, gdzie pali się świeczka, pobożną lub błagającą zapalona ręką, widnieje pęk chabrów, niezapudek i dzwonek. Ludzie pracują w polu — barwne kobiety co



*Domy w Jaślisku (pow. sanocki)*

niby pstre storczyki jarzą się na zielonym i złocistym kobiercu równiny i szare jak ta ziemia chłopcy w „cyrkularach“ ze słomy — lub też w fabrycznych kapeluszach z wyblakłego zielonego filcu.

Trochę pagórków garbi się na horyzoncie, a na nich ciemny las. Spozą niego wy-

soko pod niebo strzelają wieże katedry łemkowskiej w Rymanowie — stolicy grecko-katolickiego biskupstwa łemkowskiego. Pośród kwitnących głógów na szczycie wyniosłego pagórka rozparła się okazała świątynia barokowa, w końcu w. XVIII-go założona przez Ossolińskich na miejscu dawnego kościoła fundacji Siemińskich; od południa wznosi się góra Kalwaria, gdzie odbywają się w wielkim tygodniu procesje do stacji Męki Pańskiej. I tuż-tuż, zaraz w miasteczku, rozrzuconym po niższych wzgórzach i jarach stoi pałac cadyka-cudotwórcy, do którego ciągną z całej Małopolski i spozą Karpat Żydzi polscy, czescy, słowaccy i węgierscy. Miasteczko brudne, lecz ożywione, pełne kramików żydowskich i niespokojnego,

zgiełkliwego ruchu jarmarcznego, bo jarmark, szczególnie w lecie, ani na chwilę niemal tu nie zanika. Powodem tego jest ukryte wśród gór, przeciętych rzeczułką Morawą, uzdrowisko Rymanów, należące do hr. Potockiego, z powszechnie znanym malowniczo położonym zakładem leczniczym. Trzy źródła — Tytus, Celestyna i Klaudia dostarczają gazowej sło-no-jodowo-bromowej wody, używanej do picia i kąpieli. Wille dla kuracjuszków stoją w cieniście, starym parku, gdzie też wzniesiono kościółek, ślicznie odcinający się od zielonego tła drzew liściastych.

Z Rymanowa Zdroju można zrobić sporo ciekawych wycieczek i nie tylko do miasteczka, do żydowskich sklepików i restauracji — „na pstrągi“, ale i do dalszych okolic. Warto pójść czy



*Fragment rynku w Dębowcu (pow. jasielski)*

pojechać do Brzozowa, gdzie wznosi się piękny kościół barokowy z tronem biskupów przemyskich, gdyż ci książęta kościoła mieli tu swoją rezydencję letnią i stąd sięgali parokrotnie po wpływy na Słowaczczyźnie, nie bacząc na zatargi z węgierskimi panami. Wszerzeniu swych wpływów posługiwali się biskupi pobliską Starą Wsią, gdzie w swoim czasie jezuita do zbudowanego przez nich kościoła podobno z Łużyc sprowadzili trumnę z prochami Słowaka Jura, słynącego, jako błogosławiony i cudotwórca. Nie wiadomo, gdzie obecnie znajduje się ta trumna, lecz Słowacy w dniu 8-go września niedawno jeszcze, przed zaostreniami granicznymi tłum-



nie tu przybywali na odpust. Wycieczki do Haczowa, bogatej, dużej wsi o której była już mowa jako o dawnej osadzie spolszczonych Niemców-katolików, i do Humnisk, gdzie przechował się zabytkowy kościół drewniany, należą do najciekawszych. W całej okolicy rzucają się w oczy wieże wiertnicze i tradycyjne „trójki“, gdzie Łemkowie i drobni przedsiębiorcy sposobem najprostszym wydobywają ropę naftową, pompując ją z głębi ziemi. Kuracjusze rymanowscy zwiedzają chętnie i tłumnie sąsiednie zakłady lecznicze w Iwoniczu. Droga gruntowa prowadzi przez las. Można też dojechać koleją do wsi Targowisko, skąd pochodził słynny Grunwaldczyk, jeden z dziewięciu rycerzy, rozpoczynających tę wielkopomną bitwę — Jaksza Lis, który chociaż nie zginął w sieczy, to jednak później nic o nim nie wspominają kronikarze. Był on jednym z najbliższych sąsiadów Zawiszy Czarnego, bo ten znów na Podhalu włodarzył i w rękę swym pewnego czasu Czorsztyn dzierżył. Stąd przez Miejsce Piastowe z dobroczynnymi zakładami przemysłowymi i wychowawczymi księży salezjanów i wieś Iwonicz, koło której w cieniu starych drzew bieleje pałac hr. Załuskich, droga doprowadza do malowniczo umieszczonego wśród lesistych wzgórz zdrojowiska. Współcześnie urządzona lecznica i kilka źródeł



*Parobcy lemkowski z pow. sanockiego i jasielskiego*

szczaawy jodowo-bromowo-słonej, kąpiele mineralne i borowinowe, śliczne położenie, nietrudne przechadzki po malowniczych górkach okolicznych czynią z Iwonicza-zdroju jedną z najchętniej uczęszczanych miejscowości leczniczych, znanych już w Polsce i na Węgrzech trzysta lat temu z powodu rzadko spotykanego źródła „Bełkotki“. Na peryferii zdrojowiska bije ono z ziemi, burzy się i bulgoce; na powierzchni wody pękają z hałasem duże bąble gazu ziemnego, gdyż cała miejscowość wokół obfituje w pokłady naftonośne. Gaz ten łatwo się zapala od zapalki. Temu to dziwnemu źródłu poświęcił kilka strof Wincenty Pol w swej „Pieśni o ziemi naszej“:

— W cieniu tych lasów, coś tam szemrać słodko,  
Dziś, jak przed wieki, witasz nas, Bełkotko!  
Czysty się płomień z twych nurtów dobywa,  
Co, jak natchnienie, przez duszę przepływa!  
A czią przejęci nad źródłami twymi,  
Wielbimy Boga w cudach naszej ziemi!

Wiersz ten wryto na tablicy marmurowej nad „Bełkotką“ na wiecznych czasów pamiątkę.

Od czasu do czasu, nawet w lecie, nadleci tu krótki a gwałtowny powiew od południa, rozkołysze stare buki, graby i jawory, pochyli strzały świerków i zadzwoni szybko will i chat. To daje ludziom znać o sobie uśpiony zazwyczaj w lecie „wiatr rymanowski“. Zieje nim niska Przełęcz Dukielska, gdyż przewalają się przez nią wichry z równiny węgierskiej i na jesieni, w zimie i na wiosnę wdzierają się na polską stronę, hulają tu i wściekają się, niczym zbrojne niegdyś bandy węgierskich panów i zbójników, co to przez cztery bez mała wieki ciągle zagrażali ościennej Polsce. Łamie ów wicher najmocniejsze nawet drzewa, zrywa strzechy i ramy okienne, wydmuchuje rodnią glebę ze zboczy pagórków, przewraca wozy i ludzi. Podążmy ku jego kolebce. Szosa — cała w garbach, bo biegnie po miejscowości sfałdowanej, a coraz to podnoszącej się, gdyż niedaleko już stąd do głównej grani Beskidu. Z góry do wąwozu, gdzie szemrze w lecie przyczajony, na jesieni i na wiosnę — groźny i zdradliwy potok; z wąwozu na zbocze wzgórze i znowu — zjazd a po nim — nowe wzniesienie, coraz bardziej strome i trudne. Na Jasiołce stary kryty most drewniany — jak gdyby tunel, pod którym pędzi warkotliwa struga rzeki. W wioskach Rogi, Wietrznice i Równe niby nagie szkielety tkwią trójki naftowe.

Dukla — małe teraz, przerażająco zażydzone miasteczko, zapewne zapomniało, czym było za polskich i królewskich czasów, gdy prze-

chodził tu główny trakt polsko-węgierski, którym w otoczeniu zbrojnych „przewoźników“ ciągnęły długie korowody wozów z beczkami wina, worami wełny i skrzyniami pełnymi ozdobnej broni, chociaż Stefan Batory mawiał o niej pogardliwie, że jest raczej „ad mascarar non vero ad rem militarem“, gdyż, jak dodawał później do tego Żółkiewski — „klinga zgoła nikczemna, ale za to ci krzyżyk w drogich perłach, jachontach i turkusach a pochwica z lamy złocistej, skóry czerwonej lub z altembasu“. Szły tam tabuny koni i stada wołów, gnanych przez czabanów węgierskich i słowackich. Dążyły karawany kupców wołoskich i ormiańskich a bocznymi ścieżkami, by uniknąć cła i ludzkiej ciekawości, przekradały się ku traktowi żydowiny kupczące, chciwe, przebiegłe, co to każde prawo, choćby opryszkowskie, w górach surowo przestrzegane, umiały ominąć i obejść.

Tam też zjeżdżali na wywczas i uczyły możni panowie — nie tylko z ziemi sanockiej, samborskiej i przemyskiej, ale ze stołecznego Krakowa nawet, gdy im Jordanowie zuchwali i pyszni dukielscy panowie Mniszchowie „suplikę“, układnie ułożoną „ad invitationem“, przez pachołków dworskich przysyłali. Toteż Dukla żyje po dziś dzień pod znakiem legendy rodu Mniszchów, co nieraz zaciężył nieznośnie na dziejach ojczyzny. Kilkakrotnie zmieniała Dukla swych właścicieli i panów. Mijały, jak cienie obłoków na łanie, czasy władztwa Szczykowskich, Jordanów, Męcińskich, Mniszchów i Ossolińskich, Szczęsnego Potockiego i Stadnickich. W roku 1915—16 wielkie szalały bitwy w tych okolicach, gdzie boje zresztą stały się tradycją, gdyż w roku 1474 król węgierski — Maciej Korwin złupił i spalił Duklę i, choć broniła się szlachta i kmiecie, spustoszył całą okolicę; w 1849 roku miały tu miejsce bitwy między Rosjanami a Węgrami i wiele jeszcze innych krwawych i zgiełkliwych dni przedtem i potem przeżywała Dukla i jej pałac. Pałac ten, wzniesiony w wieku XVIII-ym na zrubie dawnego zamku przez Jerzego Wandalina Mniszcha, kasztelana krakowskiego ucierpiał w czasie wojny. Częściowo zaledwie i niedokładnie odrestaurowano go po wojnie, bo środkowa i najpiękniejsza jego część czeka jeszcze na ratunek przed zupełną ruiną. Niedgdyś znajdowała się tu znakomita galeria obrazów z arcydziełami Rubensa, Albano, Bambocci, Wouvermanna i Michaud, z portretem Antoniego Stadnickiego pędzla Lampiego i płótnami Angeliki Kaufmann. Pałac słynął ze swych zbiorów: kielichów z czasów augustowskich i przywiezionych z Pompei mozaik rzymskich. Cennym zabytkiem było pięknie haftowane i ozdobione drogimi kamieniami tureckie siodło,



*Typy kobiece z pobliza Przelęczny Dukielskiej*

zdobyte pod Wiedniem. Część tych obrazów i wspominków świetnej przeszłości można ujrzeć w lewej oficynie, zamieszkałej przez obecną właścicielkę pałacu dukielskiego.

W otoku starych rozłożystych lip i grabów niby w ciężkiej zadumie stoi stara siedziba Mniszchów. Jak gdyby tęskni lub dręczy się gorzkim wyrzutem sumienia. Ale gdy wiatr od przelęczny poruszy listowie i zacznie ono szeptać trwożnie, jego trwoga udziela się człowiekowi, a w sercu jego budzi się niepokój przed mglistą tajemnicą możnego Mniszchów rodu. Coś opowiada w pośpiechu sędziwy brzost przy bramie wjazdowej, a wtóruje mu dąb z wysepki na sadzawce, szemrzają jawory przysadziste, a nawet, niby płatki powtarzając, szepcą sztywne gałęzie cisów i tuj. Echa tego pogwaru drzew potężniczą pod sklepieniami kurytarzy podziemnych i sławnych piwnic dukielskich, o których cuda sobie opowiadano w Moskwie, Kostromie, Wiaźmie i w salach watykańskich w Rzymie. Któż jednak uchem pochwyti padające tam słowa tajemnej opowieści o ponurym okresie niesławnej wojny po stronie Dymitra Samozwańca, który miał być wiernym sojusznikiem Polski i Rzymu? Jakież to echa łłuką się po zakątkach pałacu i pod arkadami pięknych mostów



*Kościół w Brzozowie*

nad przekopami, łączącymi rozległe stawy w parku? Co widziały tu oczy wojewody sandomierskiego, Jerzego Mniszcha, który wraz z córką Maryną zjeżdżał tu do młodszej swej córki, Eufrozyny, pani na Dukli? O czym mówili tu do siebie nieznanego włóczęga Dymitr do dumnej wojewodzianki Maryny i jakie niebosiężne plany knuli oboje, siedząc na tarasie kamiennym, skąd odsłania się widok na łąki zielone i na rzeki wężowy prąd? Gdybyż zrozumieć można było tę mowę drzew, te poszepty i szmery eeh! Posłyszelibyśmy narady wojewody z bezdomnym samozwańcem, pieszczotliwe i kuszące przysięgi pięknej Maryny, „czołobitne“ prośby bojarów, króla Zygmunta Wazę i królewicza do wojny z Moskwą o tron Rurycowiczów namawiających, i podszepty oo. jezuitów, i obawy legatów papieskich, niepewnych szalonej awantury, o której Zamoyski wobec króla i nuncjusza spyta w końcu zuchwale:

— Jaka to komedia, Plauta czy Terencjusza, przed nami się odgrywa?

Dowiedzielibyśmy się, jak to król-Szwed przeciwko synowi rozrzucał sieci intrygi, jak błagali o królewicza przekradający się przez wschodnie rubicze bojarzy moskiewscy, jak groźne pisma słał do Mniszcha hetman Żółkiewski, przeczuwając klęskę — wszystko, wszystko wiedzielibyśmy wtedy i rozumieli.

Tymczasem, w nocy, gdy wicher od przełęczy łamie konary lip, po parku błąka się postać Maryny z Mniszców, carowej moskiewskiej, małżonki dwóch Samozwańców. Stąpa powoli w długiej szubie sobolowej i gronostojowym na głowie kołpaku, trzyma łuk napięty, do strzału gotowy, i pyta tych lip, grabów i pozieleniałych kamieni: „Gdzie carewicz, gdzie syn mój? Co uczynili z nim siepacze bojarzynka Michałki Romanowa?“ Z szat jej ścieka woda, do której wrzucono „Laszkę-czarownicę“, gdy opuszczona nawet przez atamana Zaruckiego ucieczką rozpaczliwą ratowała życie syna — „carewicza“, bo z czasem uwierzyła, iż prawowitą była carową na Kremlu, skąd wraz z Samozwańcami przeciwko Polsce spiskować poczyniała — głucha i ślepa w swej pysze bezbrzeżnej. Toteż w Duklańskiej farze barokowej, gdzie wszystko w jednolitym utrzymaniu stylu, w bocznej kaplicy kopulastej widnieje tylko marmurowy sarkofag Marii Mniszchowej, a również — w kościele bernardynów z nagrobkami Mniszców i Potockich nie znajduje przygodny turysta miejsca ostatniego spoczynku dumnej Maryny i ani wspominku, ani śladu po nieszczęsnej carowej, we krwi po kolana kroczącej na Kreml, na szczyt szkarłatnego tronu Warega Ruryka

i tchórzliwego carobójcy Borysa Godunowa, zuchwałego Tatarzyna. Ukryły ją na zawsze niezgłębione nurty wielkiej rzeki rosyjskiej i poniosły do morza, niby wspaniałą daninę wasalów władcy możnemu.

W owych czasach choć nie należała Dukla do Mniszców, wszakże w ich zawrotnej karierze czynny udział brała niejednokrotnie. Rosyjscy historycy J. G. Łytkin i Arabażin twierdzą nawet, że najważniejsze punkty planu Mniszców ustalone zostały w Dukli. Może powstać pytanie, dlaczego właśnie Dukla stała się areną niektórych spraw rodzinnych i rodowych Mniszców? Mikołaj Mniszech, ojciec wojewody sandomierskiego Jerzego, żonaty był z Kamieniecką, kasztelaną sanocką, siostrą Michałowej Szczykowskiej, dziedziczki Dukli, gdzie często z dziećmi przebywała. Od Szczykowskich Dukla jako wiano przeszła do Jordanów, w których często przebywał ich krewny, wpływowy przy dworze Zygmunta III biskup a później kardynał Bernard Maciejowski, obrońca i protektor Jerzego Mniszcha. Gdy kanonik Szymon Rudnicki, kustosz gnieźnieński, zjechał na rewizję ekonomii samborskiej i żup ruskich, administrowanych przez Mniszcha, wojewoda unikając z nim spotkania ukrywał się dość długo w Dukli. I wreszcie zadzierżnęła się jeszcze jedna więź z Duklą — było to wydanie najmłodszej córki Jerzego Mniszcha — Eufrozyny za Jana Jordana z Zakliczyna, ówczesnego właściciela klucza dukielskiego. U Eufrozyny często i długo bawiła jej siostra Maryna. Gdy Mniszech przywiózł Dymitra Samozwańca do swojej samborskiej siedziby, zatrzymał się przed tym u syna Stanisława w Sanoku, gdzie przyszły car był obecny na posiedzeniu sądowym. Akta grodzkie sanockie z dnia 4. V. r. 1604 notują ten wypadek i nazywają Dymitra „najjaśniejszym i niezwykłym carem Dymitrem Iwanowiczem“. O pobycie Samozwańca w Sanoku, gdzie się zjechała na zaproszenie Mniszców cała szlachta, pisze Aleksander Hirschberg, a Łytkin stwierdza, że Dymitr gościł w Dukli u siostry Maryny i tam, w oddaleniu od szpiegującego i plotkującego Sambora, odbyło się kilka ważnych narad Mniszcha i jezuitów z politycznymi zbiegami z Moskwy i z samozwańcym carem. Tam też przeżywała Maryna dni rozterki duchowej i wahań, gdy się dowiedziała, że jej narzeczony wonczas już siedzący na tronie kremliańskim ma kochankę cudnej piękności — Ksenię, córkę cara Borysa Godunowa. Dumna i ambitna Maryna nie wahała się przed wielką przygodą zdobycia tronu Rosji, zawahała się przed nieuniknioną, jak jej się wydało, walką z piękną współzawodniczką. Przecież wiedziała, że nie była wcale przystojna,



*Klasztor karmelitów w Sasiadowicach (koło Brzozowa)*



a do tego tak mała, że w chwili rzezi na Kremlu ukryła się z łatwością pod suknią swej ochmi-strzyni, pani Kazanowskiej, ciotki Jordana (Marsa). Zwierzała się ze swych obaw i radziła się siostry Eufrozyny, którą najbardziej spomiędzy reszty sióstr kochała (Ptaszycki). W Dukli też pierwszy hołd z padaniem do nóg złożył przyszłej carowej poseł Atanazy Własiew, który reprezentując Dymitra, w jego imieniu stanął w Krakowie na ślubnym kobiercu obok Maryny i wyraził niezadowolenie, że carskiej oblubienicy szukać musiał nie w stolicy, lecz na kresach Rzeczypospolitej (Ustriałów).

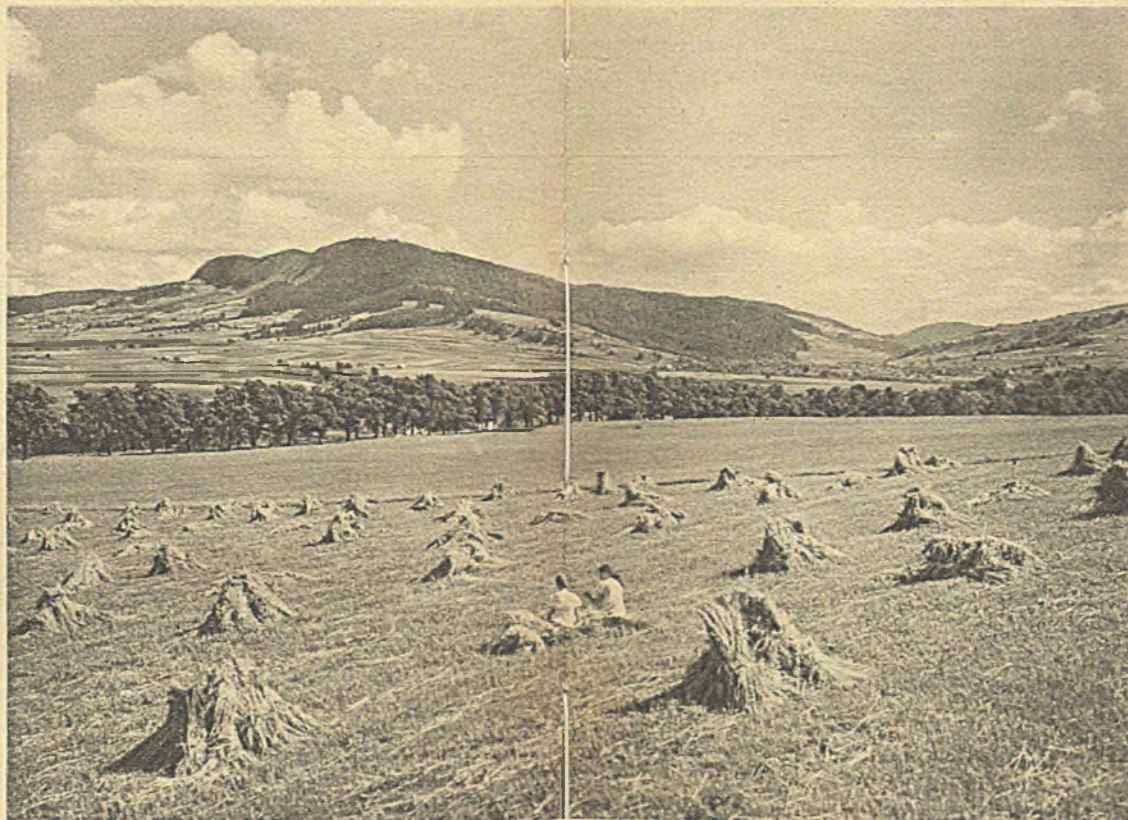
Historia w znacznej mierze potwierdza legendę dukielską.

Lipy w parku mniszchowskim szeleszczą donośnie ni to szepcząc wciąż natarczywie:

— Zaraza szerzyła się w kraju. Nie oskarżaj przeto surowo tych co w cieniu naszym tę zarazę we krwi od kolebki nosili! Nie masz już ich na ziemi naszej, odeszli na wieki... Wybacz im i westchnij za ich dusze rogate, bo to, słysz, z dzwonnicy farnej i u bernardynów na „Anioł Pański“ dzwony uderzyły!

W tym miejscu tak bardzo burzliwym i niepewnym, ni to przestroga, ni to napomnienie, urodził się do nikogo z posiadaczy Dukli niepodobny — Bogu jedynie oddany i Bogu miły — błogosławiony. Jan-pustelnik.

W pobliżu, w przechowanym miłośnie szmacie puszczy ludność miejscowa odwiedza jego pustelnię, kapliczkę i źródelko błagając swego patrona o wstawiennictwo przed Najwyższą Istotą, o co też prosił go niegdyś generał Skrzynecki, urodzony w wiosce Cergowa, nad którą

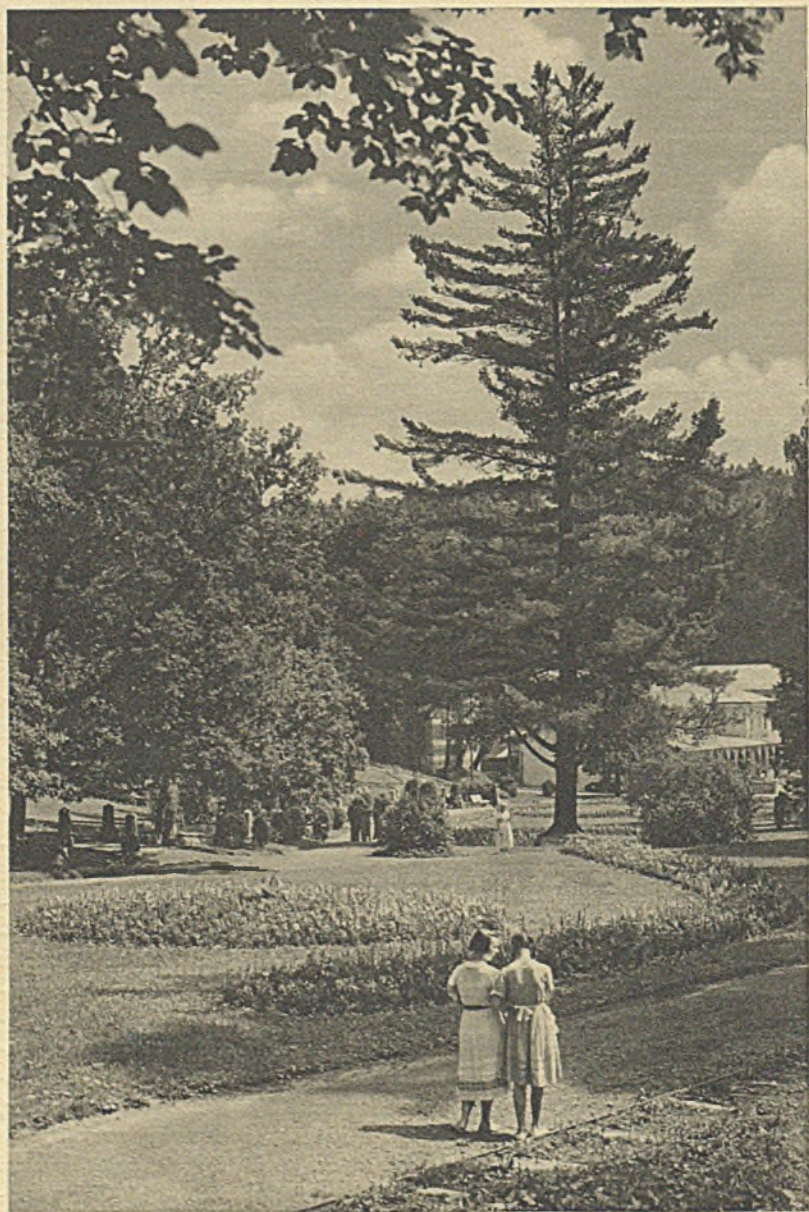


Stoki Cergowej Góry (718 m) schodzą w Przełęcz Dukielską

wznosi się szczyt tej samej nazwy. Stąd z wysokości 718 metrów widać siodło Przełęczy Dukielskiej, o którą na przestrzeni wieków całe morze krwi przelano, a dalej na zachodzie — skrzą się śnieżne wierchy i piętrzy się zębata ściana Tatr — dalekich, pławiających się w słonecznej mgłę. Na południe od Cergowej góry i przełęczy, grzbietem biegnie dawniejsza, zawsze niespokojna granica węgierska, spoza której przekradały się do nas bandy zbójckie panów madiarskich i opryszków pospolitych, opilstwo, zbytek, nierząd polityczny.

Stanowczo koło Dukli inni są Lemkowie! Dokoła miasta rozsiadły się wsie polskie, lecz na południu od Cergowej ciągnie się granica Łemkowszczyzny. Największe z osad w tym pasie są Krempna, Wołowiec, Grab, Mysiowa, Polany, Zawadka, Mszana. Tylko miasteczko Jaśliska i kilka okolicznych wiosek zaludnione są całe przez Polaków. W w. XIV powstał w Karpatach

Polskich szereg nowych miast, a wśród nich i Dukla, korzystających z prawa niemieckiego. Stąd wypłynęła niebawem polska fala kolonizacyjna i zajęła wierzchowiny Pogórza i stoki dolin beskidzkich. Z biegiem czasu autochtoniczna rolna ludność polska połączyła się z napływającymi z Wołoszy i Rusi Podkarpackiej pasterzami. Przez trzy wieki trwało nowe osadnictwo oparte na prawie wołoskim i gdy ogarnęło wreszcie kamieniste zbocza Beskidów, okazało się, że dawne osady polskie zostały przez nią pochłonięte (M. i K. Dobrowolscy). — Miejscowi Łemkowie są mniej apatyczni i bierni od reszty swych ziomków. Być może, przechowali oni wspo-

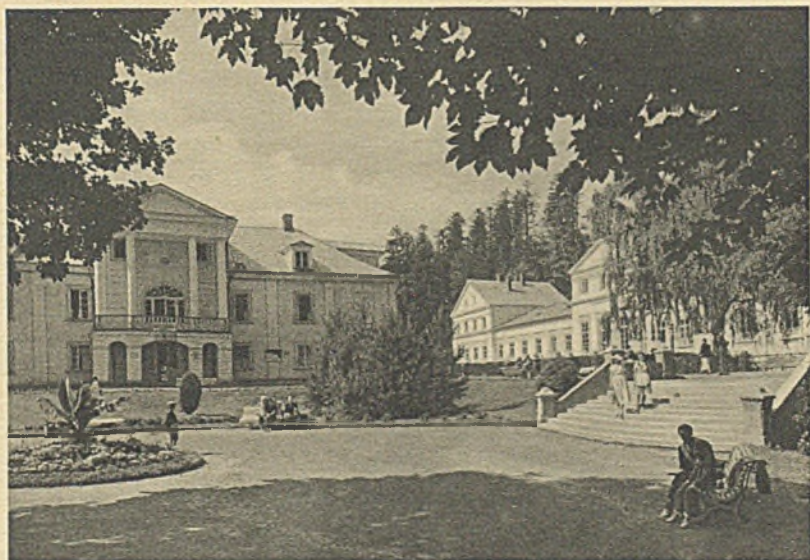


*W iwonicim parku*

mnienia o czasach, gdy „chadzali w opryszkach“ z własnej woli lub z pańskiego rozkazu, gdy pan z sąsiadami krwawe załatwiał porachunki? A może Łemkowie spod Dukli i spod Magóry Żmigrodzkiej są bardziej od innych pomieszani z Polakami, lub nawet są wprost wynarodowionymi Polakami? Badania etnografów dowiodły, że wyraźne w Karpatach Polskich ślady rumuńsko-bałkańskich elementów w kulturze ludowej, właśnie najslabiej się odbiły na Łemkach rejonu dukielskiego (K. Dobrowolski). W każdym razie rzucają się tu w oczy odmienne typy i charaktery! Prawda, że co do charakterów, to wpływ swój wywrzeć mogło przejście od tradycyjnego życia pasterskiego do sezonowego wypasu bydła, a potem i do rolnictwa, przemysł naftowy i niegdyś ożywiona z tej dzielnicy emigracja. Łemkowie są tu bardziej emancypowani i prześlągnięci różnymi teoriami społecznymi. Nic więc dziwnego, że w tych okolicach coraz bardziej zapominają Łemkowie o starodawnych obyczajach i od cerkwi się nawet odwracają. Tu też wroga agitacja ukraińska wysila się bodaj najwięcej. Na jej hasła nie odpowiadają jednak mózgi i serca Łemków, bo mają oni swoje chłopskie marzenia i cele — ziemia, jak najwięcej ziemi, którą mogliby lemieszem ciąć i w bruzdy rzucać żyto, owies i jęczmień garścią pełną, rozmachem jak najszerszym, jak to widzieli na gruntach pańskich i na preriach amerykańskich. Nic wiedzą, że z tych gruntów pańskich pozostała już nikła zaledwie część, a te, co pozostały, stoją na wysokim poziomie, okrywają się rokrocznie łanami zboża dobrego do zasiewu pól włościańskich, a na ugorach i starych haliznach porębów — podnosi się już szczecina młodych zagajników. Nic ich to wszakże nie obchodzi — żądają dobrej ziemi, którą bez wiedzy i kapitału na jałową rychło zamienią, wyczerpawszy ją do cna! Lecz komunistom w oczy się śmieją, bo znają na pamięć ich słodkie słowa! Tylu przecież Łemków w czasie wojny dostało się do Rosji i na własnej skórze doświadczyło „sowieckiego raj“, skąd ledwie z życiem uszli ci jeńcy wojenni. Ich to na czerwony lep sam czart nie zwabi! Ale pracy żądają, ziemi i chleba, bo życie z rokiem każdym nieznośniejszym i coraz bardziej beznadziejnym się staje. W tych żądaniach swoich nie różnią się oni od mieszkańców polskich Jaślik — starej osady, niegdyś do biskupów przemyskich należącej a rządzonej przez osobnych starostów i „panów rady“, obieranych spośród „pospolitych ludzi“. Takimi dygnitarzami byli, jak to czytamy w księgach radzieckich z roku 1591, Paweł Pichnie, Frank, Andrzej Drozd, a potem — Jakób

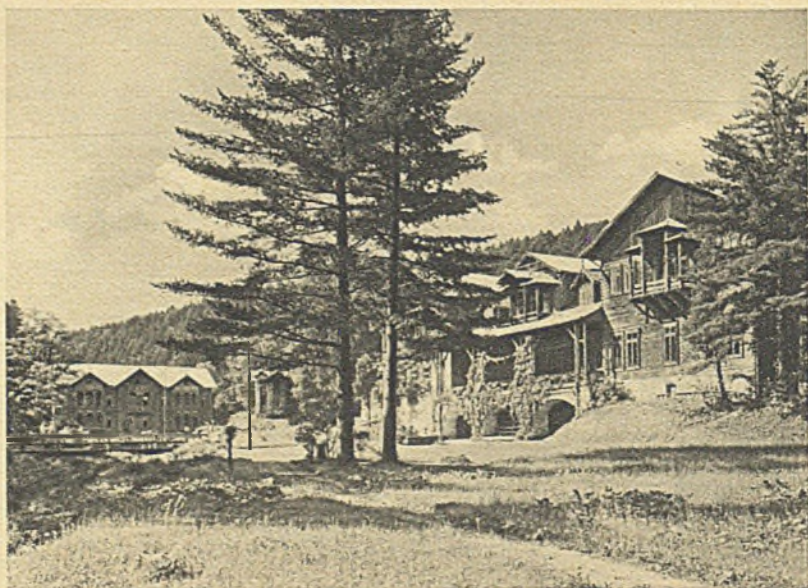
Gąsiorowicz, Jan Łoyszczyk, Marcin Gąsiorek, Łukasz Dziedzic i inni, w ich zaś gronie zdarzały się niepospolite nieraz głowy, bo taki oto „szlachetny“ Janusz Dalmata w roku 1592 z ramienia króla posłuje do sultana tureckiego, a rada Jaślick łoży na tę daleką podróż jego aż ... 64 złotych polskich. Owa rada miejska była pierwszym ciałem ustawodawczym dla miasta i należącego do niego klucza, ławnicy zaś sprawowali urząd sędowniczy; drugą instancją był starosta, posyłany do gminy przez biskupa, który był „supremus iudex“ dla mieszczan — jego poddanych. Toteż biskup w r. 1593 wydaje szereg rozkazów, a to, że „zuchwali ludzie, co czynią wszelkie gwałty, rąbią drzewa, odbijają kłódki, wyłamują wierzeje bram mają być atrociter karani“, a to, żeby rada pożyczyła Mankowi — Żydowi z Rymanowa sto grzywien na zastaw dwóch złotych łańcuchów, a to znów, by jakaś „Zofia Mazurzanka dla nieuczciwych, a wszetecznych spraw swoich była odkazana od miasta, gdyby zaś kiedykolwiek w państwie biskupim się zjawiała — tedy gardło traci“. Tak o tym piszą Prochaska i Bostel, ale Łoziński nic nie wspomina o surowej ingerencji biskupów w sprawach, które uwieczniła pieśń ludowa, gdy to „stała nam się nowina, pani pana zabiła“. Nic nie mówi skrupulatny i wnikliwy badacz „plagi szlacheckiej“ o surowych wyrokach biskupich na taką Beatę Zawiszankę, gdy swego drugiego małżonka Jakóba Solikowskiego z pomocą pachola rękodajnego — Sienia zraniła ciężko siekierą i uduśliła pod pierzyną; nie wspomina też nic o tym w wypadku zamordowania Kaspra Herburtu przez jego żonę, Zofię z Podoleckich, współ z teściową, Ewą z Wielżyńskich, ani również o dramacie, który w r. 1631 wstrząsnął ziemią sanocką, gdy to Helena Kłofasowa i jej matka, Regina Brześcińska namówiła dwóch zakochanych w pięknej Helenie i jej siostrze młodych szlachciców — Polańskiego i Czernieckiego aby zgładzili Aleksandra Kłofasa, co też i miało miejsce. Ponurą sławą zasłynęły inne mężobójczynie na ziemiach przemyskiej i sanockiej. — Anna z Mogilnickich Miękicka, Magdalena z Świerzyńskich Hermanowska, Barbara z Kopycińskich Makowiecka i inne jeszcze — bardziej od nieznaney nikomu mieszczki jaślickiej „nieuczciwe, zuchwałe i wszeteczne“. Samo tylko skarcenie ich przykładne nawet dla potężnych biskupów przemyskich w tym okresie rozkwitu „złotej wolności“ szlacheckiej stawało się zapewne zadaniem trudnym a nieraz zgoła niemożliwym nawet.

Jaślicka miały nawskroś katolicki charakter i wymogły na biskupie Siecińskim w r. 1611, by potwierdził przywilej Zygmunta



„Stary pałac“ i lazienki w Iwoniczu

Augusta o niedopuszczaniu do miasta i społeczności „Żydów kupujących, rolnych i rzemieślnych“, jaki to przywilej miało już wtedy Krosno od r. 1569-go. Rada Jaślicka przeprowadziła z całą energią ustawę, by „Rusinom — ludziom greckiej religii“ nie wolno było osiedlać się w mieście „oprócz dwóch uprzywilejowanych“. Stary kościół parafialny zbudowany był z drzewa i poświęcony św. Katarzynie, przy nim zaś istniały: szkoła, szpitale i łaźnia. Kościół wyposażony był w dobre organy, ustawione i zestrojone przez Andrzeja Brezeliusa, słynnego organistę krakowskiego. Ciekawe bractwa przywiązane były do kościoła w Jaślickach — religijne św. Anny oraz półrycerskie bractwo „Krzyżaków“, którego statut w znacznym stopniu przypomina współczesną organizację harcerską. Jaślicka były bogatym miasteczkiem handlowym, gdyż już w r. 1578 uniwersał poborowy głosi „wina wszystkie, aby innymi drogami nie szły, jedno tymi na Jaślicka, Duklę, Rymanów, Sądecz, Biecz, Nowy Targ, Krosno, Sambor, Lesko, Stryj“. Kupiec węgierski, Jerzy Orzeszko, założył w Jaślickach, Lesku, Bieczu i Krośnie słynne składy wina i pobudował piwnice murowane, gdzie niegdzie do dziś istniejące. Miasto było brukowane i bardzo czyste, gdyż



*Dom zdrojowy w Rymanowie*

„hyczel“ ze swymi parobkami musiał je codziennie „ochędoźnie zamiatać“. Stały tu niegdyś mury obronne i jakieś tam „fortalicje“, które w r. 1657 pozwoliły mieszczanom wytrzymać oblężenia Rakoczego, co też król Jan Kazimierz w jednym ze swoich dekretów stwierdza. Ciężary wojenne podczas wojen węgierskiej i kozackiej spowodowały przesiedlenie się mieszczan do bezpieczniejszych miast i wsi, nie gnębionych podatkami i powinnościami na obronę miasta i kraju. Na ich miejsce przychodzili i osiedlali się inni z Brzozowa, Rymanowa, Dukli, Tarnowa, Lublina i Lwowa. Miasteczko mimo wszystko kwitło. Przyczyniało się do tego wino idące z Węgier i składane w pana Orzeszkowych piwnicach, różne rzemiosła i intensywna gospodarka rolna na ziemiach klucza jasielskiego, szczególnie zaś ogrodnictwo, popierane przez biskupów przemyskich, sprowadzających tu nawet jakichś „Olendrów uczonych“. W naszych czasach — jest to małe miasteczko, ubogie, jak wiele innych, tonące w otaczającym go morzu lemkowskiem, a swej przeszłości zgoła niepomne. Już ten i ów ród jaśliski spokrewnił się z tymi, których niegdyś nie wpuszczał za mury miasta, przyjął

wiarę grecko-katolicką i zniknął bez śladu w społeczeństwie inowierczym. Rozwiązanie zagadnienia ekonomicznego łatwiejsze na Łemkowszczyźnie jest niż gdzie indziej na obszarze Rzeczypospolitej. Do tego twierdzenia skłaniają nas cechy charakteru łemkowskiego — jego pokrewność szczepowa, słaba podatność na agitację, zażyłe stosunki z Polakami i wreszcie niebywale skromny poziom zapotrzebowań życiowych. Przecież gazda łemkowski, leżący na zapiecku i nagabnięty o pracę dla siebie, nie ruszając się z miejsca, pyta żony, czy pod piecem lub pod ławą pozostały jeszcze „bandurki” — ziemniaki. Dowiedziawszy się zaś, że wystarczy tego na trzy dni, gazda odpowie, że na czwarty stawi się na roboty. Nieraz bywa i tak: posłyszawszy od inżyniera drogowego o możliwości natychmiastowego zarobku, Łemko przewraca się na drugi bok i, nogą wskazując na kupę kartofli, wraz ze śmieciami poniewierającymi się w kącie, mruknie: — Gazdynia ma bandurki, to poco mi praca? — Kobieta w życiu Łemkowszczyzny, to najważniejszy czynnik dobrobytu, ładu społecznego i spokoju. Jeżeli rolnik hiszpański mówi z całym przekonaniem:

— No hay mejor ministro de economia que la mujer de un campesino — to gazda z taką samą słuszością mógłby twierdzić,



*W Iwoniczu przed łazienkami*

iż nie ma lepszego ministra finansów niż jego gazdynia. Marzy ona jedynie o tym, by mąż jej mógł zarobić na bandurki, żeby rola nie leżała pod ugiem, bydło zdrowe było i rodne, resztę już ona sama załatwi. Będzie w domu i trochę grosza wolnego i płótno na



*Wisłok pod Iwoniczem*

„soroczki, nohawyci, onuczki“ i sukno na „hunie, łejbyki“ i gorsety; będzie na obiad, „połudенок i wczere“ chleb, kapusta, „pyrohy, hałuszki, borszcz“, czasem „kisełycia, pampuchy“ albo „łemesz, bundz“ i baranina — dla radości zaś — „derewianka“ — alkohol denaturowany z cukrem i sokiem buraczanym. Wszystko to, nie wiadomo skąd i jak, zdobędzie, wytworzy gazdynia, byle by „połe rodyło“, a owce i krowy miały jagnięta i cielaki. Nie skąpi ona trudów i zabiegów. Przed świtem wybiegnie z chaty po poziomki, maliny, jeży-



ny, dzikie jabłka, orzechy i listki „syhlanki“, uzbiera pełen kosz grzybów — „szczyrich, kozaków, łyszek, sośniaków, pidpińków i baranich rohiw“, nawet gąbki-bukowej „hływy“ nie ominie, bo i ona dobra jest do jedzenia z ziemniakami.

Za to gazdowie poza rolę i niezbędnym rzemiosłem domowym w ostateczności jedynie szukają sobie dodatkowej, ubocznej pracy. Nawet porzucają już dawny proceder kłusowniczy, gdy to strzelali do jeleni i sarn, sidła — „syłky“ zastawiali na lisy, tchórze i ptactwo. Lasy skurczyły się i zrzedły, więc zwierzyna przekoczywała do innych miejscowości — w Bieszczady, Gorgany i na Czarnohorę, a nawet wyniosła się na tamtą — „węgierską“ stronę Beskidu. Rzeki tu są małe i płytkie, więc i rybołówstwo nie może pociągać Łemków. Tak chyba raczej dla rozrywki, gołymi rękami schwyta gazda pstrążka pod kamieniami i tylko na Sanie łapie ryby sitami, „bihuncami i sakulą“ lub po nocach z płonącym „kahańcem“ kłuje ryby ościeniem, czyli „hwizdkoju tryzuboju“ (Sulimirski). Pozostaje mu więc tylko rola — zamięłowanie jego, jedyna karmicielka, cała nadzieja na przyszłość! On przecież po to tylko poniewierał się we Francji, Kanadzie i Stanach, aby, niczego się tam nie nauczywszy, powrócić z dolarami, spłacić długi Żydom, co już rękę na rolę jego nałożyli, i nowy jej szmat dokupić, błędnie myśląc, że — duże pole zabezpiecza duży urodzaj. Żyje i gospodarzy, jako to dziadowie czynili, a tymczasem życie stawia mu coraz to nowe i coraz trudniejsze żądanie i ziemia też i pastwiska i bydło i las i rodzina coraz liczniejsza, coraz bardziej — wymagająca, bo już zaśluszyła, a nawet sama widziała, jak to inni ludzie na świecie żyją i do czego dążą. Tego gazda nie może im dać w chacie... kurnej, gdzie piec olbrzymi zajmuje czwartą część izby, gdzie pod oknami

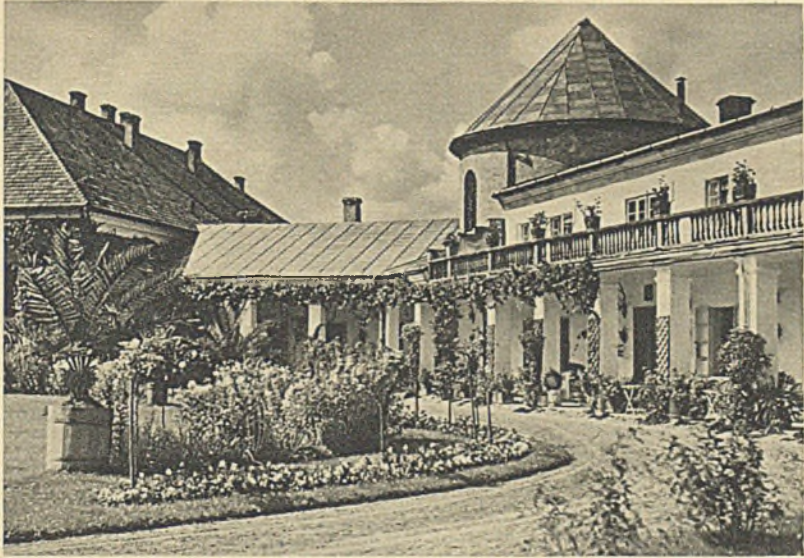


*Polów ryb na Sanie*

ciągnie się ciężka ława, gdzie w kącie stoi wysoki, zgruba ociosany stół i niskie łoże słomiane, zgrzebną płachtą przykryte, gdzie na ścianie wisi szafka „podyszor“ na gliniane naczynia i osobna, w domu rzezana półeczka na łyżki drewniane. Nie może dać młodzieży innego życia nawet zamożniejszy gazda, co to w domu ma już piec z dymnikiem, łóżko z pierzyną i całą górą poduszek, szafę z naczyniem i różne inne sprzęty i rzeczy, niedostępne dla biedaków. To też głowi się on i smuci, żyje w ponurej rezygnacji — on — gazda, co utracił już wiarę w talizmany i zaklęcia przodków-pasterzy, a do nowego życia nie znalazł ścieżek i broni do współczesnej walki o byt. Czeką aż ktoś wyprowadzi go na tę ścieżynę, niewiedzieć gdzie biegnącą, i w ręce mu włoży wszystko, co jest niezbędne do zmagania się ze straszną dlań rzeczywistością, pijaną od niezrozumiałych, krzykliwych hasel, pełną nowych obowiązków, najeżoną niesłyszczanymi nigdy prawami i przepisami, zawiłą, niepewną, i nie dającą się ani okiem, ani rozumem ogarnąć.



*General Jan Skrzynecki  
spod Przełęczy Dukielskiej pochodził*



*Zamek Krasickich w Lesku...*

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

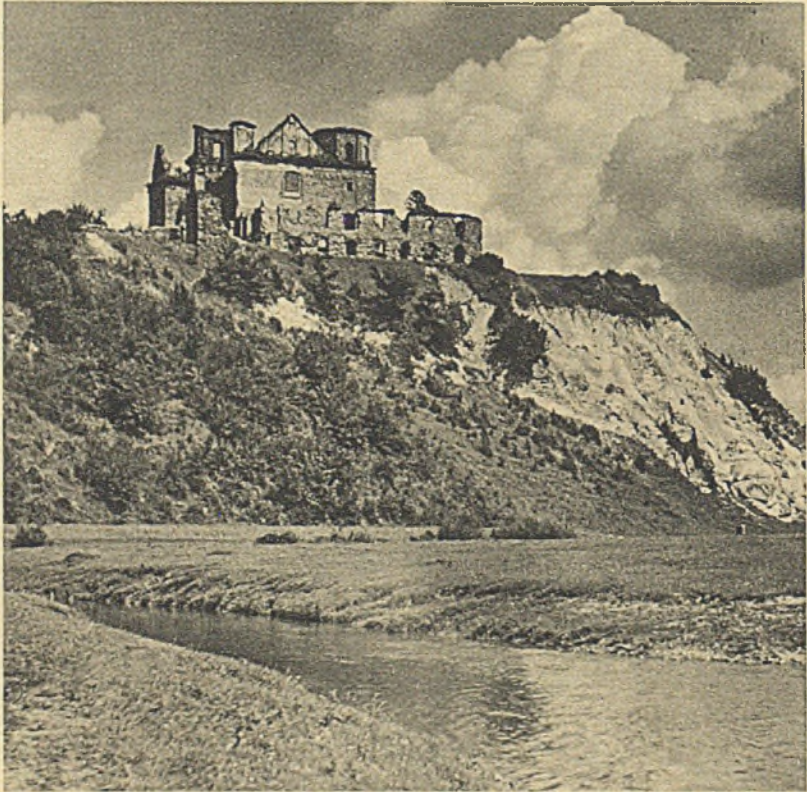
### BESKID



*...i baszta tego zamku*

**S**anok — dawna stolica ziemi sanockiej, ważnej części województwa ruskiego, gdyż obejmowała w w. XV-ym Sanok, Krosno, Lisko, Brzozów oraz część powiatów Jasło, Strzyżów, Rzeszów, Dobromil i Przemyśl, przechował swój wielkowiejski charakter. Może nie w wyglądzie zewnętrznym, gdyż Sanok od dawna już podupadł i nie grał wybitnej roli ani w dobie porozbiorowej, ani po wskrzeszeniu państwa Polskiego, ale w stanowczej postawie polskiej części ludności i w ogólnym nastroju,

który w tym mieście wyczuwać się daje. Dość powiedzieć, że w powiecie, któremu promieniował Sanok, z najdawniejszych, może Bolesławowych czasów osiedliły się liczne rody szlacheckie, co to schłopały i zruszczyły się tu zupełnie, ale o pochodzeniu swym pamiętały i o prawa swoje upomniały się w w. XVI-ym, by nazwiska ich



*Ruiny kościoła i klasztoru karmelitów w Zagórze i...*

rodowe zostały wyjaśnione i utrwalone urzędowo. Szlachta ta z biegiem czasu powraca do polskości, lecz po rozbiorze państwa, a szczególnie zaś na początku wieku XIX obcy kapitał, zaangażowany w rolnictwie, wyrugował ją stąd w znacznej mierze. Część tych rodzin osiedliła się w ziemi przemyskiej, samborskiej i krakowskiej,

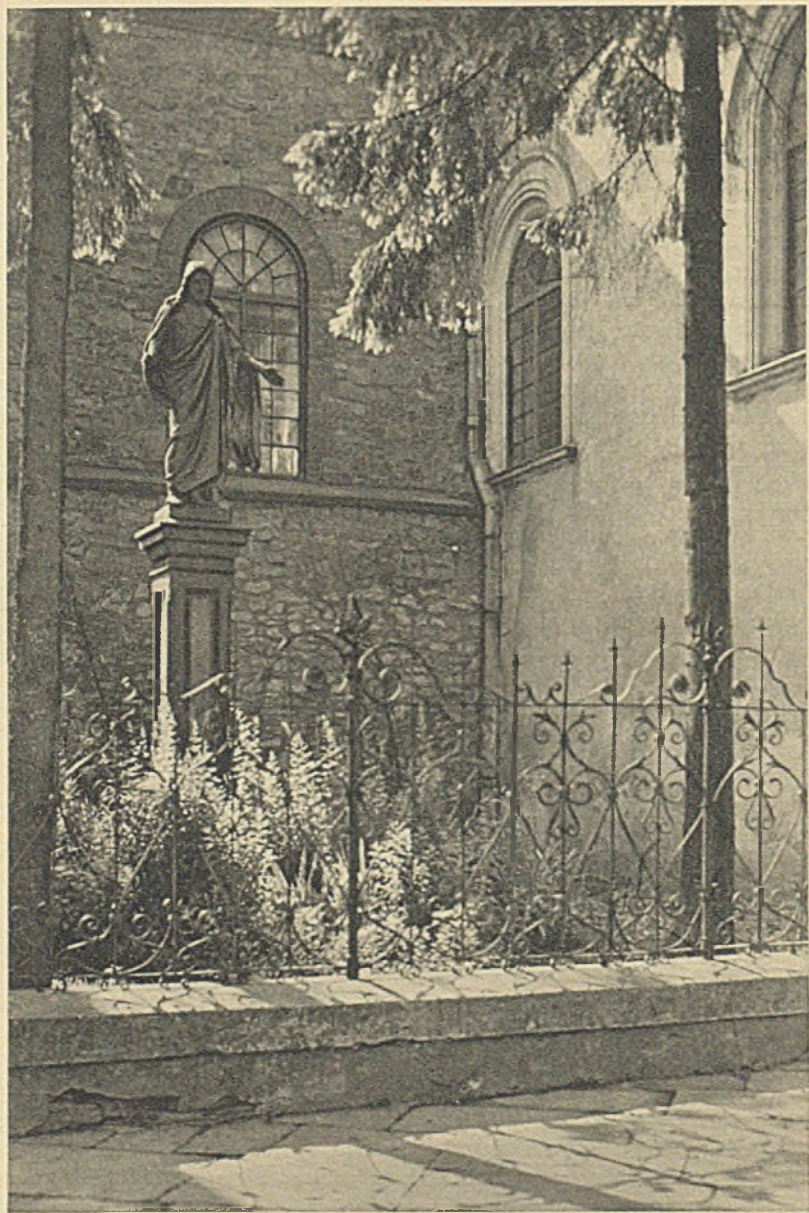
część znikła i — kto wie, czy nie wsiąkła znów w społeczeństwo bojkowsko-łemkowskie? Sanok powstał w zamierchłej przeszłości; w każdym razie istniał już za panowania Kazimierza Wielkiego i stąd wyruszały nowe zastępy „zuchwałych oszajców“ -osadników budować „przesieki“ i inne „brony“, potykać się z bandami „ludzi wolnych i swawolnych“, czyli po prostu — opryszków, których nieraz nasyłali na Polskę i Karpaty wonczas pozornie bezpieczkie jeszcze, panowie węgierscy. Był przeto Sanok miastem grodowym, obronnym, chociaż słabo warownym — i posiadał za mek królewski, uświetniony przebywaniem tu Władysława Jagiełły, gdy w r. 1417 w kościele franciszkańskim brał ślub z Elżbietą Pielecką; odwiedził go król jeszcze innym razem — gdy, przygotowując walną z Krzyżakami rozprawę, właśnie stąd, jak też i z Podhala oglądał się na niepewnych Węgrów, gotowych z tyłu uderzyć nań zniemacka. Zdaje się, w tym właśnie celu zwoływał król na radę szlachtę podkarpacką i kniazów — wójtów wsi, rządzących się według prawa wołoskiego. Po śmierci pierwszego Jagiellona władza Sanokiem wdowa jego Zofia i za jej to wstawieniem leżące na skrzyżowaniu głównych traktów handlowych miasto otrzymało kilka



...wnętrze kościelnej ruiny

przywilejów targowych, stając się za moźnym i śród kupców głośnym, do czego też się przyczyniła „czerpana sól“, wydobywana w Tyrawie. Miasto było tak bogate, że dwa pożary w roku 1470 i 1680, chociaż zupełnie je zniszczyły, nie obniżyły jednak jego zamoźności i rozgłosu śród kupców cudzoziemskich oraz bibosźów, amatorów węgryzna, małmazji, alikantu i słowackiej „okowity śliwkowej“.

Zygmunt August przypisał Sanok na rzecz wygnanej z Węgier Izabelli, wdowy po królu Janie Zapolyi, lecz niebawem, niewia-



*U wejścia do kościoła franciszkanów w Sanoku*

domo przy jakich okolicznościach, miasto to jak tyle innych przechodzi w ręce zabiegliwej i gospodarnej Włoszki Bony, matki ostatniego Jagiellona. Ona to przebudowuje zamek królewski ze stromego urwiska przegładający się w szerokiej strudze Sanu, który na północy przebija sobie malowniczy wąwóz koło Międzybrodzia i podmywa brzegi Mrzygłodu, z górującym tam a założonym przez Władysława Jagiellę okazałym i zapewne obronnym niegdyś kościołem gotyckim. Naprzeciwko miasta, na drugim brzegu Sanu pozostały ruiny zameczka myśliwskiego i „królewska studnia” — pamiątki, ponoć, również po Bonie. Opodal zaś zamku królewskiego, dobrze zakonserwowanego, w parku miejskim umieszczono pomnik odnoszący się do czasów nowszych a ważnych — pomnik Tadeusza Kościuszki, i to nie bez powodu, bo wśród swych oficerów i żołnierzy „naczelnik w sukmanic” miał wiernych ojczyźnie ludzi z ziemi sanockiej. W mieście powstało po r. 1920-ym kilka nowych okazałych gmachów, przeważnie rządowych, odcinających się od szarego tła starych i szarych budynków.

Sanok powoli podnosi się z upadku. To ożywienie zawdzięcza dużym, energicznie pracującym fabrykom wagonów kolejowych i wyrobów z gumy. Są to zakłady zupełnie nowoczesnie urządzone i kierowane sprężystą ręką. W pobliżu znajdują się niewielkie kopalnie ropy. Panuje w mieście duch przedsiębiorczy, wzbudzający szacunek do pracy rąk ludzkich i myśli. Polski też nawskroś jest ten duch. Wyczuwa się go wszędzie i z powagą przemawia on ze starego zamku, gdzie rozszerza się pomyślnie muzeum ziemi sanockiej. Mogą na tej ziemi w każdej chwili odrodzić się sławne tradycje dzielnych, aczkolwiek w czasach pokoju niesfornych nie-raz wojowników ziemi sanockiej, lecz nie odrodzą się już nigdy zawalidrogi, awanturnicy, zbrodniarze i „diabły”, w postaciach wielmożnych „panów szlachty” ucieleśnione, choć w samym tylko w. XVII przesunął się po tej ziemi cały korowód ich — tragicznie straszny. Grasował tu szlachcic Piotr Rambult z Hołuczkowa, który w swoim dworze dawał przytułek zbójcom, za co podstarości sanocki Pieniążek herszta w żelazo okuł i do wieży zamkowej wtrącił; w Sanoku panowie Grochowscy, Dwernicki i Mużyło Buczacki mordują tych, co na nich wyroki sądowe uzyskali; „kondotier” Jacek Dydyński — dawny lisowczyk — za trzos z dukatami podejmujący się pojedynku, dopóki nie trafiła kosa na kamień i nie został „porąbany szpetnie” przez innego „gracza na szerpentynę”, — szlachcica sanockiego, Mikołaja Tarnawskiego; Rosińscy,

którzy, zamaniając gości do dworu w Teleśnicy, prowokowali ich do bójki, zabijali i grabili, aż pan Jan Bal z Baligrodu jednego z tych łotrów zamknął pod strażą; pani Zuzanna Krogulecka, tak często unoszona „*furore plus quam novercali*“ czyniła napady na krewnych, jak „*popolita oczajdusza i zgoła zbójnik*“, wreszcie aż tu sięgały krwią i zdradą poplamione ręce możnego Stanisława Stadnickiego, przezwanego „*Diabłem Łańcuckim*“, w którym, zda się, zgromadziły się wszystkie wady najgorszych charakterów ówczesnych i wszystkie braki społeczne Polski wieku XVII-go. Minęło to bezpowrotnie, jak rządy osławionego za nadużycia, bezprawia, arbitralność i chciwość wojewody Piotra Kmity, którego zamek w grzyzu już rozsypuje się w pobliskim od Sanoka Załużu.

Góry stają się wyższe, wśród pól czernieją gaje, droga biegnie wężowym skrzyżowaniem i przechodzi koło Zagórza, gdzie na wysokim spychu nad Oslawą wznoszą się majestatycznie ruiny klasztoru i kościoła karmelitów, gdzie pewnej nocy rokrocznie błąka się wśród zwałisk wysoka, rozwiewna postać przeora. W opierającej się bohatercko czasowi nawie kościelnej przechowały się ślady fresków. Był to klasztor obronny, a jego wysoka wieża — to typowa „*bacznica*“, z której wypatrywano zbliżającego się nieprzyjaciela. Nieco dalej — rozparło się... „*Herculanum*“ nad Oslawą — ogromny kompleks murowanych budynków fabrycznych — pustych i ponurych. Rysują się już ich ściany i dachy grożą ruinie. Tu przed wojną jakaś spółka finansistów wiedeńskich zamierzała założyć fabrykę celulozy, ale po nieszczęśliwej dla Austrii wojnie — zbrakło finansistów, a ich niedokończone dzieło stoi bez użytku. Szosa przebiega coraz to nowe wsie, gdzie kwitną bzy różowe, a po łąkach chylą się ku upadkowi przegniłe trójki małych szybów naftowych — opuszczonych już, gdyż zalala je woda podskórna. Coraz częściej ciągnąć się poczynają ciemne pasma lasów bukowych i grabowych, a wśród nich za Czaszynem szosa krętymi załomami najdłuższej podobno w Polsce serpentyny wspina się na wysoki grzbiet i w zygzakach zbiega do doliny, gdzie połyskuje wart Oslawy; w rozłogach, wśród zielonych uskoków Sanu czają się wioski łemkowskie i polskie przysiółki, widnieje szczyt Jałowy koło Kulasznego, a na jego zboczach młody las, rzadko widziany tu gość. Człowiek bowiem od dawna zwałczył lasy w tej okolicy, gdy w zaraniu swych dziejów uważał go za wroga, a zwałczył tak doszczętnie, że nawet lemiesz odwalający skibę na stare nie natrafia korzenie. Tam i sam turkoczają, zgrzytają i świszczą tar-



taki przecierając z daleka zwożone tu drzewo, bo aż z lasów Kamienia, Pasięki i Wysokiego Grunia. W niektórych wsiach jarzą krzyże na polskim kościółku i na ruskiej cerkwi, przy drodze tkwią inne — na podmurowaniu wysokim i kapliczki: to niby cerkiewki miniaturowe, to wysmukłe, bez drzwi, o jednym oknie, za którym widnieje Męka Pańska, i oleodruki obrazów. Na uboczu od szosy, koło Duszatyna stosunkowo niedawno zapadła się ziemia, tworząc trzy jeziora, a z ich dna podnoszą jeszcze zbutwiałe i okryte siwymi porostami pnie rosnących tu niegdyś drzew. W jednym z jezior pojawiły się już ryby. Dzikie kaczki z Sanu i z Oslawy przyniosły ikrę na piórach i zarybiły te jeziora. Od czasu do czasu strzeli ponad sfaldowany profil miejscowości wyższy nieco szczyłek — Łysa Góra nad Wielopolem, Wysoki Dział ponad obu Tarnawami, Pohary, Horodysko, gdzie, podobno, istotnie przechowało się starosłowiańskie „horodyszcze“; za wsią Szczawne — Paniwski Las, za Rzepedzią widnieje niemal całe pasmo Kamienia, za Komańczę zaś — Mogiła, gdzie na samym wierzchołku jakiś nieznan „kniaź“ pogrzebał żonę i dwie córki, otrute przez świekrę. Za ostatnią wsią Radoszyce, u stóp Roztoka, gdzie biją w oczy na czerwono malowane chaty o oknach w niebieskich ramach, szosa wbiega na zbocza przełęcz „Beskid“. Zarosła już trawą i młodą buczyną ta szosa, przez nikogo nie odwiedzana, gdyż granicę szczelnie zamknięto. Biegnie ta „zielona“ szosa serpentyną przez las bukowy, gdzie w cieniu drzew mnoży się i rozrasta jałowiec. Dziwne tu rosną buki! Grube, całe w narościach i krzywiznach, o strzaskanych wierzchołkach i polupanych, poszczerbionych pniach. Widnieją zwały butwiejącej leżaniny i posuszu; drzewa, wyrwane z korzeniami, wykroty i leje chwastami porosłe... Tu szalały bitwy, pękały szrapnele i granaty i nikłowy grad kul siekł te grube omszone piony — kaleki. Rosyjskie wojska forsowały tę przełęcz dążąc ku widniejącemu za grzbietem Starego Stawieńca Medzilaborcowi, aby wpaść na równinę naddunajską. Na przełęcz, przy zamkniętej rogatce granicznej tkwią milczące warty — słup z orłem polskim i dwa inne — z czeskim lwem i z herbem węgierskim, którego zniszczyć zapomnieli nowi włodarze tego kraju. Ciągnie się w oddali grzbiet Magury z odrastającym po wojnie młodym lasem. W głębokiej dolinie Siwakowskiej bieleje wieś Palota. Od Magury dmie ostry wiatr i stłacza puszyste, szare chmury. Grzbiet okoliczny — cały w plamach. Ciemniejsze — to lasy świerkowe, jaśniejsze — kępiny bukowe. Cisza tu panuje, smutna cisza,

toteż gorycz zakrada się do serca na widok tych gór miękkim płaszczem zielonym otulonych, gdzie błakają się cienie tysięcy poległych tu ludzi, o których być może myślą jeszcze ciężkim ciosem zgnębione matki i żony i oczami duszy próżno szukają na obliczu ziemi miejsca, gdzie w swej piersi ukryła ona na zawsze prochy istot najdroższych.

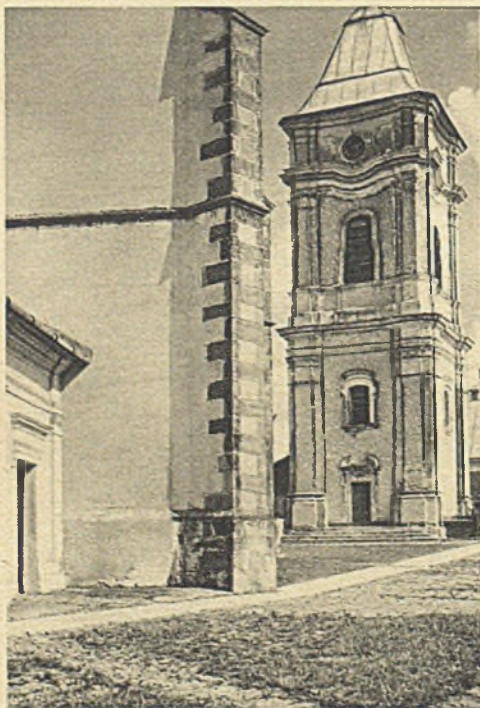
W wioskach łemkowskich w otoku buków i grabów stoją małe cerkiewki. Śród nich są stare, drewniane, szerniałe i nowsze — murowane, a większość ma osobno stojące dzwonnice. Kształtem przypominają te sędziwe cerkiewki stare kościołki na Mazowszu i na Śląsku. Nadają im odmienny charakter kopułki okrągłe lub barokowe — jedna lub trzy i więcej. Nowe świątynki zdradzają już wyraźny wpływ bizantyńskiego budownictwa, za to starsze cerkwie mają dachy okrągłe, inne dwu- i cztero-spadowe, drewniane o kilku wzniesionych kondygnacjach, nieraz przypominają z daleka jak gdyby świątynie jawańskie, pagody Kambodży — małowniczości pełne i tajemnicy, gdyż niewiadomo, jak do takiej wyrafinowanej architektury doszli łemkowie — dla sztuki obojętni najzupełniej. Któż budował te cerkwie, szczególnie stare? Czy nie wpłynęli na to panowie polscy, do których w w. XV wraz z całą ziemią okoliczną należały cerkwie ruskie i popi, których uważano za ludzi poddanych — za kmieci? (P. Dąbrowski). Kto opracował te „style“ — łemkowski i bojkowski, o których charakterystykę i czystość nie umilknął jeszcze spór pomiędzy badaczami lwowskimi i krakowskimi? Czy to czasem nie szlachta nasza, do której wraz z całym obszarem ziemskim należała przywiązana do niego ludność, chcąc utrzymać ich w wierze chrześcijańskiej, by — broń Boże — nie było „non baptisatorum“ — pogan nieochrzczonych, jak owa Olochna Tatiana pana Jana z Rajskiego z r. 1425-go, o czym wspominają akta grodzkie i ziemskie, — czy to czasem nie szlachta polska fundowała te świątynie wyznania wschodniego, stawiając je według wzorów katolickiego budownictwa drewnianego i murowanego? Z tych starych cerkiewek już nie pozostało ani jednej zapewne w tak niespokojnym kraju, lecz mogły pozostać wspomnienia, tradycje, przez dziada wnukom przekazywane wzory architektoniczne — aż z biegiem czasu przekształciły się, jak przydarzyło się to stylowi bizantyńskiemu, atoskiemu i bułgarskiemu w Kijowie, Jarosławiu, Moskwie, Nowogrodzie, Walaamie, Solowkach i innych miastach Rosji prawosławnej? (Noakowski). Może z ziemi Halickiej dotarli tu budowniczy, znajdujący się pod wpływem wielkiego księstwa Kijow-



*Sanok; park miejski, pomnik Kościuszki, kościół farny*

skiego, Słowaczyny, a nawet architektury południowo-słowiańskiej? Jakkolwiek będzie rozstrzygnięta ta sprawa, stwierdzić należy, że bardziej uroczego stylu, zgodnego z otaczającym krajobrazem, gdzie wznoszą się wzgórza tu nagie, tam lesiste, z załomami i pętłami niebieskich rzek i potoków, — najgenialniejszy nawet architekt stworzyć by nie zdołał.

O ile zewnętrzne linie cerkiewek zadziwiają estetyką, o tyle wnętrza ich nie są ciekawe. Z rzadka tylko znajdzie się tam jakiś stary obraz, stoczony przez robactwo, krzyże modrzewiowe, spleśniałe książki zabytkowe i sprzęty artystycznego nieraz wykonania. Gdzie niegdzie pociągnie ku sobie wzrok jakaś rzeźba ozdób, zdradzająca natchnienie, lecz i w tym wypadku myśl biegnie mimo-woli ku przedziwnym „tokarykom” huculskim i upoczywie szuka tu śladów ich lekkiej, wprawnej dłoni. Wiejskie kościółki polskie posiadają konwencjonalną architekturę i nieliczne są na Łemkow-



Lesko — Wieża dzwonnicza

szczyźnie obsługując nadmiernie wielkie obszary. Katolicy przeto z trudem nieraz dotrzeć mogą do kościoła i proboszcza, a tym się objaśnia z punktu widzenia idei państwowej smutne zjawisko zruszczenia Polaków zamieszkujących odosobnione wioski i przysiółki. W wypadku nagłej potrzeby pomocy religijnej zmuszeni są oni obyć się bez niej, lub też zwrócić się do kleru ruskiego. „Bóg jest jeden!” — słusznie twierdzą popi i udzielają ostatniej posługi zmarłemu Polakowi, wpisując go niezwłocznie do aktów cerkiewnych jako... przynależnego do grecko-katolickiego wyznania; dają chrzest słabowitemu niemowlęciu, a

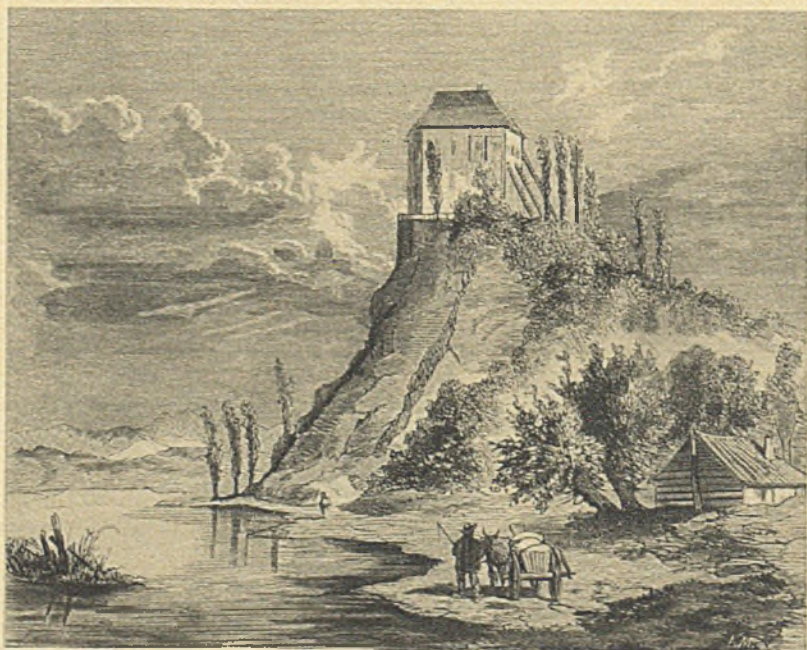
gdy wydobreje i urośnie, okaże się, że jest już... Rusinem, a nawet „ukraińcem“! Są to sprawy i zjawiska wagi ogromnej, które powodowały cofanie się i kurczenie polskości na Łemkowszczyźnie, Bojkowszczyźnie i na ziemiach przez Rusinów zamieszkałych.

Na tę palącą kwestię zwracał w swoim czasie uwagę prof. L. Kolankowski w swoim studium statystyczno-geograficznym „Kościoł a cerkiew w Galicji Wschodniej“, opatrzonym w przekonywującą i przejrzystą mapę kościelną. Autor dowodzi, że cerkiew ruska jest o wiele bogatsza i zasobniejsza, niżli kościół polski, rozporządza o cały tyśiąc większą liczbą domów Bożych niż nasz kościół na tymże terytorium, wskutek czego, gdy ruski paroch ma do obsłużenia 1600 parafian, to polski proboszcz ma ich — 3700. Uczony badacz wskazuje, że potężny wpływ, wywierany przez grecko-katolicki kler, zależy od większej niż w naszym kościele liczby duchowieństwa i od jego zamożności... „Plebania parocha ruskiego — to ważna placówka narodowa“, — pisze prof. Kolankowski — „to warsztat pracy tym wydatniejszy, że tyśiącem węzłów związany ze swym społeczeństwem“, gdyż na plebanii siedzą — synowie i bracia chłopów i mieszczan ruskich. Do pracy narodowej staje tam nie sam tylko kler, lecz nadto ich rodziny — tyśiączne rzesze, których działaniu ze strony polskiej często nie ma co i kogo przeciwstawić. „Wre tu ukryta walka o dusze“, pełna zasadzek i zastawianych na każdym kroku sideł. Obca przeważnie jest ona — samym Łemkom, ludziom na ogół rozważnym i spokojnym. Zresztą obca jest ona całej dolinie malowniczej Osta-



*Kościół i dzwonnica w Uhercach*

wy i górnego Sanu, gdzie po szerokich rozłogach pomiędzy zielonymi, pławiącymi się w słońcu, a łagodnymi górami, niby znaki nieznanego pisma coś tam kreślą wartkie wstęgi rzek i strugi bocznych potoków. Nad ich prądem pochylają się olchy i rozwichrzone wierzby, podmyte wiosennym wód rozlewiskiem, gdy to najniklejszy nawet potoczek z koryta swego wystąpi, wzbierze potężnie, jak gdyby w gniewie swym nieposkromionym szczyty wzgórz pochłonąć za-



*Zamek królowej Bony w Sanoku*

mierzał i zatopić. Biegają fale złote, fioletowe i zielone po małych poletkach łemkowskich; leniwie suną krowy po łączkach przebierając trawę; na kartofliskach jarzą się barwne spódnice, gorsety i białe koszule gazdyni i dziewczuch; dalej idzie gazda przy pługu, schylony nad radłem, bo woły czy konie spadzistym zbożem ciągną pług w górę, gdzie na świeżą podorywę zostanie rzucony ozimin siew; turkają gołębie; szczeka pies goniąc samochód na szosie; za wsią, przez pola para wołów wlecze sanie z białą

trumną. Jedna tylko idzie za nią gazdunia i cicho płacze. W jakiejś tam „chyży“ zmarło komuś dziecko na ospę, więc czym rychlej odwozi je matka na cmentarz, by złożyć w ziemi kamienistej. Nie ma ona czasu na długie korowody i zawodzenia. Trzeba ogrodowińkę okopać, wrzeczono ustawić i krosna. Musi tkąć i tkąć, bo obdarł się zupełnie gazda i dzieci, a i samej jej łokcie z dziurawych rękawów soroczki wyzierają od dawna. Skrzypią koła na drodze i jęczą osie niesmarowane, uginając się pod bierwionami, na tartak wiezionymi z daleka. Rzy koń, dobiega bicie w kocioł i — co chwila zrywają się we wsi jakieś krzyki ostre i przeraźliwe.

Rozglądają się więc zdumieni gazdowie i zaciekawione kobieciny po polach, oczy od słońca opalonymi zaslaniając dłońmi. Ach, to tabor cygański! Już widać na garbie pagórka dwa pierwsze malowane wozy pełne dziewczyn pięknych — wróżbiarek i tancerek. Przed wozami kroczy atabrzy i łaskawil...

Hej, cygany — wieszczuny, kowale, znachory i wróżel Hej — cyganki — wesole pieśniarki, z kart i kamyków prawdę tajemną mówiące i w „żurbie“ serdecznej do pomocy i rady ochocze! Hej, ludzie dobrzy, łaskawi, hej — cygany jadą do was.

I znowu biją w kocioł, pokrzykują drażniąco piękne worożychy, a stare wiedźmy kudłate czarnymi oczami przenikają, zda się, czerwono-białe, pasiaste ściany czyż łemkowskich i coś miarkują szybko.

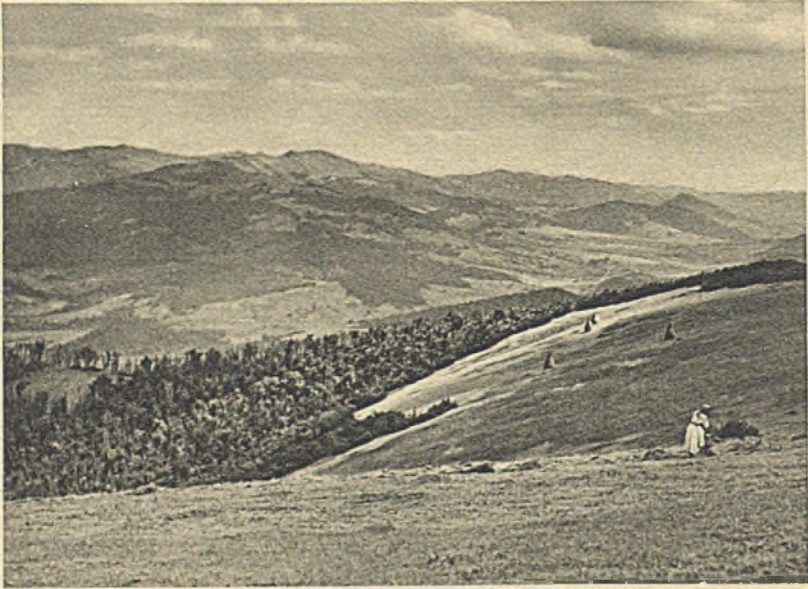
Błękitne niebo unosi się nad wzgórzami i doliną Osławy wysoką, okrągłą kopułą. Słońce zasnuwa promienistą mgiełką szczyty wyższych gór, złoci majaczące na zachodzie faliste zarysy Beskidu i niebieskie to znów fioletowe pasma gęstwy lasów na widnokręgu.



Grzegorz z Sanoka

man brodaty i czarny jak noc — idzie przed taborem, bije w kocioł miedziany i nawołuje głośno: Hej! koniec kuć i leczyć; lutować, drutować sagany, misy i garnki. Szczęście poznawać i wróżby stawiać! Lubczyki czarowne warzyć i uroki odczyniać! — Hej, cygany, cyganki jadą, ludzie do-

Na południowy zachód od Sanoka w dolinie Bukowicy spływającej wodami Sanoczka do Sanu rozsiadło się Bukowsko, małe miasteczko, w którym, zda się, nie ma nic polskiego z wyjątkiem



*Widok spod Rawki na grupę Halicza*

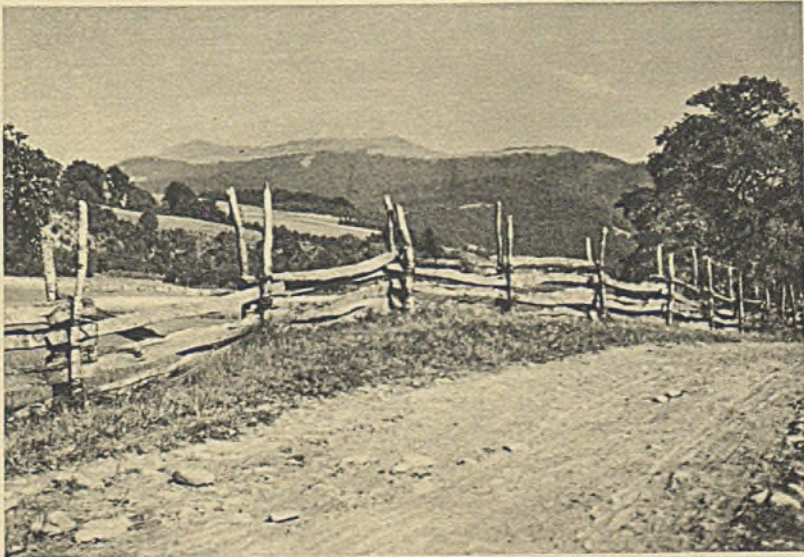
nieciekawego kościołka na pagórku śród drzew, bo rynek i ulice zatłoczone są przez Żydów i Łemków zjeżdżających tu na targ. Niedgdyś mieściła się tu prywatna rezydencja letnia jakiegoś biskupa — znakomicie udającego uczonego, bo nawet brał udział w krakowskich dysputach. W końcu wydało się jednak, że nie był on ani uczony, ani nawet święceń nie przeszedł. Dość długo prawowała się z nim kuria i kłopotów miała co niemiara. Kościół, ufundowany przez niego, spłonął podczas wojen szwedzkich, drugi — powstały na jego gruzach wraz z całym Bukowskiem ponownie strawił pożar. Wreszcie stanął ten trzeci — mały, niewyraźnej architektury — w biednej, coraz to kurczącej się podgórskiej parafii.

Po drogach za miastem wloką się wozy powracających do domu gazdów, bo aż z Wisłoka Wielkiego, spod Kiczery i z wiosek, zaczajonych w fałdach Bukowicy wiozą tu gazdynie kury, jajka, przędzę i wełnę, gazdowie zaś — klepki i obwody bukowe do kół.

W pobliżu Bukowska wznoszą się szczyty Ubycz i Jawornik; na ich zboczach wegetują drobne przedsiębiorstwa naftowe, przez wielkich przemysłowców porzucone tak samo, jak porzucili tu



ziemianie swoje dwory w rozparcelowanych majątkach, gdzie teraz dziczeją i schną drzewa owocowe, a stawy rybne zarastają sitowiem i rzęsą. Wsie Pobiedno, Sanoczek, Dąbrówka wybiegły już na równinę jasielsko-sanocką, na ziemię żyzną, z większymi miastami koleją i szosami związaną, lecz i tu nie można spostrzec dostatku i niestroskanych twarzy gazdowskich; chaty, jak gdyby nawet nędzniejsze, spichrze małe. Główną szosą sanocko-krośnieńską, przecinającą słynne „doły“, mijając Sanok, dociera się do Liska lub, jak teraz nazywają to miasto — Leska. Stare to miasto i niegdyś obronne burzliwą miało przeszłość. Kto powołał do życia Lesko nie wiadomo. Wiemy tylko, że w połowie XVI w. należało ono do butnego wojewody krakowskiego, Piotra Kmity, i zostało obdarzone przywilejami przez Zygmunta Augusta. Władali nim „diabeł“ i diablęta Stadniccy, a po nich stateczni Ossolińscy. Stację kolejową Lesko-Łukawica pięć kilometrów dzieli od miasteczka. Nie wjeżdżając do niego, wstąpmy na którąś z okolicznych gór i spójrzmy na dół. Widać szare zbiorowisko domów, rozświetlone tam i sam budowlą jaśniejszą i okazalszą i umajone buketami drzew. Nad dachami unoszą się dzwonnice kościoła. Nieznany architekt w. XVI-go zbudował tu gotyk, lecz po pew-



*Widok z Ustrzyk Górnych na Poloninę Caryńską*



*Cerkiew w Jurowcach*

nym czasie nadano mu barokowe kształty, wreszcie odnowiono na początku bieżącego stulecia, od czego Dom Boży nabrał zwykłych cech kościoła prowincjonalnego, przez nikogo szczególnie nie faworyzowanego. Szeroka, wijąca się ciągle wstęga Sanu połyskuje raz po raz poprzez las i zarośla nadbrzeżne; tuli się do jego brzegów Hużel — wioska Łemków-Doliniaków; wznosi się lesista Czutnia i niższa od niej Dąbrowa. Tuż nad Sanem, tonąc w rozległym i malowniczym parku, rozpiera się ogromny pałac hr. Krasickich, słynny ze swych obrazów, zbiorów numizmatycznych, biblioteki i archiwum, gdzie właściciele miłośnie przechowują rękopisy wielu poetów rodzimych, przede wszystkim zaś — Wincentego Pola, który był częstym gościem w pałacu i nawet szkicował plany jego przebudowy. Powstał ten gmach z zamku, zbudowanego przez wielkorządcę ziemi sanockiej i przemyskiej — Piotra Kmitę. Snadź wielkie znaczenie strategiczne nadawali tej miejscowości Kmitowie, bo już w wieku XIII-ym powyżej Łukawicy na niedostępnym urwisku nad Sanem — zamek Sobicich wystawili, mocno warowny i bodaj jak naówczas całkiem nieprzystępny. Dobrze był on pomyślany, gdyż zamykał San, więc właściciele jego mogli śmiało cła się domagać od kupców prowadzących towary wartem rzeki i od czabanów pędzących brzegiem bydło od strony węgierskiej. Zburzyli go Węgrzy, odwieczni sąsiedzi Polski, w czasie wojny w r. 1474. Teraz ruiny zamku Kmitów toną w gąszczu drzew i krzaków, a z urwiska, gdzie obronne gniazdo założyli sobie możnowładcy tej ziemi, odsłania się rozległy, wspaniały widok na dolinę Sanu. Materiał na zamek sobieniowski i leski dostarczono z okolic Uherzec, gdzie z podłoża skalnego wyrósł niby baszta strażnicza, „Kamień pod Liskiem” — od czasów najdawniejszych słynne kamieniołomy. W okolicy, koło Uherzec również, jak też w innych częściach powiatu, wykryto naftowe tereny, a niektóre z nich, jak twierdzą znawcy, rokują świetną przyszłość. W górzystym kraju, ponad słańdowanymi wzgórzami, panuje wysoko się wynoszący Jawor; po brzegu Sanu i Solinki usadowiły się wsie Myszkowce, Bóbrka, Solina i Wołkowyja. Wre tu praca nad związaniem ich drogą szosową i mostami z Lutowiskami, Łupkowem i Leskiem, aby ludności otworzyć dostęp do rynków zbytu. Koło Myszkowiec San przebija sobie drogę w kamienistym zwrze i kluczy zawilými pętłami o kilku brodach, dostępnych jednak wyłącznie przy małej wodzie. W czasie wylewu całe to „Zasanie” odcięte zostaje od świata i pozostawione

własnemu losowi. Ciężkie są tu warunki dla inżynierów i robotników budujących drogi. Dynamit i pirosylyna strącają nawisy skalne, zrywają całe wartwice piaskowców, tworząc gzymсы, którymi biegnie równa, twarda nawierzchnia drogi; z odłamków poszarpanych skał układane są ochronne skarpy, wały i progi przybrzeżne. Rozlegają się wybuchy nabołów, założonych przez minierów, grzechocą młoty rozbijające kamień na szczebionkę, a w tej robocie góruje nad wszystkimi Łemko Pańczyk, który się uparł, że natłuczonym przezeń kamieniem zostanie okryta szosa z Wołkowyi do Solinki, i nikogo więcej do roboty na tym odcinku nie dopuszcza. I inny jeszcze człek miejscowy — Christa — potomek kamieniarzy italskich — zazdrosny jest o te drogi w dalekim zakątku Polski. Pracuje przy obciosywaniu kamieni, w wolnych zaś chwilach wykuwa grocie w stromym spychu, gdzie stanie rzeźba Bogarodzicy Jasnogórskiej. Marzy też Christa o tym, że dane mu będzie zrzucić z posad „złe skały“ pod Glinnem, gdzie znaleziono ciało nieochrzczonego niemowlęcia, z powodu czego rzekomo zabił się w tym miejscu robotnik drogowy. W Myszkowcach na Sanie widnieją w jego korycie ruiny niedokończonej elektrowni austriackich przedsiębiorców, zburzonej falami rzeki i wojny. W Bóbrce słynął z dobrze prowadzonego sadownictwa Czech Indra, lecz podczas surowej zimy zmarniały mu drzewa. Nie upadł jednak na duchu, otrząsnął się po klęsce, zbudował tartak i elektrownię przy nim ustawił. Teraz sprzedaje ziemiąnom i gazdom okolicznym energię elektryczną, a Łemkowie każdą żarówkę palącą się w ich chyzach odrabiają mu na jego posiadłości, bo uparty Czech na nowo sad owocowy zakłada. Wołkowyja! Sama nazwa mówi o wyjących wilkach. Tak też jest istotnie. Sporo tu wilków wałęsa się w zimie i porywa owce i psy. Dziwna to wieś ta Wołkowyja! Istniała tu do niedawna cerkiew. Modlili się w niej Łemkowie i Polacy, aż pewnej niedzieli Rusnacy nie puścili łacinników do Domu Bożego. A gdy ci poszli na skargę do starosty, ten zapytał ich tylko:

— Jakżeż tak? Rusini mogli zbudować cerkiew, a Polacy nie potrafiać wznieść kościoła?

Widać, że potrafili, bo teraz stoją obok siebie cerkiew i polski kościół katolicki, do którego oltarz ofiarował starosta. Ba! Dopotomogli, snadź sąsiedzi z Myszkowiec. Twardy to lud! Sama bodaj szlachta polska — schłopiała, zagrodowa, chodaczkowa, ale przechowująca starannie nadania królewskie, wizerunki klejnotów i klechdy siwe o jakichś tam przodkach, co z Tatarami, Kozakami,

Szwedami i nawet z Turkami pod Wiedniem rąbali się „luto“. Tacy swego nie popuszczają, o swoje sprawiedliwie i twardo się upomną, zupełnie tak, jak ich pobratymcy i towarzysze dawnych wypraw spod Turki, gdzie mają już dosyć ukraińskich i bolszewickich podszeptów i wicherzeń zakordonowych. Niedarmo przecież z krwi ich urosły szlacheckie klejnoty, jako godła wiernej Rzeczypospolitej służyć? Toteż i w sąsiedniej Solinie większość polska budzi się szybko, z ufnością i wiarą spoglądając na władze polskie i nie wierząc szczekaczom, którzy złote góry obiecują i do klęski nieraz już doprowadzili łatwowiernych gospodarzy, jak to było w r. 1932 pod smutnej pamięci Oszwarową... Po dziś dzień o tym rozповіда skałom i drzewom Solinka, skacząc po kamiennych żebrach łożyska, gdzie niewidzialna przebiega granica Łemkowszczyzny i gdzie jednocześnie uchodzą ku południowi pierwsze uskoki Bieszczadów lesistych. Nie kończy się tam jednak ziemia leska, ojcowizna Kmitów-Śreniawitów i Balów. Roztacza się dalej aż pod grań bieszczadzka, gdzie w puszczech na wiosnę głuściec tokują i tęsknie a groźnie porykują jelenie, gdy jesień szkarlatem pokropi listowie buczyny i pozłotą powlecze brzozy i olchy.

Od Leska szosa przeciągnęła się ku dawnej granicy węgierskiej, przez Cisnę, skąd kolejką wąskotorową dostać się można do Łupkowa, a przez jego przełęcz zwykłym torem na tamtą stronę gór — na ziemię słowacką. Dolina Solinki łączy się z nią boczną szosą, biegnącą przez coraz bardziej obniżającą się pagórkowatą miejscowość i mija kilka osad. U jednej z nich na łące spływającej z łagodnego wzniesienia, uwienieczonego lasem iglastym, zwracają na siebie uwagę dwa duże, kąpiące się w słonecznej powodzi gmachy o płonących oknach. Są to letniska prywatne, słabo zresztą uczęszczane, lecz idealne wprost na kolonię dla dzieci lub młodzieży, a nawet na schroniska turystyczne i narciarskie. Dalej wieś Berczka wyciągnięta wzdłuż wysokiego brzegu małej rzeczki, niby zdyszana pędzącej ku Sanowi; w Średniej Wsi w całej okazałości widzialny ze wszystkich stron skrzy się w słońcu biały pałac d-ra Sołowija, a tuż w pięknym parku stoi czarny ze starości kościółek drewniany, co zapewne około pięciuset liczy sobie lat. Balowie oddali go niegdyś arianom. Teraz od czasu do czasu odprawia tu nabożeństwo pobliski proboszcz łańcki. We wsi dużo murowanych zabudowań, krytych blachą; widać współczesne narzędzia rolnicze, lepszą rasę koni i bydła i wyczuwać się daje jakiś rozmach — inny niż gdzie indziej na Łemkowszczyźnie i Bojkowszczyźnie. Istotnie mają tu swe gospodarstwa wieśniacy,

którzy stosunkowo niedawno powrócili z Ameryki. Stara Wieś stoi już na głównej szosie. Równina i coraz łagodniejsze fale wzniesień znowu piętrzyć się zaczynają i przechodzą już w prawdziwe, najczęściej stożkowate góry, a nad nimi na wysokości prawie 1000 metrów panuje Turnia. Wszystkie szczyty najeżyły się szczeciną świerków, w niższych reglach odcina się jaśniejszą zielonością skupienie bukowe. Przez labirynt górski przeciska się i kluczy kręta i głęboka dolina Hoczewki. Pod skalnymi nawisami, gdzie zimna struga tworzy kaskady i wiry, chłopaki czatują na pstrągi. Srebrzyste ciała ryb raz po raz błyskają ponad wodą, gdy z rozpędu usiłują przeskoczyć spadającą z kamiennego progu szeroką strugę.

Szosa przecina dawną stolicę Balów. Ród to ród senatorski, w obliczu Polski zasłużony, a dla tego burzliwego kraju nieraz opatrnościowi. Mieli bowiem Balowie poczucie systemu państwowego i bronili zaciekle tej polaci przeciwko zakusom chciwych i zuchwałych „konkwistadorów“ madziarskich, a gdy ciąglym niepokojem i niepewnością bytu zdemoralizowana szlachta rządzić się tu poczęła na własną rękę, stateczni, śmiali i uczciwi Balowie uśmierzali i karcili surowo zbyt niespokojne temperamenty. O Balach wszakże nikt tu już nie wspomina. Znikł stąd ten ród rycerski i śladu po sobie tu nie pozostawił, bo nawet ich zamek przekazał po sobie jedynie głązy fundamentów i zapadłe już lochy. Turysta znajdzie w okolicach Balirodu sporo pięknych zakątków, jak wioska Mchawa z malowniczą cerkiewką, która niewiadomo dlaczego ściąga tu na odpust nie tylko ludność okoliczną, ale nawet Łemków zakordonowych; Kalnica, gdzie chętnie przebywał Wincenty Pol i tam pod lipą pisał do dnia dzisiejszego żywymi barwy przesycone utwory. Inny też pisarz polski — beletrysta, Zygmunt Kaczkowski, lubił te okolice i w Bereźnicy Wyżnej opisywał dzieje szlachty, która na tej ziemi siedziby swoje miała; malowniczo położone i dobrze zabudowane skarbkowskie Jabłonki z koloniami i letniskami, wreszcie wspomniana już Turnia, z której szczytu oko ogarnąć nie może całego krajobrazu, i jeszcze wyższy szczyt — Wołosań. Kolo Bystrego przechował się rezerwat cisowy. Lesiste góry stłaczają się coraz bardziej i coraz wyżej się piętrzą. Iglaste i liściaste lasy wspinają się na ich szczyty, chociaż gdziegdzie już błyska jaśniejsza plama połoniny. Pasma Jabłoneckie otula się pysznym płaszczem zielonym. Przeważają tu lasy liściaste — buk i grab. Szosa lśniąca od czarnego łupku bitumicznego serpentyną wbiega i ześlizguje się z jego grzbietu. W gąszczu lasów mają dogodne rykowiska jelenie, w gęstym podszyciu żerują dziki,

na skraju haszczy to tu, to tam śmignie rudawo-płowa sarna. Za Działem Jabłoneckim, w rozległej kotlinie, pośród lesistych i łąkowych zboczy usadowiła się urocza Cisna. Zieloną jej kotlinę przecina wartka rzeczulka. Stoją tu zamożne gospodarstwa włościańskie i dobre budynki letniskowe — wymarzona siedziba dla turysty,



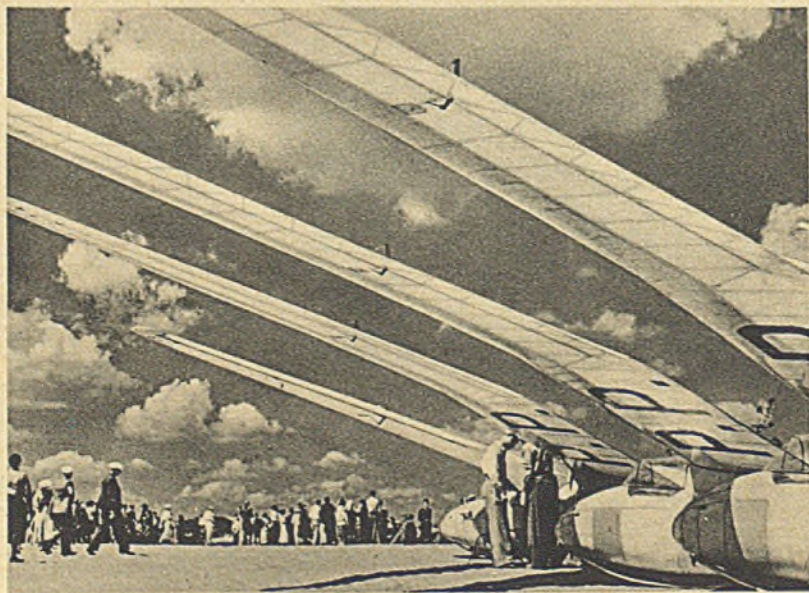
*Kościół w Ustianowej*

malarza, rybaka i myśliwego. Z zacisznych dolin prowadzą malownicze ścieżki na zieloną piramidę Hyrlaty. Dalej wznoszą się Strib, Wisiel i Smerek, Rawka, Krzemieniów i Wetlińska Połonina — i Rabia Skała, których szczyty sięgają od 1075 do 1300 metrów. Wędrowiec nie pożałuje swego trudu, gdyż, dotarłszy tu, zobaczy nie tylko piękne widoki, lecz również porywające sceny z życia zwierząt. Jeżeli posiada on sztukę zamieniania się w nieruchomy pień drzewa lub złom skalny, jeżeli potrafi nie oddychać przez całą minutę i chodzić jak kot nie potrąciwszy kamyka i nie zawadziwszy o wystający korzeń, jeżeli wreszcie wyrobi w sobie zdolność natychmiastowego

zatrzymania się i skamienienia, — tedy może być pewny, że rzadko niepokojony przez turystów na ścieżkę wyjdzie zadzierzysty kozioł i będzie patrzył na niewidziany tu przedmiot na razie zbyt bacznie, lecz zapomni o nim po chwili i pocznie oszczypywać młode igliwie i cienkie pędy krzaków. Tą samą ścieżką kołyszącym się krokiem, świecąc białym „talerzem“ i potrząsając rogatą głową, przejdzie jeleni,

a przed nim, osłaniając go przed niewidzialnym wrogiem, zbitą gromadką, ze zgrzytem racie na piargu sunąc będą wierne łanie, pomne igrzysk i gonu na rykowisku, gdy ze szczękiem zderzały się wieńce byków, płynął namiętny i groźny ich poryk i z cichym szmerem padały koralowe już liście buków. W tutejszych niepozornych strumykach rybak - sportowiec stoczyć może zaciętą walkę z dużym pstrągiem — królem i zbójnikiem tych wartkich potoków płynących z górskich mateczników, gdzie spod skał i próchnicy sączą się wycieki Osławy i Solinki. Obok Cisny, na Majdanie, gdzie znęca się nad trupami świerków i buków tartak żydowski, zaczyna się kolejka wąskotorowa. Biegnie ona na zachód do Łupkowa, ku przełęczy, gdzie turysta znajdzie już zwykły pociąg. Od Łupkowskiej przełęczy poczęły się Bieszczady — górską krainą, gdzie nawet człowiek, którego życie zgnębiło, gdy wejdzie na ich grań, odrodzi się nagle i o wszystkim zapomni albowiem ogarnia go zachwyty prawdziwy.

Jakżeby mogło być inaczej?! Nad nim rozrzuciwszy na wsze strony niebieskie poły stanął namiot lazuruowy, a może kopuła turkusowa nieznannej świątyni. Żłociste strzały słońca przesywają przestwór, co kresu nie ma i dna, bo daleki widnokrąg i wszystko,



*Ustianowa; zawody szybowcowe — szybowce na startcie*





*Ustianowa; szybowce LOPP typu CW5-bis/35*

co cierpi i lka tam na padole, utonęło nagle w mgłę promienistej. Wszystko tu wybuja ponad miarę. Wszystko zdradza moc niezwykłą i pęd do życia. Wszystko przesiąknięte jest radością bytowania i szczęściem. Wyczuwa się, że miejsce to osobliwie ukochało słońce i nie szczędzi mu łask swoich, że sama natura nad wszystkim — co się rodzi, żyje i co już umarło, na piach się rozsypało, zbutwiało, zmurszało, obróciło się w zgniłki i próchno, miłosną roztoczyła opiekę. Cisza tu panuje i jakaś ni to uroczysta powaga wobec tajemnicy ni to bezszmerna modlitwa do Wielkiej Potęgi, która światem całym rządzi i losem najniklejszej istoty. Człowiek jest tu sam, tak wysoko, że zda się, dłonią może sięgnąć po słońce i dotknąć sklepienia niebios, nad którymi nie masz nic — tylko tron Najwyższej Istoty. Stąd posłyszysz ona głos człowieczy, zrozumie jego troski i bóle, wysłucha i losem jego zarządzi, jak rządzi tu na wyżynie, gdzie dumne jodły i świerki w puszczech obala, z wierchów ciska złomy kamienne, a nikłym, słabym trawom ponad miarę rosnąć pozwala, by i one zaznały szczęścia bujnego i bezbrzeżnej wolności... Góry! Góry!



*Polonina Wetlińska przykładem*

*piękna karpackiego krajobrazu*

Jakżeż malowniczy i uroczy jest ten odcinek Karpat Polskich! Gęsta, pełna ożywczego mroku knieja wspina się aż na grań i spływa z niej zieloną falą. W uroczyskach nic nie płoszy ciszy, chyba potoczek pędzący ku rzece ukrywa się pod szerokimi liśćmi łośpuchów i paproci, w pośpiechu rozpowiada dzwonną opowieść o tajniach leśnych, pluska i szemrze aż wypadłszy na polankę zwolni bieg swój i zamilknie.

O czym dzwoni rozgadany potoczek? Może o legowiskach wilczych? O ukrytej na starej porębie hawrze niedźwiedziej? O skargach świerków i buków, że pod korzeń podcinają ich mocarne piersnice siekiery żydowskie?...

W głębokich wąwozach snują się liliwe cienie i wartkie syczą na złomiskach strugi — odwieczne bojowniczkę, walczące z zakutymi w pancerz górami, co im drogę na szeroki świat uparcie przegradzają. One zaś syczą i pluszczą gniewnie: „przebijamy szlak poza góry, poza góry!“



*Most kolejowy w Cisnej*



*W drodze na Starostynę*

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

# BIESZCZADY



*Biały szlak*

**Z**a rzeką Oslawą na wschodzie rozpoczyna się grzbiet górski, który czy to przeciwstawił się niszczycielskiej, drapieżnej działalności człowieka, czy też ludzie nie zdążyli jeszcze lub nie chcieli ogniem, siekierą i lemieszem zmienić i zniekształcić oblicza gór, co stąd aż po Świcę zieloną grania cieszą wzrok i zdumiewają bogactwem szaty roślinnej tak bardzo, że geografowie niemieccy nadali im nazwę Karpat Lesistych.

Są to „Bieszczady“ — inaczej, gwarowo wymawiane słowo — Beskidy. Nazwa ta

jednak pozostała na zawsze przy tym łańcuchu górskim, który za Mizuńką związał się z ponurym wałem dzikich Gorganów. Ku północnym uskocom Bieszczadów za Strwiążem przymyka do nich tarnowsko-przemyskie pogórze, aby wraz z nimi, zniżając się coraz bardziej, urwać się na nizinach górnego Dniestru. Grzbiet Bieszczadów dzieli się wyraźnie na dwie części, odmienne co do swych losów w zamierzchłych epokach geologicznych. Należącą do Polski część północną tych grzbietów tworzą piaskowce karpackie, oddzielone dolinami dopływów Laborczy, Ungu, Turjagi, Górnej Latorczy, Borszawy i Nagy-Ag od południowego systemu, na który złożyły się trachity — wulkaniczne skały, zrodzone w okresie, gdy z krateru Wyhorlatu i z innego, co pozostał pod Snińskim Kamieniem, głębia ziemi rzygnęła potokami lawy. Nasze Bieszczady — szerokie na 60 km rozbiły się na dziesięć wąskich i długich pasm, które, niby zeszczywniały nagle fale przyływu morskiego, zatrzymały się nagle równoległe do dziewiątego wału — głównej osi grzbietu, aż w północnym kierunku opadać poczynają, zwięzać się i zanikać. Znowu w pamięci występują pradawne kataklizmy, gdy cały maszy karpacki uległ potężnym mocom i w nierównej walce pofałdował się, powyginał i połamiał. Pomiedzy tymi fałdami w podłużnych dolinach przepływa górny Dniestr, Stryj, źródłiska Sanu i Strwiąża, lecz Opór, Świca i Mizuńka, korzystając z niewyraźnego już wałowego układu gór, wpoprzek przecięły Bieszczady. Dalej wyrasta główny grzbiet tego łańcucha górskiego, a nad nim panuje najwyższy szczyt Stoh, wysoki na 1680 m, dalej — Połonina Równa, leżąca na 1482 m nad morzem i niższy od niej o 127 metrów Kuk. Tam to leży wododział, odgraniczający rzeczny system Dniestru od Cisy. W grzbiecie tym, w miejscu, gdzie z niego pod kątem prostym wygina się granica, wznosi się kopuła Pikuja (1405 m). Skąd w roz-



ległym widoku wybijają się na wschodzie Trościan, Berdo i Staneszcza — a na obecnej już ziemi na południu: najwyższy z bieszczadzskich szczytów Stoh (1679 m); na zachodzie Ostra Hora i płaski wierzch Połoniny Równiej. Oko spoczywa na głębokich — to ciem-

*Tak dawniej w Karpatach niedźwiedzie brano*

nych to zielonych zworach dolin, ślizga się po prawie czarnych leśnych zboczach gór koło Skolego — gdzie nadnim jak stróż wyrasta Paraszka, a w kierunku wsi Sianki okazały Halicz, W środkowym grzbiecie Bieszczadów, zaczynając od źródeł Osławy — jeden po drugim wznoszą się: niewyraźnych i niebijących w oczy kształtów Szczop, Wysoki Groń, Rydoszowa i Czerecin, Stryb, Płasza, Paportna, Hrubki, Rawka, Czere-



*...tak się na niego w ubiegłym wieku wyprawiano*

mcha i Tarnica, Kinczyk, Drohobycki Kamień, Błyśce na Hrebieniu, Starostyna, Ruski Put, Zełemin i Jaworniki Wielkie, gdzie mają swe źródła Stryj i Opór, Czarna Ripa i Halinowce nad kolebką Mizuńki, w pobliżu wysokiej na 940 m przełęczy, która stanowi granicę pomiędzy Bieszczadami a Gorganami.

Północne uskoki głównego grzbietu są już znacznie niższe i ich szczyty rzadko wznoszą się ponad 1000 m. Są to na zachodniej polaci — Wołosań (1070 m), Hyrlata (1102 m), Wysokie Wierchy (1245 m), Szymoniec (1132 m); na wschodniej — Paraszka (1271 m) i Krzemieniec (1228 m). Najwyższym punktem północnej strony głównego grzbietu jest Magóra Mizuńska, sięgająca 1365 m. Grań Bieszczadów, zarysowana spokojnie i jak gdyby rozplaszczona, łagodnymi zboczami zbiega na dno dolin; nawet najwyższe szczyty z małymi wyjątkami są niezmiernie słabo wypiętrzone, przedsta-



*Dziewczęta z Balnicy*

wiając się raczej jako nieco śmiejiej wygięta linia grani. I tylko dwa wierchy bieszczadzkie, Stoh i Pikuj krajobrazowo dodatnio różnią się od swych pobratymców. Pierwszy — w kształcie monumentalnej piramidy, której zbocza spadają gwałtownie ku dolinie Weczy i Borszawy, ma wierzchołek okryty zwałami pogruchotanych płyt piaskowcowych, co już przypomina dokładnie krajobrazy gorgańskich grzbieców. Również i kopuła Pikuja, wznoszącego się już ponad górną granicę lasów, przysypana jest złomiskami, a tam i ówdzie po zboczach nawet wyzierają bloki skalne. Szczególnie na południowych jego stokach, niby ruiny nieznanych zamczysk,

tkwią pochylone skały, kanciaste płyty i połamane słupy piaskowca. Na północnej stronie szczytu zwalone chaotycznie kamienie przysypał już piach i przez wiatry przyniesiona próchnica, więc wyrasta już tu skalnica wszeźywa i rojnik górski. Pod wpływem wody atmosferycznej kamienie powoli obsuwają się tworząc wały. Na szczyt Pikuja dążą nie tylko turyści, żądni pięknych i rozległych widoków i powietrza, co, wrywając się do płuc, syczy judząco i radośnie: „Wolność! Wolność! W zwaliskach grzebią chciwie i cierpliwie czegoś szukają górale spoza granicy. Znajdują tam piękne, jarzące się w słońcu kwarcowe kryształy „dragonidów“, którym nadano niegdyś nazwę „diamentów marmaroskich“, obecnie szlifowanych w warsztatach czeskich i przerabianych na tanie ozdoby.

Doliny górskie, którymi płyną wartkie rzeki, zdobył już człowiek, zorał i zasiał. Tam, gdzie znalazł moczary a nawet torfowiska, nie cofnął się i oszczył je, bądź to na łąki, bądź na rolę zmieniając. Nieustępliwi i mściwi są jednak rzeki górskie. Każdej

niemal wiosny i jesieni zmieniają one swój bieg, rozmywają dno dolin, zagarniają łąki i pola wraz z plonem i żywym dobytkiem i unoszą z radosnym, triumfującym pluskiem i sykiem. Po zboczach szerszych dolin szumią lasy, wąskie natomiast doliny mają boki nagie, gdyż deszcz i bijące w ich spychy wezbrane rzeki zdzierają wszelką roślinność i żyzne warstwy gleby rodnej. Nigdzie nie wyjrzy tu malownicza skała, gdyż podatne na wpływ zimna, wody i wichrów łupki i piaskowce karpackie szybko i łatwo się na piarg rozsypują. Tylko nad potokiem Urycz, wpadającym do Stryja, a potem w Rozhurczu i w lasach bolechowско-polanickich — w Bubniszczu występują dziwne i tajemniczo ukształtowane, owiane setkami legend i tysiącami domysłów twarde, lite skały, wyrastające ponad korony najwyższych drzew. Pomędzy górnym Sanem a Świcą i Mizuńką coraz obszerniejsze i bogatsze rozpierają się obszary leśne, za ledwie po zboczach gór nad dolinami i po brzegach spławnych rzek wytrzebione już znacznie i doszczętnie nawet wyrąbane. W puszczy bieszczadzkiej rosną świerki, jodły i buki, chociaż w dawnych czasach inaczej te lasy wyglądały. Dąb, grab, jawor, jesion i buk walczyły tam zaciekle z jodłą, świerkiem i prawie zaginionym już obecnie a wciąż poszukiwanym cisem. Dąbrowy — po dziś dzień uchowały się gdzie niedzie — jak np.



*Typy niewieście we wsi Hnyła*



pod Skolem i pod Bolechowem. Dęby i graby rosną jeszcze u podnóża gór; tam i ówdzie podnoszą potężne konary pojedyncze, rozrosłe bujnie jawory i jesiony. W lasach górnego pasa panują świerki, jodły i buki, chociaż nieraz się zdarza, że wszystko zagarnia buk, dochodzący aż na skraj połonin trawiastych, aczkolwiek karłowacieje na tej wysokości, cherleje i poziomiu 1000 m prawie nigdy



*Cerkiew św. Jura w Drohobyczu*

nie przekracza. W puszczech bieszczadzkich znaleźć można większe i mniejsze skupienia sosny — obcej zresztą tym górcom i sztucznie zapewne tu zaaklimatyzowanej.

Poloniny ciągną się ku wschodowi po grani głównego grzbietu i innych pasm, sięgających powyżej górnej granicy lasów, od Solinki, gdzie cieszą wzrok niebywale jaskrawą zielenią połoniny Wetlińska i Caryńska. Przypominają one raczej hale tatrzańskie, jak swym krajobrazem i florą, tak też i trybem życia pasterskiego, chociaż nie ujrzy tam turysta gąszczu kosodrzewiny, którą zastępuje tu trzymający się łożysk potoków bojkowski „lelycz”, czyli olsza zielona, nie wyższa ponad trzy metry. Wyrasta tam wierzba, wiciokrzew czarny, karłowaty jałowiec, bez koralowy, borówki czarne i czerwone. W zależności od składu i żyzności gleby różne trawy i zioła okrywają połoniny bieszczadzkie. Runi się tam tomka wonna, mietelnica biała, śmiałek, drzyczka, wyklina,

kostrzewa, kosmatka, krwawnik, złotokwiat, chaber, ciemierzycza, lub szarżyna, która na jałowych ziemiach wszystkie inne wypiera rośliny (Hołowkiewicz, Rehman). Na połoninach, gdzie trawa wybujała wysoko, pasą się woły, krowy i konie — gdzie zaś niższa urodziła się pasza — tam przelewają się, niby fale, kierdele owiec i kóz. Niczym nie regulowane, rabunkowe wypasy zdążyły już



*Cerkiew we wsi Hnyla*

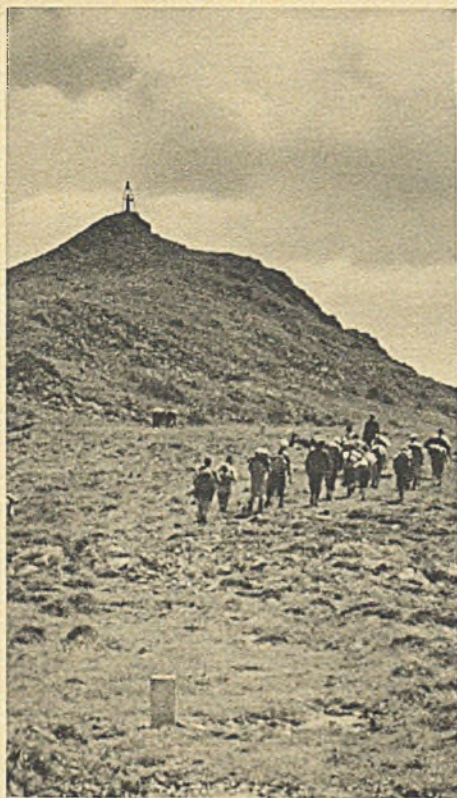
zmienić na niekorzyść pastuchów skład traw, niszcząc zupełnie niektóre najcenniejsze ich gatunki zielne. Dopiero w ostatnich czasach nadleśniczowie mają wgląd w tę dziedzinę gospodarki narodowej i w znacznym stopniu zdołali już podnieść pastewną wartość połonin w Bieszczadach. Że inaczej się przedstawiały dawne połoniny, o tym świadczą wymownie „carynki“ — nieduże łąki, starannie ogrodzone i przeznaczone na sianokosy, — prawdziwe kobierce barwne i kwieciste. Najlepsze rodzaje pastewnych roślin górskich znaleźć można na carynkach bojkowskich, a więc — prosienicznik, jastrzębiec, pompawę, starzec podalpejski, goryczkę, pięciornik, driakiew, złotokwiat, brodawnik, kozibród, dzwonki, jaskry, koniczynę i ostrożeń, przy czym w tym zielonym morzu występują już formy właściwe Karpatom Wschodnim — arnika górska, poszukiwana przez znachorów, wężymord różowy, goździk i fiołek; osobliwości i piękno w tym wszystkim wielorakie.

Jakże powstały te połoniny? Górale twierdzą, że są one dziełem rąk dawnych mieszkańców tych gór, którzy wypalali puszcze i bory, aby na „trzebinach“ rozparły się potem połoniny. Tak też myśleli niektórzy uczeni twierdząc, że prawdziwe połoniny mogą istnieć wyłącznie poza górną linią lasów, a więc powyżej 1400 metrów; tymczasem bieszczadzkie łąki leżą na wysokości nie przekraczającej 1000 m, wobec tego są one utworem sztucznym, przy udziale człowieka powstającym. Inni badacze skłonni są widzieć inne powody powstania połonin w Bieszczadach wiążąc je ze zjawiskiem cofania się i zaniku świerków w lasach tych gór, jak też i z tym, że całkiem odmienna flora carynek jest jednakże naturalną tu i odwieczną. Być może, wpłynęły na zanik świerków i zajęcia ich miejsca przez połoniny podmuchy suche, którymi dyszy bezdrzewna nizina panońska, albo dał się tu we znaki kontynentalny klimat wschodnio-południowej Europy.

Zamieszkująca Bieszczady ludność walczy o swój byt na roli i na połoninach. Przestrzeń gleb uprawnych jest tu nieznaczna i niewystarczająca dla ludności mnożącej się z roku na rok. Ziemia mało żyzna słabo zabezpiecza urodzaje — niepewne, bo zależne od zmiennego klimatu i od powodzi — tak częstych w okolicach górskich i tak bardzo niszczących. Nic więc dziwnego, że w tych okolicach znaczny, a nawet szczególny nacisk kładzie się na chów bydła rogatego i drobnego. W niektórych latach przychówek sta-



*Widok ze szczytu Pikuja ku wschodowi*



*Pikuj (1405 m) od zachodu*

przemówią do nas echem pradawnego życia pasterskiego z jego panteistycznym mistycyzmem i zabobonem poważni bacowie, watahowie i zuchwała, jurna banda juhasów. Nie rozedrga się tam drewniana trembita, nie rozlegnie się śpiew zbójnicki ani tupot nóg tańczących leginiów. Nawet psy pasterskie — czujne, złe i ponure innymi szczerkają tu głosy, w których nie ma ani poczucia wolności ani namiętnego pragnienia walki.

Samopas, bez planu i kierownictwa błakają się krowy po poloninach, pasą się konie, odpędzając komary i bąki, „rumygają“ leniwe woły z pręgami jarzm na karkach i przebiegają z miejsca na miejsce ruchliwe cztery zawsze głodnych owiec. Nikt tu nie

nowił najważniejsze źródło dochodu, to też znaczny odsetek ludności wiejskiej oddaje się niemal całkowicie pasterstwu. Wiosnę, całe lato i dwa miesiące jesienne spędzają tu ludzie miejscowi na nielicznych już poloninach, ochraniając żywy dobytek przed złym człowiekiem i zwierzem drapieżnym. W domu pozostają tylko krowy dojne, wszystko inne — jak konie, jałówki, woły, cielęta, owce i kozy — do późnej jesieni pozostaje na górskich pastwiskach. Nie masz już jednak na poloninach tradycyjnego bytu pasterskiego, jakie pociąga ku sobie starymi rycerskimi nieraz obyczajami — bujną barwnością i pierwotną prostotą życie na tatrzańskich halach, jak i na poloninach Czarnohory. Nie znajdziemy tu nigdzie kolib, szałasów pasterskich, ni koszar i „strunek“ dla owiec. Nie



*Cerkiew w Balnicy w Bieszczadach*

zwołuje ich na nocleg do zagrody; nikt cztery razy dziennie nie zapęda do „strunek“, by wydoić, a z mleka „bundz“ i tłustą bryndzę przyrządzić w kolibie pod okiem surowego wataha lub bacy. Nie widać tu gdzieś zaczajonych pastuchów. Trudno ich znaleźć nawet. Kryją się w zaroślach buczyny lub gąszczu olszowym, gdzie w samotności w niedbale skleconym z gałęzi barłogu pędzą leniwe, prawie bezmyślne życie, dziczeją do szaleństwa niemal, gdy to, powróciwszy ze stadem w doliny, z byle jakiej przyczyny nożem błyskają, zapijając się na śmierć i, oprócz słów sprośnych i przekleństw ohydnych, innej nie pamiętają mowy.

Nie umieją nawet ci pasterze dzicy, jak „czabany“ ukraińscy lub węgierscy zawodowi wolarze, — opowiedzieć składnie, co widziały ich oczy ponure tam na zielonych przestworzach połonin i na skraju puszczy górskiej. Nie umieją, czy nie chcą... A tymczasem widzą oni tam zjawiska niezwykle, porywające i groźne. Mogliby wszakże opowiedzieć, jak runął nad Mizuńką podmyty przez nią górski spych i jak spłynęła na dno doliny szeroka połać ziemi, unosząc las i szmat połoniny wraz z wołami i kozami, co po spychu goryczkę i ciemierzycę skubały? Czyżby zapomnieli o wicherze, która podruzgotała buki i świerki na zboczach góry i porwała cały kierdelek owiec czarnych? A czyż nie brzmi im jeszcze wycie burzy i jazgot piorunów bijących

w sąsiedni szczyt, gdzie na zgorzelisku sterczały suche, żalosne jodły o szarych, od dawna powiędłych łapach i igliwiu opadłym? Nic nie pamiętają! Ani o niedźwiedziu — starym kudłaczu, do którego w roku ubiegłym panowie ze Skolego trzy ponoć razy strzelali, a on, choć posoką broczył, uszedł wszakże i zabrnął aż tu, by bojkowskie porywać krowiny! Ani o stadzie jeleni, mknących przez połoninę na oślep, bo gonił je parskając głośno ryś! Ani o mruczeniu żbika, który w nocy skradł się i zdybał sarnę w haszczach olszowych! Ani o głuszczu, co na jałowcowce zlatywał jagody, aż go kuna zwęszyła i zadusiła! Ani o ludziach nieznananych, przekradających się z polskiej strony na drugą i o innych, co spoza tamtej znów rubieży tajemnie po perciach kroczyli trop w trop, niczym wilki! Czyż bojkowscy pasterze nie zadawali wtedy sobie pytania — co zacz za ludzie migają pomiędzy pionami drzew? Przemytnicy, zbójnicy, czy jacyś inni z prawem na bakier żyjący? Milczą Bojki-pasterze, ramionami wruszają i ponuro, bezmyślnie patrzą. Co im tam?! „Ber ho witer!“

Jeden z nich splunie pogardliwie, drugi — zaklnie ohydnie, ten — porechoce dziko, tamten czarne skrzywi wargi, jak zły, nieufny pies... Tak przerabia ludzi na swoją modłę samotne, dzikie życie.



*Droga podwiejska*

Nawet o niczym nie marzą ci pasterze beskidzkich połonin, chyba o „denaturce“ i zemście nad innym parobkiem, bo z wieczora pod oknami wypatrzonej w cerkwi dziewuchy chadzał jak wilk pod oborą... I tak przeminie w pijanej mgłę i w mroku zwady ponurej koniec jesieni i zima. Ledwie jednak pokraśnieją pędy wierzb i na zgrzewku pierwsza bzyknie mucha — pastuch zbierać się zacznie na połoniną „gibłu dolu“, na Tarnicę, Bukowe Berdo, Halicz, Wysoki Wierch, pod Pikuj i Starostynę, a myśli o tym bez żalu i smutku, bez marzeń i nadziei, podobnie jak jego kundel kudłaty — nieufny zawsze.

Teraz zmienia się do gruntu życie pasterskie i szybko w przeszłość odchodzi. Wpłynęły na to szkoły, zarządzenia władz i posuwanie się zagród bojkowskich w głąb gór, a nawet na ich wysokie zbocza. Połoniny zaczynają się nieraż tuż za zapłotkami ludzkich siedzib, gdzie nie ma już miejsca dla dzikich pastuchów zawodowych. Pasącej się chudoby pilnuje ktoś z rodziny gazdy, czasem nawet — dziewucha lub stary, półślepy dziad, dawnym zwyczajem pokrzykujący na woły „biś-biś“, na konie — „ter-ter“.



*Schronisko pod Pikujem*



*Żniwa na Bojkowszczyźnie*

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### BOJKI



*Bojko z okolic Baligrodu*

Wzdłuż rzek i potoków, w szerokich czy też wąskich dolinach rozsiadły się podłużno-uliczne wioski. Chaty i budynki gospodarcze tułają się do siebie pod jedną czterospadową, stromo wzniesioną strzechą dranicową lub słomianą; od łemkowskich chyż różnią się jeszcze tym, że ich mieszkańcy rzadko już i to przeważnie na zachodzie ożywiają szare, szerniałe bierwiona czerwoną lub żółtą farbą i ozdabiają białymi pasmami. Częściej się zdarza, że od ulicy oblepią gliną lub pobielą ściany wapnem, a to i wprost w naturalnym zo-





Bojki owocarze

stawią stanie. Wewnątrz chat leżących poza Sanem, prawie nic się nie zmieniło — te same piece ogromne, ciężkie i kurne lub z dymnikami. Tylko duże skrzynie z odsuwającym blatem nieraz zastępują tu niezgrabne stoły łemkowskie. Ale lud tu całkiem odmienny — roślejszy, smuklejszy i żywszy, o oczach jasnych i nosach okrągłych lub zlekka zadartych. I duszę ma inną! Zna ona żar namiętności, gniew nieokiełzany, pęd — do zemsty krwawej, a tak nieraz okrutnej, że mogą przerazić obcego człowieka, jakiegoś tam „lachotę” —

surdutowca, lecz nigdy mieszkańca dolin Sanu, Stryja i Świcy, bo ci tylko ramionami wrzuszają i mówią, że tak właśnie należało się rozprawić z wrogiem „szczoby hory znały, jakich mająt chłopciw!” Namiętne dusze tych ludzi nizinnych, leśnych i połoninnych wyrobiły w nich lekkomyślność, pociąg do wódki i lenistwo, co wykorzystali Żydzi zagarniając w swoje ręce całe niemal życie wiosek tej krainy.

Zaludniają ją Bojki, nielubiani przez zachodnich i wschodnich pobratymców — Łemków i Hucułów, gdyż na pewno dali się im oni niegdyś we znaki. Jest to, zdaje się, najstarszy szczep tubylczy na tych ziemiach, zapewne potomkowie ludności Rusi Czerwonej, najslabiej bodaj pomieszanej z przewalającymi się wzdłuż Karpat hordami przybyszów. W każdym razie nie posiadają Bojki znacznego odsetka krwi wołoskiej i madziarskiej i mało prawdopodobnym wydaje się przypuszczenie niektórych bojkowych „patriotów” co do celtyckiego pochodzenia tego szczepu. Najniesłuszniej w świecie powołują się oni na rozprawę Mario de Mandato o ... Hucułach, o których mówi włoski autor, że są „isola scelta in mare slavo, isola etnica, fissata nella regione dei Carpazi centrali per un semplice fenomeno migratorio: il ristagno”. Do żył Bojków mogła dopłynąć krew polska i tatarska, bo tak się złożyły dzieje od zarania ich bytu — i to zapewne stanowi jedyną domieszkę innego szczepu i obcej rasy.

Być może, głębiej sięgające badania dowiodą, że szczep ten zmuszony był cofnąć się nieco ku północy i ku wschodowi ustępując miejsca innym szczepom i ludom, wypieranym przez wojowniczych włóczędów i koczowników — Połowców, Pieczyngów, Awarów

i Tatarów, lecz na ogół nic ich z dawnych siedzib nie zruszyło. Gorące przywiązanie do swoich gór, lasów i dolin zdradzają Bojki do dnia dzisiejszego, co potwierdza się choćby tym faktem, że rzadko i niechętnie udają się oni na emigrację, czego nie można powiedzieć o ich sąsiadach Łemkach. Różnią się Bojki od nich swym charakterem — beztroskim, wesołym, żądnym hucznej zabawy, śpiewu, tańca i „zielonego wina“ — okowity najmocniejszej. Inaczej też ubierają się ludzie za Sanem. Nie znają tu łemkowskich „czuch“, a nawet sirak, ten pospolity „płaszcz“ góralski jest znacznie dłuższy, posiada kłapy i kołnierz oraz wszyte klinami po bokach wielkie fałdy z kieszeniami i barwnymi ozdobami. Pod sirak wkłada się tu krótki do bioder kurtak z sukna, pod nim zaś lejbyk bez rękawów. I koszule noszą tu inne — na kołnierzu, po skraju pazuchy i na mankietach zdobione haftem z różnokolorowych nici bawełnianych. A już co do gazdyń i dziewuch, to ślepy nawet spostrzeże rzucające



Wielkanocna zabawa „hailka“ pod cerkwią

się w oczy różnice! Tak, innej tu hołdują modzie! Mężatki i dziewczęta noszą białe, płócienne spódnice w drobne fałdki w pasie, a każda z nich — w barwnych wzorach, haftowanych misternie. Takie hafty mają Bojkinie na ramionach i na mankietach białych również koszul. Mężatki noszą kolorowe chustki, niby czepiec okrywające całą głowę, narzucając na to cienką, białą chustkę, zawiązaną pod brodą. Dziewuchy zaplatają włosy w dwa warkocze, zdobią je jaskrawymi włóczkami z frędzlami i uwiązują do pasa barwną „poprużką”. Nie lubią Bojkinie pstrokacizny, niekształtnych od tyłu „facelyków”, „farbanek” i krótkich „huń”, noszonych przez



*Chata w Bieszczadach Zachodnich*

kobiety łemkowskie, określając ich stroje, jako „brydź”. „Zadilanki ubyrajúť sia szczo cyhanky” — mówią o sąsiadkach spoza Sanu elegantki bojkowskie. Co prawda to i łemkowskie gazdynie, patrząc na białoubrane Bojkinie, chichoczą zjadliwie i szydzą z tych nieznanających się na wytwornych strojach „jachwaczek” i „luchanek”. Męski strój letni, — długie, białe, płócienne koszule, wypuszczone na białe też spodnie i przepasane szerokim lub wąskim rzemieniem, przypomina odzież, noszoną przez ludność dawnego wielkiego księstwa kijowskiego za czasów Włodzimierza Monomacha, jak to znaj-

dujemy w opisach carogrodzkich uczonych mnichów i — kupców greckich. Takie też stroje opisali podróżnicy, co bywali w grodach czerwieńskich — a to wskazuje na to — iż Bojki są zapewne najstarszymi autochtonami ziem, leżących na wschód od Sanu. Zresztą



*Chata bojkowa w Siankach (pow. Turka)...*

przemawiają za tym wykopaliska w licznych horodyszczach i w dawnych osadach, których właściciele — jak na przykład taki Jur ze Stupnicy w r. 1392, bywali gośćmi Jagiełły w Samborze. Znalaziona została na Bojkowszczyźnie jedna z najstarszych podobno ceramik słowiańskich, gdyż, jak istnieje dość prawdopodobny domysł, w Monastyrze i Stupnicy rozwijał się handlowy przemysł garncarski, eksportujący tak zwane „korczagi“ a stosujący już ornament spiralny, poziomy i zygzakowaty. Na wyrobach staro-stupnickich wykryto też znaki swastyki. Wykopaliska dały szereg przedmiotów rzadko

spotykanych, jak na przykład pieczętka cesarza carogrodzkiego Konstantyna VIII-go z w. XI-go, co dowodzi normalnie tu płynącego życia państwowego, gdy istniał już cały szereg prastarych osiedli, jak Strzelbice, Kobło, Mszaniec, Turze, Sozań, Busowisko



*...i we wsi Wołosate (pow. Lesko)*

i wiele innych, zamieszkałych przez przodków naszych Bojków, podtrzymujących jakieś stosunki z Bizancjum. Wykopaliska ceramiki wczesnohistorycznej i średniowiecznej ustalają ciągłość ulubionych w tym kraju form naczyń, a więc bojkowskich „kurszilów“, „pampusznic“, dwojaków, dzbanów, „makortetów“ i „lochani“, czyli dużych kubków, polewą okrytych i nawet niezawilym wzorem.

Na pradawnych więc leżach pozostają Bojki i zapewne w wielu wypadkach dawne prowadzą życie wykorzystując naturalne dary



*Zima na Bojkowszczyźnie dla mieszkańca wsi twarda,...*

ziemi. Wielkie tu znaczenie ma grzybobranie, dla którego powinno się mieć tradycyjną, jak gdyby zaczarowaną laskę, a przy pierwszym grzmocie skuteczne na obfitość zbiorów zaklęcie: „Kocuzia koczu, po lisi chodzu, hribi znachodzu!“ Wtedy „hribari“ i „hribarki“ będą znosić do domu pełne kosze „bilaków, pidpeńków, hłubinków, czorniaków i peczeryc“, gdy to chłopcy podśpiewują: „Oj chto lubyt hribi, a chto peczeryci, a chto lubyt stari baby a ja — mołodyci!“ Niezliczoną ilość różnych gatunków grzybów znają Bojki, jedzą je lub

jak „morimucha“ — muchomora używają do trucia much a hubkę — do krzesiwa. Zbierają też „sunici“, maliny, czernice, jeżyny, „witri“ — dziki agrest, porzeczki, poziomki i inne jagody, jak też orzechy, żołędzie, jałowiec, „swerbiwus“ czyli owoc dzikiej róży, łobodę, szczaw, kmin, chrzan, a wszystko to pochłania spiżarnia gazdini. Bojki na większych rzekach łowią ryby siecią, korytem, „ryszitom“, „czerpakom“ i na wędkę — robią to jednak w wolnych chwilach i nie ma tam nigdzie takich szkodliwych rybaków klusowników, jak w Tatrach i na Huculszczyźnie. Łowiectwo — porywające, męskie rzemiosło pociąga istotnie i Bojków-górali, lecz ktoś tam się dowie, jakich oni mają się sposobów, by zdobyć jeleń, sarnę i dzika a tak, żeby gajowy i policja nie posłyszeli strzału i nie wytropili śladów kluczącego po lasach klusownika? Tajemnicą przeto okryte są przygody bojkowskich nemrodów. Przyznają się tylko, że „diki ptachi ta mali zwirata łowlać łapkami“. A tych „łapek“ mają sporo — zwykle, nienawistne dla sportowca sidła, wnyki, pętłe i pułapki z ciężarem — na kuny i tchórze.

Bojko wszystko potrafi zrobić, co potrzebne mu jest w gospodarstwie. Zna się na wszelkich rzemiosłach, chociaż z biegiem czasu życie wytworzyło kadry specjalistów, wyrabiających nieskomplikowane narzędzia rolnicze, przedmioty bednarskie, koszykarskie, naczynia drewniane, „kapeluchy“ a nawet — i przyrzędy tkackie — tak niezbędne w życiu zapracowanej gospodini. Do głowy jej nie przyjdzie zaśpiewać, jak to często czyni gazda: „Nykołaju, ja wmyraju, biży po horiłku, ta ne bery mału fłaszku, woźmy sy baryłku!“ Uwija się dzień cały od świtu po domu, przy piecu, przy chudobie i przy dzieciach, których pełno wszędzie, boć to „błogosławieństwo Boże“. Gdy zaś noc zapadnie i wszyscy usną — ona — skrzętna, gospodarna i pracowita — zrzuciwszy chodaki i chustki, usiądzie przy wrzecie lub krosnach i znowu pracuje. Przecież ktoś odzieje rodzinę, jeżeli nie wytkna ona długich pasm płótna i grubego samodziału wełnianego na siraki i kurtaki? Ciężkie, jednostajnie ciężkie jest życie gazdini, a tak nużące, że nawet na śpiew nie znajduje ona sił i czasu. Jednak dusza ludzka szuka dla siebie wytchnienia i chwil wzniosłych. Dusza Bojkini znajduje to wszystko w sztuce... w sztuce haftowania bogatej we wzory i barwy — i kto wie czy w doborze ich nie odzwierciadla się dusza gazdini, jej zawiedzione nadzieje i marzenia? W każdej dzielnicy Bojkowszczyzny inne są wzory, a przede wszystkim różne barwy, zapewne odpowiadające kolorystowi krajobrazu. Na wschodzie bardziej liliowe tony, bo

i bardziej wysokie tam góry mają o zmierzchu ten właśnie odcień łagodny i kojący. We wsiach, ukrytych w rozłogach Bieszczadów, gdzie po ich zboczach i połoninach, na zielonych kobiercach łąkowych jarzą się czerwone, różowe, niebieskie i żółte kwiaty, gazdynie odtwarzają całą paletę swej okolicy dodając umiejętnie i dyskretnie barwy czarnej — mrok głębin leśnej i granatowej — koloru toni głębokich „burkał“ rzecznych i otchłani nieba, gdy słońce uśnie już za wirchami. A jednak inne też mogą być wewnętrzne pobudki stosowania tych lub innych barw. Bojkowszczyzna — to biedny kraj. Ludność jego pracując ciężko mały ma dostatek, żywi się wyłącznie ziemniakami i owsianymi plackami. Lata klęsk, tchnienie otaczającej natury, warunki bytowania w ciemnej, kurnej chacie, nieprzerwana praca, stosunek męża do żony, szczęście czy zawód miłosny dziewczyny, jasna czy czarna dola kobiety, gdy pędzi życie przy boku kochanego człowieka, czy też przeklina i dręczy się przy starym, brutalnym i zazdrosnym gaździe lub pod surowym okiem złośliwej świekry — wszystko wyrazić potrafi Bojkini w misternym, barwnym rysunku haftu. Wesoła, szczęśliwa i roześmiana, pełna słonecznych promieni rzuci na płótno koszuli lub spódnicy całą gamę jasných nici; udręczona i znękana, przepojona goryczą łez do mistrzowskiego haftu coraz to dodaje smutnych, ciemnych barw aż na białym tle zapanuje niepodzielnie czarna — symbol śmierci. Tak to wkładają kobiety bojkowskie w piękne robótki swoją duszę, przeżycia i dolę. Twierdzi tak Olga Laszecka w swym studium „Deszczo pro bojkiwski wysziwki“, wskazując, że hafciarki bojkowskie za podstawę ornamentu biorą figury geometryczne, faliste linie, świat ptaków, owadów, zwierząt a nawet ludzi. Wyczuwa się w rysunku haftów układ i forma gór Bojkowszczyzny, w nowych zaś kombinacjach planowych — motywy roślinne, stylizowane kwiaty i owoce, w czym znowuż prof. Pawłucki widzi wpływ zetknięcia się wschodniej kultury z zachodnią. Ten wpływ można byłoby dostrzec również w tym, że w przeciwieństwie do haftów huculskich, zaszytych gęstym ścięgiem lub krzyżykami, bojkowskie kobiety zawsze pozostawiają jasne tło, uwypuklające motyw rysunkowy.

Gazdynie i dziewczuchy bojkowskie swymi spracowanymi dłońmi malują też pisanki wielkanocne, dając im w zależności od barwy i ilości farb różne nazwy „kraszanki, śliwy, śliwki, galki, hawki i riżbienki“, zdobiąc je różnymi rysunkami — geometrycznymi rozetami, gwiazdami, motywami roślinnymi, zwierzęcymi i religijno-

bytowymi. Nie odznaczają się one mistrzostwem i wytwornością kompozycji, jak wyroby tego rodzaju na Huculszczyźnie, jednak w każdym razie umieścić je należy w szeregu najlepszych wytworów artyzmu ludowego. W niektórych wsiach bojkowskich zdobyły sobie rozgłos szczególnie uzdolnione „pisanczarki“, w pierwszym rzędzie te, które nie zapomniały jeszcze opowieści o pisanekach, o ich czarownym wpływie na losy ludzi i o tym, kiedy należy spożyć święcone jajko wraz ze skorupą, „szczyby złyj duch



*...narciarzowi przybyłemu z miasta jest źródłem rozkoszy*

ne maw przystupu“, gdzie i jak podrzucić pisanekę pod próg chaty, młodyci, aby połów miała lekki, kiedy zakopać malowane jajko w oborniku, co znów powoduje dobry urodzaj.

Ona — ta gazdyni pracowita, ta hafciarka i „pisanczarka“, umiejąca w rysunek i barwy wczarowywać radości i bóle, piękno i grozę, ona też przechowuje coraz szybciej odchodzące w przeszłość tradycyjne obyczaje i co najważniejsza — resztki kultury dalekich przodków słowiańskich. Zrozumiała to jest! Kobieta po-



została w granicach życia domowego — w ojcowskiej, czy mężowskiej zagrodzie, pod bezpośrednim, niczym nieosłabionym wpływem otaczającej natury i niewidzialnych fluidów, sączących się z czarnych od dymu pował i ścian chaty, z jej ciemnych, tajemniczych zakątków, gdzie przed wiekami siedząc sobie obrały złe i dobre duchy, nieśmiertelne w panteistycznym światopoglądzie córki i żony pasterza i oracza. Biesy domowe, stajenne i oborowce, mawki, łaskotki, wodnice, wiedźmy, rahmany, karły — toż to cały świat straszny, tajemny a tak bliski — że wszystkie te „perclesnyki“, „obojasnyki“, dżumy, czarownicy i czarownice ocierają się niemal codziennie o wylękłą podświadomość gazdynie, jak ociera się o nią wiatr połoninny i struga potoku. W matecznikach leśnych, w toni rzek, na moczarach, w falach, co biegną po łące — wszędzie czarowne swoje pędzą życie duchy. Jedne z nich czyhają na ludzi, ich dusze i mienie, inne chronią Bojków od złych mocy,



*Bojko spod Sianek,...*



*...i z Wetliny (pow. leski)*

nad którymi władzę dzierży wielki, bezimienny, „bezpjatyk“ — diabeł. Żyjąc w świecie czarów i groźnych sił stał się Bojko nieufnym i podejrzliwym, ale rok po roku, ucząc się w szkołach, służąc w wojsku, pracując w kopalniach nafty, w fabrykach borysławskich, drohobyckich i bitkowskich, w uzdrowiskach podkarpackich, nie wyzbywszy się wrodzonej podejrzliwości, zobojętniał, a nawet zwątpił w istnienie czarów, lecz jego żona z otoczenia duchów nie mogła się wyrwać i pod brzemieniem zabobonów dawne pędzi życie. Ciemne jest ono, smutne i trwożne, co z takim tragizmem wyraża zwrotka jednej z pieśni ludowych:

Traczu lita w lutom hori  
I kińcia ne baczu;

Bojkowszczyzna — to kraj pobożnego ludu. Cerkwie, klaszatory dawne, opuszczone już ale istniejące po dziś dzień, kapliczki i krzyże przydrożne widnieją wszędzie.

Wyczuwa się w tym ręka kierownicza i myśl, oparta na rzeczywistości, że cerkiew jest siłą utrzymującą ludzi w świadomości narodowej, broniącą mowy ludu, jego odrębności i ideologii politycznej. Cerkiewki bojkowskie — przeważnie drewniane, chociaż niemało się już znajdzie i murowanych — zawsze są zbudowane w miejscu odsłoniętym, widocznym ze wszystkich stron i malowniczym. Pomiedzy zielonym gąszczem otaczających je drzew pięknie wyglądają okrągłe barokowe ich kopułki, dachy o kilku kondygnacjach, często kroc o artystycznie pomyślnych liniach. Jakiż jest styl tych cerkiewek? Trudno to określić, gdyż bogata jest różnorodność planu i bryły bojkowskiego budownictwa sakralnego, o ile istotnie chodzi o cerkwie stare, gdyż nowe są

Tylko myni łeksze stane  
Jak troszki poplaczu...



*Bojko w kożuchu*

już bardziej jednostajne i konwencjonalne. W każdym razie, porównując cerkiewne budownictwo na Bojkowszczyźnie z tym, co w tej dziedzinie istnieje w Bułgarii, Serbii, Grecji i Rosji, można znaleźć analogię. Tak jak i wszędzie budownictwo sakralne przechodziło tu różne etapy stylu, nie zawsze jednak pod wpływem architektów kościoła wschodniego. Architektoniczne wzory Zachodu wycisnęły swoje ślady i spowodowały naśladownictwo, jeżeli nie w całości, to w ważnych szczegółach, od czego nie mogło się uchronić nawet ortodoksyjne prawosławie moskiewskie — stwierdzają to np.



*Na poloninie trombita*

sobór św. Bazylego w Moskwie, św. Izaaka i Kazański w Petersburgu. Czy rozwiązanie tego zagadnienia nie leży w wyjaśnieniu, kiedy i przez kogo ta lub inna stara cerkiew została ufundowana i kto brał udział w jej budowie? W każdym jednak razie niewymownie miłe są te domy Boże! Do ich nawy poprzez małe okienka o szybkach, od starości tęczowym pokrytych nalotem, wpada snop promieni słonecznych. Barokowe „carskie wrota“ migocą iskrami, które zapalają się na złoceniach; z mroku, przepojonego zapachem wosku i kadzidła, wyzieraają ciemne, surowe oblicza świętych i męczenników. Bezszelestnie krząta się staruszek kościelny, coś poprawiając i sprzątając; przed niektórymi ikonami, wykonanymi niewprawnym pędzlem, pełgają malutkie płomyczki w mosiężnych lub srebrnych kadzielnicach... Rozlega się cichy szept modlitwy i westchnienia głębokie. Promienie krzyżują się i zmieniają swój kierunek, odsłaniają coraz to nowe zakątki cerkiewki, nowe oblicza i sztywne, jak gdyby nieustępliwe postacie świętych na obrazach i lapidarnych freskach, suną, niby ostrza projektorów i każdą ścigają tajemnicę. I tylko za pozłotą zawartych wrót ołtarza panuje mrok i cisza...

Pobożny tu przychodzi lud, słuca, co mówi do niego paroch-inteligent, wchłania każde jego słowo, czasami płacze nawet w dni szczególnie rzewne. Na przykład — „Rizdwo“ — Boże Narodzenie — jedno z największych świąt i najważniejszych, bo od obchodu wigilii i pierwszego dnia wiele zależeć będzie w życiu gazdów. W dzień wigilijny cała rodzina wstaje jak najwcześniej, by tak się ustaliło na cały rok; zaczynają się przygotowania do „weczeri — uczty wigilijnej. Gazdynie wypiekają cztery „pałanycie“ i „krczun“ — bochen żytni, zawierający w sobie cząstki wszystkich dań i ozdobiony ząbkami czosnku. Dwanaście potraw musi przygotować gazdynia: kapustę kiszoną z olejem, kartofle — „baraboli“, barszcz, pierogi, „hołbci“ nadziewane tłuczonymi ziemniakami, pasternak, grzyby, boby, „kutję“, „pałaniczki“, „osałedci“ i kisiel owsiany, a co naj-

gęstszy, bo inaczej mleko przez cały rok nie będzie tłuste. Kiedy wszystko już nagotowała i napiekła gospodyni, zaczyna swe czynności gazda. Bierze on cztery „pałanyce“, rusza do stodoły po „dida“, czyli po snop owsa. Położywszy snop na ziemi, a na nim — pieczywo, przyklęka i dziękuje Bogu, że on i jego „czeladź“ doczekali się wesołej i szczęśliwej chwili. Po skończonej modlitwie wchodzi do obory i stajni i daje chudobie po kawałku „pałanyci“. Ledwie przestąpi gazda próg sieni niosąc pozostałe pieczywo i „dida“ — w chacie gaszą światło, on zaś życzy wszystkim szczęścia, wesołych i radosnych świąt, a jeszcze pomyślniejszych — w roku następnym.

— Co przyniosłeś? — pyta go gazdynia.

— Złoto! — brzmi odpowiedź pana domu.

— Czym je ważysz?

— Wołami! — odzywa się potomek pasterzy.

Taki dialog powtarza się trzykrotnie, po czym dopiero w chacie zapalają lampę, świecę lub łuczywo. Pod serwetą gazda rozkłada słomę, a w środku stołu stawia zapaloną świeczkę. Jest to ważna chwila, bo któryś z rodziny przynosi wiechcie słomy i rzuca do kąta. Jedna z dziewczuch siada na niej i naśladując ruchy kury poczyną kwokać. Bez tego przedstawienia obejść się nie można, ponieważ przestałyby się nieść kury. Nie wolno też zaniedbać innego zwyczaju, gdy to wszyscy obecni w chacie biorą zaostrzone patyki i szperają po kątach i pod ławą, wyczyniając dziwne ruchy, strojąc zdumione miny, mrużąc talizmaniczną formułę: „Ja hliw a tam hryb, ja pry-klak a tam piat’, ja siw a tam sim, ja lih a tam pownyj mich!“



*Zaprząg bojkowski*



Strój kobiet . . .

zglodzeni ludziska, a o wszystkim pustę, gazdynia wybiega na dwór i pyta się, czy smakuje kapusta. „Nie!” — odpowiada jej całe towarzystwo. „Kwaśna jest twoja kapusta”. Gazdynia cieszy się i mówi: „Oby tak liszkom kapuścianym była ona niedobra!” Istnieje ceremonial przy podawaniu ziemniaków, bobów, kutii i kisielu. Po wieczery przychodzi pastuch i wszystkie łyżki związuje słomą, co jest najlepszym zabiegiem, by bydło z pastwiska nie odchodziło daleko, łyżki potem wtykają w snop, żeby czeladzi krzyże nie bolały. Cała rodzina wciąż nasłuchuje, czy często szczekają psy. Jeżeli gęsto „bresze”, wtedy karnawał będzie wesoly i huczny. Światła tej nocy

Teraz to już wszyscy są pewni, że grzybów urodzi się wielka moc! Gazda kładzie pod stół odłamek lemiesza, siekiereę i piłę i, rozrzucając słomę po izbie, łańcuchem związuje dwie nogi u stołu. Co to znaczy? Żelazo! Wielki, odwieczny, potężny talizman na wszelkie moce zła! Wreszcie wszyscy klękają, modlą się i siadają do wieczery, podzieliwszy się przedtem prośforą — praśnikiem cerkiewnym. Podczas jedzenia ten i ów z rodziny podchodzi do pieca, rzuca na węgle kadzidło cerkiewne i dmucha, by zabezpieczyć się przed bólem zębów i pękaniem warg na mroźnym wietrze. Bulgocze gorzałka, nalewana do kubków lub szklanek, głośno cmokają i sapią ciągle pamiętają. Gdy się je ka-



...bojkowskich

nie gaszą, by nieboszczykom widno było na tamtym świecie. Po wieczery młodzież śpiewa kolędy: „W nydilu rano sonejko schodyt, świata Preczysta po raju chodyt, swoho synojka za ruczeńku wodyt“. Nazajutrz rodzina gazdowska wstaje przed świtem, co zapewne pozostało od niedawnych czasów, gdy wieczera przeciągała się do rana. Rodzina myje sobie ręce i twarz wodą, do której „na szczęście“ wrzucają pieniądze. Gazda trzyma już w ręku „krczun“ i idzie z nim do studni, gdzie kropi bochen zimną wodą i wraca do izby. Na odezwanie się gospodarza — „Chrystos rodytsia“ — odpowiadają chórem: „Chwała Mu!“ a „krczun“, ciśnięty ręką gazdy, toczy się od proggu do stołu; wszystkie



*Sąsiedzka pogawranka*



*Z prosięciem na targ*

oczyszczone śledzą, jak upadnie bochen i z tego wróżą o urodzajach. Gazdynia obwiązuje chleb pasami przędzy lnianej, kładzie pod snop, który leży pod serwetą i wpuściwszy owcę do chaty karmi ją z ręki i wprowadza. Po śniadaniu rodzina idzie do cerkwi, po obiedzie zaś młodzież odwiedza sąsiadów śpiewając kolędy. Tego dnia gospodarze nie powinni spać. Byłoby to niebezpieczne, gdyż len na pewno zgniłby na korzeniu. Zimowe święta następują jedno po drugim. Na Nowy Rok dopiero można spożyć „krczun“, już dobrze suchy, jednak przed tym należy wyciąć jego środek i dać bydłu, co najskuteczniej ochroni je od chorób. W tym dniu wróżą po chatach. Straszne



*Śląsko posiada znakomite tereny narciarskie*

to i ponure wróżby! Gazda kładzie na piec tyle rozżarzonych węgielków, ile ma osób w rodzinie i sztuk bydła. Węgale tlą się, okrywają popiołem i gasną. Człowiek lub zwierzę, którego węgiel nie powłókł się puszystą warstwą popiołu — w bieżącym roku umrze niezawodnie. Pomiędzy Nowym Rokiem a świętem Jordanu (Trzech Króli) żadna kobieta nie wyniesie z komory kądzieli, w przeciwnym bowiem razie spostrzegłby ją bies leśny i na pole z Inem rzuciłby „smericzku“ — szkodliwy chwast. Nie wolno też nakręcać nici na motowidło, jeżeli się nie chce, by jastrząb porywał kurczęta. W wigilię Trzech Króli dzieci muszą sypać do leżącej na ziemi obręczy od beczki owies a koniecznie przez lewe ramię, gdyż wtedy przez cały rok kury znosić będą całe kupy jajek. Po południu zaczynają działać chłopaki i dziewczęta. Kreślą oni nad wszystkimi drzwiami krzyżyki kredą lub ciastem. Wieczorem odbywa się uczta podobna do wigilijnej i powtarza się z małymi zmianami ten sam rytuał. Tylko po wieszce Bojki raz po raz wyglądają w okno, by ujrzeć otwarte niebo i wyprosić u Boga wszystkiego, czego pragną. Nazajutrz przynoszą poświęconą z przerebli wodę i przechowują ją za świętymi obrazami. Jeżeli ktokolwiek zachoruje, gazdynia poda mu do wypicia trochę tej wody, do której przedtem wrzuci okruszynkę ciasta lub kredy z krzyżyka nad drzwiami. Bojki twierdzą zgodnie, że to zawsze pomaga cierpiącemu na bóle w żołądku i na kaszel. (M. Turiańska).

Na Wielkanoc — nowe kłopoty, nowe wróżby i obyczaje prastare, pogańskie jeszcze zapewne. Przy pieczeniu „paski“ — tego tradycyjnego pieczywa świątecznego, należy każdego członka rodziny dotknąć łopatą, na której wsadza się bochen do pieca. Od tego ludzie tyją i nabierają zdrowia. Skorupa jajek święconych, rzucona na zagon, gdzie ma być sadzona kapusta, nadaje jej biały kolor i chroni przed robactwem. Mądrość ludu, odwieczne doświadczenie, tradycja! Żywe są one od pierwszego krzyku niemowlęcia, gdy dokoła gromadzą się, by czyhać na nie przez całe życie, moce złe i podstępne i — do ostatniej chwili, kiedy leżącego w trumnie starca na saniach przywłoką na miejsce ostatniego spoczynku. W każdej chwili życia, w dzień i w nocy, w doli i niedoli bronić się przed złymi siłami musiał Bojko starodawny: wybierać szczęśliwe miejsca na postawienie chaty, pamiętać o obronie rodziny, chudoby i o nieboszczykach, a każdy akt życiowy oddawać pod opiekę Bogu i „Preczystej“, nie zapominając jednak o przykazaniach dziadów i pradiadów, których młodzież bojkowska nazywa już



pogardliwie „ciemnymi wróżbiarzami“ Porzucają już teraz Bojki wszystkie dawne obyczaje, tak długo i zazdrośnie przestrzegane, i tylko dwa z nich w pierwotnej niemal formie przetrwały wszystko — i nauki parochów, i szyderstwo mieszczuchów, i wpływy wojska, szkoły i fabryki. Są to obyczaje weselne i pogrzebowe. Może być, że stało się to dlatego, że obchodzą one wielką ilość ludzi, że wchodzi tu w grę ambicja i honor domu. Dlatego to ubiegają się młodzi o najbardziej szanowanego we wsi „starostę“ weselnego i jak najwspanialszy orszak swatów, swach, družbów i družek, najliczniejszą kapelę, co grałaby ochoczo; baczą, by „sprosiny“ wypadły jak najpocześniej, korowaje czyli kołacze były ogromne, białe, ozdobne — takie, do których to stosuje się piosenka obrzędowa: „Świty mysiacu z raju naszemu korowaju, aby buw korowaj krasnyj, a jak sonenko jasnyj!“ Po dawnemu płacze gorzko i nieutulnie panna młoda, dając tym do zrozumienia, że dobrze i szczęśliwie płynęło jej życie w dostatnim domu ojcowskim i że tego też spodziewa się w nowej, mężowskiej chacie, na co młody odpowiada wspaniałymi darami, wykupnem i obfitym przyjęciem we własnej lub rodzicielskiej „chży“, gdzie przy dzieleniu kołacza w oczach młoduchy jeszcze bardziej podniosą zamożność i szczodrość oblubieńca družbowie, śpiewając:

Aj, znajuż ja, znaju,  
 Szczo w tym korowaju,  
 Pszenyczeńka z pid haju,  
 Wodyczeńka z Dunaju,  
 Jajcia z pid Kamincia,  
 A sokia z Krakowcia,  
 Szafran, perec z Gdańska,  
 Wsia pryprawa pańska,  
 A swaszeńki tutejszi —  
 Ale obi  
 Mołodi!

Niby cienie zmierzchu wypełzną skądś wszelkie zapomniane, zda się, zabobony, wróżby, zaklęcia i odczyny, o których nigdy się nie mówi; wszystkie będą wykonane, bo nie należy niczego pominąć, gdy one stanowią o doli lub niedoli całego życia młodego stadła. Odwieczne wahanie duszy pomiędzy nowym a starym bogiem! Nowy — w cerkwi, w krzyżach, stojących przy drogach, w naukach parocha, stary — to nieogarnięta świadomością i zmysłami prasiłowiańska kosmogonia. Ona to z równą siłą i brutal-

mością przemawia w obrzędach pogrzebowych, zaczynając od karawanu na saniach, który jest wspomnieniem dawnego życia pasterckiego, gdy zwłoki nieboszczyka na płozach spuszczano ze spychów do dolin, skąd dusza zmarłego nie znajdzie drogi do watry płonącej przed szałasem na połoninie. Wnet po śmierci Bojka — niezeszywniałego jeszcze nieboszczyka — sadzają na zydlu, poczem rodzina obmywa go wodą z rzeki, ubiera go „na czornu hodynu“ i składa na ławie z warstwą błotnej trawy — „młaczyny“ i kawałkiem drewna zamiast poduszki. Leży nieboszczyk w długiej koszuli, poszytej na szwach czarną włóczką, w płóciennych portkach, ściągniętych rzemieniem, i w barankowej „kuczmie“ na głowie. Kobietom wkładają czepki i duże białe chusty. Na nogi wciągają zmarłym nowe chodaki i wreszcie przykrywają zgrzebną płachtą. Od tej chwili nie wolno zamiatać izby i chodzić w czapkach lub chustkach. Niebawem „oddzwonią“ w cerkwi nieboszczyka, przyniosą krzyż, latarnię kościelną i świece. Gdy dzwonią w cerkwi z powodu czyjegós zgonu, nikt się nie żegna, bo przy tak nieogłędnym postępku mogłaby uschnąć ręka. W głowach nieboszczyka zapalają świece, na ławie stawiają misę z wodą święconą na Jordanie, by dusza mogła się wykąpać zanim zjawi się na sąd Boży. Przy zmarłym położą krewniacy bochenek chleba, przewiązany na krzyż pasmami przędzy. Wszyscy klęcząc modlą się za duszę ojca lub męża — lecz nikt nie czyni znaku krzyża świętego — a w chwilę potem rozlegnie się zawodzenie kobiet: „O-jo-joj, poszczoty mene na tym świti zistawyw!“ Będzie się to powtarzało po półgodziny trzy razy dziennie, a tak, żeby cała wieś słyszała, że „swoi“ szczerze oplakują tego lub tę, co już odeszli na zawsze. Znają też te płaczki sposób na łzy — jest to tarta cebula. Szczególnie niezbędną staje się ona, gdy zawodzenie poleca się najemnym, płatnym płaczkom, które zresztą należy nie skąpiąc poczęstować gorzałką, by jak najżałośliwiej „jojkały“. Na zawodzenie zwracają baczna uwagę rodzina i sąsiedzi. Obecni osądzają, dobrze czy niedostatecznie uczczony został nieboszczyk. Tymczasem zaczynają przybywać powiadomieni o śmierci krewniacy i znajomi. Wchodząc do izby nie witają gospodarzy. Na klęczkach modlą się koło zmarłego, lecz nie żegną się w obawie o swoje ręce. W nocy najbliżsi przyjaciele i przyjaciółki strzegą nieboszczyka, opowiadają sobie o różnych czarach i strachach lub dzielą się nowinami, piją wódkę i jedzą. Nieraz rozpoczyna się zabawa, „w łopatki“, kiedy to jeden z obecnych kładzie głowę pomiędzy ręce nieboszczyka

i pochyla; się uczestnicy zaś tej makabrycznej zabawy biją go łopatką. Uderzony powinien zgadnąć, kto go, uderzył i tak się nieraz zdarza, że, długo nie trafiając na zadającego cios, zostaje mocno poturbowany. Nazajutrz ciało zmarłego gazdy składają do trumny i przy zawoźdzeniu kobiet żegnają go, całując po rękach. Gdy paroch wyprowadza kondukt z izby, niosący trumnę krewni uderzają nią o próg, żeby nieboszczyk nie widział z tamtego świata, co dzieć się będzie w porzuconej przez niego siedzibie ziemskiej. Przed drzwiami paroch wygłasza na podwórzu „dziękę“ o życiu, cnotach i zasługach zmarłego gazdy lub gazdyni, gdy tymczasem ktoś z rodziny wypuszcza bydło i konie, aby i one pożegnały swego gospodarza; ktoś inny porusza ziemniaki w piwnicy, ponieważ bez tego zabiegu mogłyby zgnieć. Na cmentarzu przed rozwartą mogiłą uczestnicy pogrzebu obchodzą dokoła trumnę i całują krzyż, trzymany przez duchownego. Następuje krótkie nabożeństwo, przerywane za wozdzeniem: „O-jo-joj, de ty sia chowajesz wid nas pid zymnu zemlyciu — jo-joj-nasypiuć tobi hłyny na oczy — jo-joj-joj“! Trumnę opuszczają do dołu. Paroch wysypuje do niego węgle z kadzielnicy i rzuca kilka grudek ziemi. Wyrasta pagórek. Ludzie na klęczkach modlą się, a potem opuszczają cmentarz. W chacie czym prędzej zmiatają izbę, a śmiecie i słomę z ławy składają na brzegu potoku i palą. (M. Zinicz). Przed snem najbliższa rodzina ze strachem wpatrując się w ciemne kąty izby szeptać będzie modlitwę, która w ich ustach brzmi jak zaklęcie: „Jahnyłki — stereżnyki! Stereżyt moju duszku z weczera do piwnoczy, wid piwnoczy do kohuta, wid kohuta do rana, na wiki wиков. Amiń“. Ich pobratymcy znad Dźwiny — tak układają tę modlitwę-zaklęcie: „Czarny, czy biały, niebieski czy piekielny duchu, strzeż moją duszę z wieczora do północy, od północy do pierwszych kogutów, od pierwszych kogutów do słońca, na wieki wieków!“ To samo brzmienie i ta sama treść! Dodatki i zmiany powstały pod wpływem wyższej kultury.

Leżą Bojki wpatrzni w ciemność i nasłuchują. Coś się jak gdyby kotłuje w czarnym mroku chyży, coś się przesuwa i porusza — to bliżej, to dalej, straszne, tajemnicze, bezkształtne. Może to czarny „bezpjatyk“ ściga duszę zmarłego gazdy, co się schroniła w czarnym „kucie“ za piecem? A może to duchy wielorakie, te niezliczone „perelesnyki“, zwabione męką konania, urządzają harce tajemne i w węzowym splocie korowodu krążą i kołują ni to z radości, ni to z żalu, iż odszedł na zawsze ten, co w każdej chwili swego ciężkiego



*Wilk w Karpatach*

żywota myślą biegł ku nim — nieśmiertelny poganin, czciciel potężnych sił żywiołu i losu swego kowal nieudolny. Ruch nie ustaje w czarnych zwojach nocy, lecz cisza zalega cały, zda się, świat. Jednak nie długo. Cyt! Słyszysz? Dobiega cichy szmer, niby ktoś bosymi sunął stopami po glinianej podłodze. Tam skrzypnął zydel pod niewidzialnym ciężarem, tu znów brzękła szklanka pozostawiona umyślnie na stole; około drzwi, przy łyżniku zapewne, zgrzytnęło coś i zaczęło się nagle... Cicho znowu i — raptem zatrzępotało coś i tłuc się poczęło o szyby z lekkim szelestem i brzękiem. Dusza gazdy, a może wielka ćma lub bąk? Któż to wie?! „Jahnyłyki sterczniki, sterczyt moju duszku!” — szepcą Bojki drżącymi wargami i tak trwają przez całą noc, aż westchną z ulgą, gdy z mroku wynurzą się nagle blade, mętne bielma okien i czarność nocy nasiąkać pocznie szarzyzną przedświtu... A potem rozkrzyczą się koguty nawołując się doniośle, przepędzając mrok, witając słońce, budząc gazdów i gazdynię, ich troski, tęsknoty, bóle i nadzieje...



„Jordan“, święcenie wody



*Skąły w Bubniszczu*

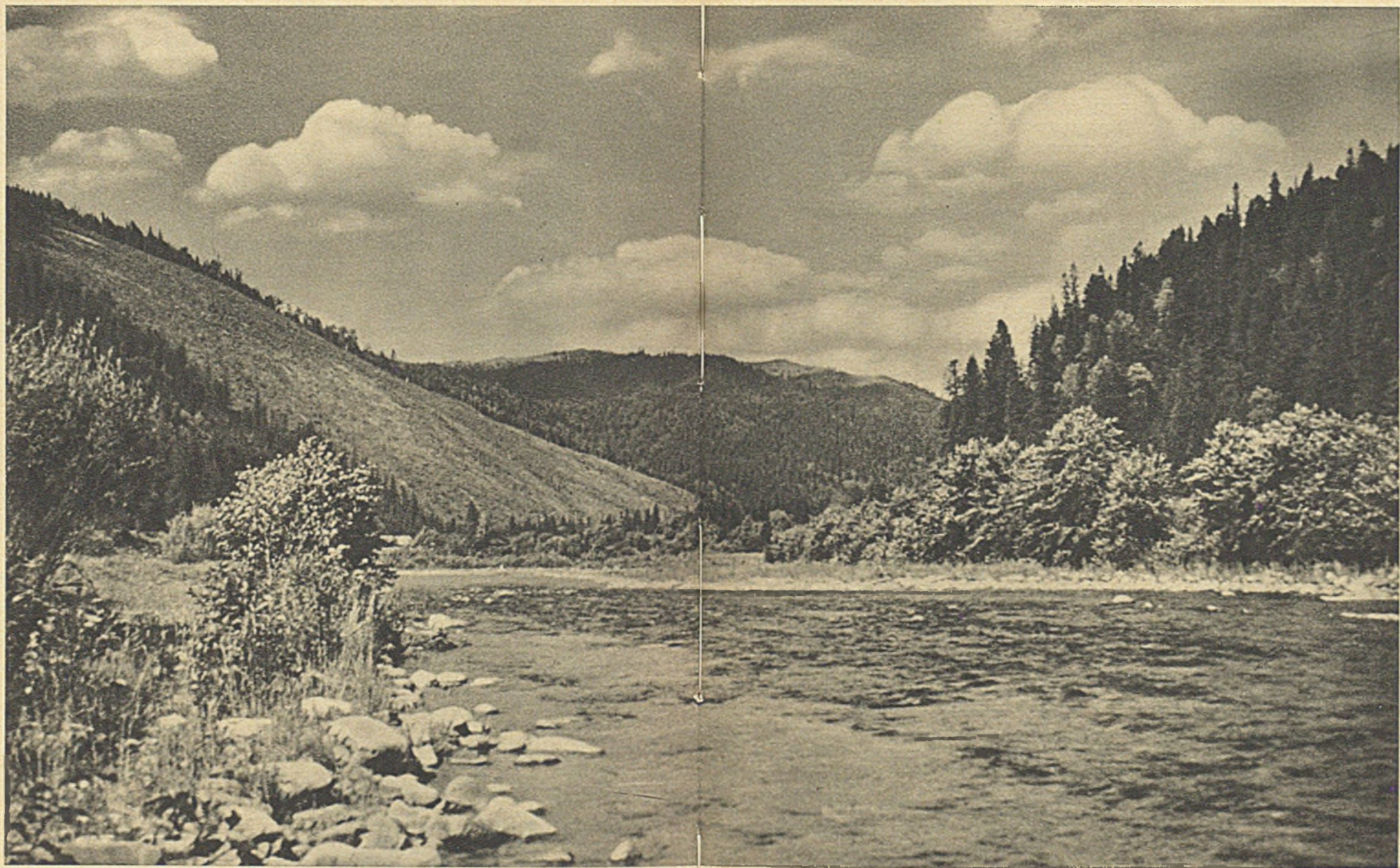
## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### WE WSCHODNICH USKOKACH BIESZCZADÓW

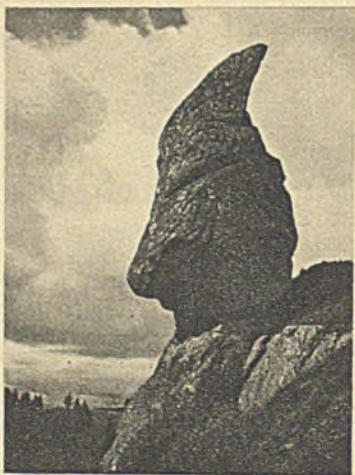


*Synowódzko Wyżne —  
wylot tunelu*

**K**to pragnie ujrzeć prawdziwe Bieszczady, ten musi zboczyć z głównej linii kolejowej — Lwów-Ławoczne — i południową odnogą ze Stryja ruszyć na Bolechów, Dolinę i Wygodę. Zielone tam rozparło się państwo lasów! Na glebie ze zwietrzałych piaskowców, łupków i wapieni starokrystalicznych, na niższych pasmach do wysokości 600 metrów wyrastają lasy mieszane o dużej różnorodności gatunkowej, wyżej do 900 m z przewagą jodły i buku, ale już bez



*Dolina Świcy w głębi Karpat odznacza się pięknem pierwotnej przyrody*



*Skąły w Uryczu...*

ków na wilgotnej glebie wybujął tam olcha szara i rzadziej — czarna, jesiony, brzozy omszone po torfowiskach i świerki pospolite. Wszędzie gąszcz i bujne życie roślinne. Zatrzymajmy się w ruchliwym Bolechowie, świetnym miejscu do dalekich wypadów, gdyż poza koleją, którą z łatwością dostać się można do dolin Oporu



*...i w Bubniszczu...*

dębów, jeszcze wyżej — bory świerkowe z domieszką jodły i buków, aż w krainie typu podalpejskiego zapadają czyste lasy świerkowe. Koło Strutyna w okolicach Doliny, na ruinie z bagna, żurawiny, bażyny, łochyńni, modrzewnicy, borówek i wełnianki — walczy o byt bór sosnowy, a koło źródeł Świcy limby dumne i wyniosłe; jednolite lasy zalegają bolechowsko-urycki obwód, gdzie potężnie rozrośnięta buczyna tłumi życie innych drzew i krzewów, rodzących się i ginących w zwartym jej gąszczu i tylko turzyca, szalwia, narpastnica, trędownik, wykłina, rzeżucha i dymnica nie dają się zagłuszyć. Wzdłuż brzegów rzek i potoków

na wilgotnej glebie wybujął tam olcha szara i rzadziej — czarna, jesiony, brzozy omszone po torfowiskach i świerki pospolite. Wszędzie gąszcz i bujne życie roślinne. Zatrzymajmy się w ruchliwym Bolechowie, świetnym miejscu do dalekich wypadów, gdyż poza koleją, którą z łatwością dostać się można do dolin Oporu i Świcy, czynna jest tu sprawnie funkcjonująca kolejka leśna. Bolechów — to dawne miasto królewskie — które nieraz szło z dymem szalejących tu pożarów i kilkakrotnie przeżywało srogie napady bandy opryska Dobosza z Czarnohory, gdyż Ołeksa zuchwały aż pod Skole i Tuchlę zapędzał się z towarzyszami. Słynęło ongiś to ukryte w lasach miasteczko

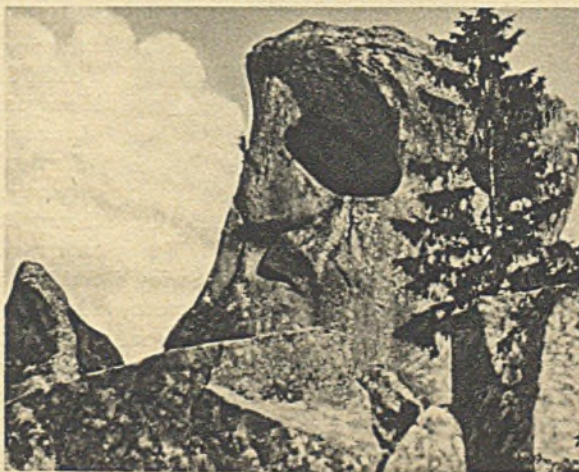


ze swoich solanek i warzelni czynnych do połowy ubiegłego stulecia. Ale i teraz jest ono uprzemysłowione, rozrzucone na znacznej przestrzeni po obu brzegach Sukielu. Z inicjatywy, osobistej pracy i po części z fundacji śp. Stanisława Hancewicza powstał tu zakład wychowawczy dla dziewczynek, a także sklep polski, biblioteka z czytelnią i projektowana kolonia dla dzieci. Dobre gmachy szkoły powszechnej i szkoły leśniczych stoją na skraju cienistego parku miejskiego z pomnikiem Jana III Sobieskiego. Koło szkoły leśniczych założono park dendrologiczny, szkółki drzewne i ogród warzywny, naukowo prowadzony. W otoku starych drzew kryją się zabudowania nadleśnictwa.

Po drugiej stronie Sukiela łomoce, zgrzyta i jazgocze tartak państwowy, turkocą motory w garbarniach, elektrowni prywatnej, fabryce bukowych mebli giętych, szpuntów i w młynie. Na rynku i na ulicach nie ustaje ruch i gromadzą się tłumy ludzi. Z małymi wyjątkami, jak na przykład — gmachy rządowe i domy, należące do kolonistów niemieckich, osiadłych tu na początku wieku XIX-go w kolonii — „Nowego Babilonu“, przeznaczonej dla Żydów rolników i — gdy nie znalazło się chętnych odebranej im, zabudowania są nędzne i brudne — jak zawsze tam, gdzie w przewadze lud — który umie tak hałaśliwie rekla-



...występują...



...w dziwacznych kształtach

mować „architekturę“... Tel Avivu. Od północy dobiega do Bolechowa, leżącego w kotlinie, kraina pagórkowata, pokryta młodą dąbrową. Na południu rejon szybko się wznosi i przechodzi w leśniste góry, coraz wyższe i dziksze, aż połączą się z Gorganami o surowych wierchach i prawie czarnych płaszczach borów. Malowniczo wygląda Bolechów z okolicznych wzgórz, przecięty białą wstęgą rze-



*Szlachcic z Podkarpacia (XVII w.)*

widoki na Bieszczady, na dolinę Świcy i Sukielu i równiny ciągnące się aż do Dniestru. O trzy kilometry od Bolechowa, koło leśniczówki dyrekcja lasów państwowych założyła pstrągarnię na potoku górskim i hodowlę raków, spotykanych tu w pięknych okazach. Od leśniczówki zaczynają się już góry, pokryte lasami. Dość jeszcze pozostało tam mateczników, a więc mają w nich legi jelenie, sarny, dziki, żbiki, wilki, borsuki, lisy, jarząbki i słonki, a dalej — bliżej

ki, zdobny w bukiety wysokich drzew i wieżyczki świątyń. Chodzą tu głuche słuchy o jakimś kościele niegdyś z nieznanym powodów zakopanym. Być może, że istotnie w dawnych czasach zawalił się jakiś kościół, gdy osunęły się głęboko leżące warstwy ziemi i soli. Tego jednak nikt nie badał. Przy podkarpackiej szosie, w pobliżu Bolechowa znajduje się wieś Hoszów ze stojącym wśród drzew na wysokim brzegu Świcy klasztorem o. o. bazylianów. W cerkwi zbudowanej w roku 1854 słynie obraz, cudami przypominający Matkę Boską Częstochowską. Cerkiew posiada kilka dobrych obrazów malarzy włoskich. W maju odbywają się tu odpusty, na które ściągają tłumy Bojków. Z klasztoru wspaniale odkrywają się

głównego grzbietu wykryto nawet ślady niedźwiedzi. Od Bolechowa aż do Chyrawy wije się wśród gór kolejka leśna. Szeroka dolina Sukielu, którą tuż za miastem biegnie jej plant, została od dawna pocięta polami i łąkami. Pasą się tam „bagry i biłanie” — czarne i białe krowy, „bilesze” — szczególnie ulubione owce i całe „bicznie” — stada młodych byczków z bojkowskich wsi Cisowa i Cerkównej. Mali pastuszkowie, leżąc na skarpach wykopu kolejowego, przyglądają się pociągowi i żują „żwanke” — żywicę jodłową, od czasu do czasu pokrzykując rozgłośnie na swoje jałówki i „drobiata”: „Ahi na tia, jdesz?!“ Łąki znikają wkrótce. Kolejka wbiega do wąskiej doliny górskiej. W Cisowie odchodzi od niej odnoga do doliny Łuzanki, serpentynami przecinając wododział. Tam z jego grani oko ogarnia olbrzymią panoramę gór od Oporu do Świcy. Na głównej linii przepląta inna panorama — góry, zalesione bukami, lub nagie, gdzie pasie się bydło. Na jednym z takich ogołoconych szczytów znajduje się podobno dość duże „martwe” jezioro, głębokie i czarne. W nim, jak mówią Bojki nie tylko niema pstrągów, pospolitych w Sukielu, ale nie pluskają tu nawet nędzne „babki” i „bebene”. Tam suche świerki żałośnie opuszczają gałęzie ku wodzie i skrzypią na wietrze, ni to żaląc się komuś: „Bidońko moja temna!”

W Polanicy, dużej wsi na lewym brzegu Sukielu, znajduje się nadleśnictwo w obrębie swoim posiadające prawdziwy kaprys natury. Jest to miejsce niezwykle romantyczne i zagadkowe. Ścieżka od mostku na Sukielu prowadzi przez przełęcz pod Schłą. Na grzbiecie działu wspaniałe, potężne buki stoją w skupionym milczeniu, tajemnicę ukrywając w swym cieniu. Nagle odsłania się głęboka kotlina, a w niej — labirynt nagich skał piaszkowców o przeróżnych najfantastyczniejszych kształtach. Jest to słynne Bubniszcze! Głębokie grotty, tarasy i stopnie, wykute rękami nieznanymi olbrzymów, wreszcie studnia, której tunel przewierca potężny masyw litej skały. Na szczytach i pomiędzy skałami wiatr posiał cherlawe sosenki i krzaczastą buczynę. Stąd rozległy odkrywa się widnokrąg, zamknięty zewsząd lesistymi górskimi grzbietami. Na dole widnieją zabudowania wsi Truchanów i Synowódzko, pola, rzadkie skupienia świerków na ogołoconych już górach; we mgle niebieskiej majaczy jak zjawa stożkowaty wierzch Paraszki, która w tej okolicy Bieszczadów — od Mizuńki do Skolego i Tuchli — wznosi się jak drogowskaz, jak latarnia morska na oceanie. Skały Bubniszcza tworzą amfiteatr, nad którym tam i sam piętrzy się to iglica „Lalki” to skała do

baszty podobna — „Wiatrak“, to „Wielki Bóld“ ze śladami molożnej pracy ludzkiej, co tu wyrąbała potężne gzymsy, jakieś głębokie wyżłobienia i „stupaje“ w twardej skale... Co tu było? Świątynia pogańska z ołtarzem nieznanego boga i „żegliszczem“ na szczycie? Czy nie dlatego to właśnie stare wróże przychodzą tu chętnie i coś mruczą tajemnic, a młodzież baraszkuje tu w noc Kupały i ognie pali? Schronisko wielkiej bandy zbójników ruskich czy węgierskich? Pierwotne siedlisko ludzi jaskiniowych? Fantazja nieznanego włodarza tych lasów i skał, który posłał niewolników i jeńców kuć te skały? A może w tym labiryncie był schron najpewniejszy przed najeźdźcami spoza Karpat i Nadniestrza? Może ukrywali się tu ścigani przez sądy koronne owi „latrones, violatores, incendiarii“, na których szyję kat od dawna już ostrzył miecz za pytać o to Bojków, wzruszają ramionami. Nie wiedzą nic o swoich „bołdach“. Milczą też skały i tylko echo głosu ludzkiego tłucze się po załomach i kretowiskach labiryntu, aż umilknie gdzieś w haszczach bukowych... Cóż to za dziwy żyją wśród tych skał zagadkowych? Jedna, oglądana z daleka staje się posągiem Bogarodzicy, co pochylała stroskane oblicze nad Boskim Dzieciątkiem, druga — niby potwornie wielka głowa dzielnego króla Sobieskiego, który częstym gościem bywał w tych stronach; tamta — to orzeł, siedzący z opuszczonymi skrzydłami na strzaskanym pionie drzewa, tam znów czyjaś głowa o ostrym, groźnym profilu... Wielki rzeźbiarz — natura wodą, wiatrem i mrozem niby dłutem wykuła te potężne posągi! Trudno porzucić ten zagadkowy piękny zakątek w zielonym lesie bukowym, gdzie cicho dzwoniąc w gąszczu biegnie do Sukielu, a może do Oporu wartki potoczek — czysty jak kryształ i zimny, jak gdyby zrodziła go macierz lodowa.

Niewiele takich skał mamy w Karpatach. Chyba jeszcze w Synowódzku, Odrzykoniu, Rozhurczu, Uryczu i w Busowiskach, ale one wszakże nie wywierają takiego wrażenia i nie budzą tyle niepokojących, natrętnych pytań jak w Bubniszczu.

Z Polanicy kolejka leśna biegnie dalej. Mija niedużą osadę z tartakiem. Od sttu już lat mieszkają w niej Niemcy. A na pewno źle im się tu działo, bo ziemia wszędzie jałowa nic nie rodziła, w zimie w dolinie szalały wichry mroźne, żadnych nie było tu dróg. Kraniec świata! Miejsce zatracone! „Ber ho witer“ — mówią o tej okolicy Bojki. Niemcy byli tego samego zdania i osadę swoją nazwali Jamerstalem — dolinę płaczu, ale mimo to wszystko przetrzy-

mali i pozostali. Dobrze ubrani pracują na porębach i w tartaku, kobiety w ciemnych sukniach i słomkowych kapeluszach uwijają się koło grząd i bydła. Stąd już niedaleko do wsi Brzazy. Otagają ją góry, a nad nimi wznoszą się szczyty Kiczery Kamienistej, skąd jak na dłoni widać pasmo Magóry, Czernia i Bukowińca z połoniną na płaskim grzbiecie, z której rozejrzeć można ostrowierczą grań gorgańską. Droga kołowa prowadzi z Brzazy poprzez wododział do doliny Oporu. Potok Sukielec — ściśnięty w skałach, splywa wysokimi wodospadami. Nad jego wąwozem, po pagórkach i jarach rozmieściła się wieś Sukiel ze starą cerkwią drewnianą o pięciostopniowym dachu; a przy niej na uboczu czworoboczna dzwonnica, z galerijką pod okapem. Droga pnie się w górę poprzez świerkowo-bukowy las. Pogwizdują jarząbki i śmiga chyża „liliczka“ — wiewiórka. Młody, ujęzmy Bojko — woźnica, niedawno z wojska zwolniony — biczem wskazuje przesmyk wilczy. Na wododziale gnie powoli dylowata droga wojenna. Na prawo i na lewo hen — widoki bez kresu: pasmo Magóry, połoniny, lasy zielone i czarne, pola i wsie. Kwilą jastrzębie. Gdzieś w krzakach ryczy groźnie buhaj. Droga przechodzi przez wieś Kamionkę. Za nią odbiega kręta, wąska dolina potoku. Z jednej strony jeżą się złomiska skalne, porośnię jeżynami i buczyną, z drugiej — gaworzy o czymś wysokopienny bór świerkowy, pnący się na same szczyty, gdzie zaczęło się jezioro „Morskie Oko“, — macecznik



*Dawny strój szlachty zagrodowej*

pstrągów srebrzystych. Potok Kamionka pluska, syczy cały w kaskadach, pianie i wirach wśród bloków kamiennych, gdzie raz po raz, walcząc z bijącą jego strugą, wyskakują chyże pstrągi zdobywając przeszkody. Droga wychodzi na Opór i tuż za mostem urywa się przy szosie — biegnącej wzdłuż szerokiej i wartkiej rzeki i ogromnych kamieniołomów kolejowych.

Słoneczne, białe, zadrzewione, zdradzające dobrobyt mieszkańców i jakieś nieuchwytnie, ale wyraźnie odmienne cechy, miasteczko



*Okolice Sławska; Wysoki Wierch*

wynurza się nagle. Jest to Skole, stolica „państwa skolskiego“, przeszło od stu lat należącego do austriackich baronów Groedlów, przemysłowców leśnych, władających podobno 45 000 hektarów lasów na polskim terytorium pogranicznym. Obok na 13 000 ha rozparło się inne... „państwo“ — Lubieniec Gartenbergów... Skole uznane zostało za wspólną stolicę obu tych „państw“. Tymczasem od dawna tu włodarzyło państwo Polskie i żadne inne. Prof. Papée przytacza ciekawą opowieść o „Skolszczyźnie“: „Było dwóch braci — opowiada sobie lud bojkowski — Stryj i Opór. Jedna ich matka zrodziła — zielony Jawornik Wielki u granic

węgierskiej ziemi, i jedna ich czekała droga do łoża siniego Dniestru. Stryj zaraz w drogę wyruszył, bo był starszy i rozważniejszy, a lubił wygodę, przeto szerokie zatoczył półkole mijając trudniejsze przejścia. Ale Opór lekceważył sobie całą podróż i jak chłop, odkładający pracę, spać się położył. Wtem budzi się: słońce już na niebie wysoko, a Stryj za górami daleko. Więc rzucił się pędem na dół, na przełaj, w poprzek gór; przez ciasne wąwozy, po zboczach spadzistych rwie naprzód, góry po drodze rozpiera, szumi, pianą toczy i skały z brzegów strąca — aż wreszcie przeszedł wrota Beskidu i w czystym polu miłego obaczył brata. Tam się ich dwie wody złączyły, a ludzie nazwali to miejsce Synowódzko. Stryj zaś i Opór już odtąd szeroką, wygodną równiną dopłynęli do kresu, zanim się słońce schowało za bory“.

Ta legenda ludowa niemal zupełnie ściśle przedstawia kierunek i charakter dolin obu tych znacznych, a dla tej części Bieszczadów tak ważnych rzek. Stryj biegnie, robiąc niezliczone zakręty i pętle, szeroką doliną, która, użyźniana namulem, stała się jedną z najlepszych w tym ubogim w rolę kraju. Inaczej przedstawia się bieg Oporu spadającego w prawie prostym kierunku z gór. Pędzi on wartko, bieg ma krótszy od swego brata Stryja i nie tak obficie wodą zasilony. Gdy wielkie ulewy lub nadmierne śniegi wypełnią jego koryto, wściekły Opór wyrzuca na zdiary odłamki skał potrzaskanych i zerwanych ze spychów. Pędzi on w głębokich, wąskich wąwozach, o brzegach stromych, częstokroć zupełnie pionowych. Całe dorzecze Oporu ma ten sam charakter i te same krajobrazy, czy wpadające od wschodu Kamionka, Zelemianka, Sehły, Różanka i Sławsko, czy też zachodnie dopływy — Hołowczanka i małownicza, pienna, cała w szypotach — Orawa. Najwyższe pasma gór z trzech stron zamykają dorzecze Oporu. Na północy podnoszą lesiste swoje kontury Czarna, Stara Szabela, Korczanki z panującym nad całą krainą szczytem Paraszki, sięgającym 2711 m.; od wschodu jaśnieje i mani ku sobie połoninna grań Zelemina. W tym miejscu stłoczonych ciasno gór, nazywanym „Kłódką“, a w dawnych pergaminach — „Wrotami“, z wysiłkiem wściekłym przebija się Opór. Ledwie-ledwie, przycisnąwszy się do zboczy gór, prześlizguje się tam szosa, ale dla toru kolejowego nie pozostało już tu ani pasemka wolnej ziemi, więc przechodzi on po gzymsie, podmurowanym nad samą rzeką. Dalej wyrasta nieco wyższa od Paraszki majestatyczna Magóra i Sekul ze szczytem Czarała. Od strony Rusi Podkarpackiej, niby kopiec żałobny, przytła-

cza okolicę Czarna Ripa, widnieją Błyszcz dwuszczytowy i szmaragdowe Jaworniki, gdzie Stryj i Opór, a z nimi razem Różanka i Sławska białymi, wąskimi wstęgami wybijają się spod ziemi i to kryją się pod szerokimi liśćmi wybująłych podbiałów, to znów połyskują srebrem i szkliwem na miejscach odkrytych. Od strony zachodniej docierają tu uskoki Doużków i Zwinina. Pomiędzy dopływami Oporu, odgradzając je swymi cielskami, stanęły Kindrat, Tatarówka i Ostry Werch z „Pisaną Krynica” w głębokiej i szerokiej grocie. Tam, jak głosi legenda, miał swoje legowisko i czerpał wodę ze źródła historyczny, a legendarny zarazem Oleksa Dobosz — „niekoronowany król”, bohater, umiłowanie i postrach Czarnohory. Nad Sławką, Oporem i Hołowczanką podnoszą zielone głowice Trościan i Krzemieniec, gdzie wypływają źródła Butywki mknącej ku Orawie. Wszystko tu cieszy wzrok zielenią, nawet woda rzek na głębszych płosach ma odcień ciemnej śniedzi, na mieliznach zaś — akwamaryny. „Naszy Beskidy zelentyji” — szepcą Bojki okoliczni i o zielonych śpiewają górach. Jakżeż bogata jest ta szkatuła pełna szmaragdów, chryzoprazów, beryłów i chryzolitów! W skupieniu panujących tu zielonoszafirowych jodeł wciął się malachitowy klin buczyny, wyżej — jaśniejsze od jodeł bory świerkowe, a jeszcze wyżej, tuż pod niebem — jaskrawo zielone szmaragdowe kobierce połonin, chociaż i na łagodnych zboczach pomiędzy borami suchwałymi plamami zieleni biją w oczy łąki pastewne, a na nich, niby wzory wymyślne, — złote kępy arniki, esy-floresy błękitnych genecjan, z rzadka, niby mgiełki różowe, kwitnące krzaki azalij, podszytych pędami pstro nakrapianych storczyków. Kołyszą się tam ponad zielenią traw fioletowe dzwonki dziwnie wybujące, pnie się rozchodnik i kwitnie bogato różanecznik alpejski. Na te kwieciste polany wynurzają się z kniei dziki szczeniaste i chrząkając szukają ostów rozrosłych i szerokolistnych paproci — nazywanych tu „językami jelenimi”. Na najwyższych szczytach panują mchy i widłaki, nad nimi zaś wyrastają wysokie krzaczki kamionek i borówek, okrytych jagodami niespotykanej nigdzie wielkości (Papée). Płynie tam daleki orli skwir i sunie cień jastrzębi, nad łąkami zataczających koliska szerokie. W jodłowych borach tokują na wiosnę i łopoczą skrzydłami na zapadach oszalałe głuszce, w jesieni całymi stadkami przelatują kwiczoły po jałowcach żerujące, i rozpierzchają się w przerażeniu, gdy w pościgu za wiewiórką, ze zgrzytem mocnych pazurków z konarów drzewa drapieżna ześlizgnie się kuna. Na tajemnych polanach, do



których z doliny Oporu i Orawy nie sięgnie oko ludzkie, odbywają się na jesieni rycerskie turnieje jeleni w dni rykowiska i gony kozłów bodliwych, goniących płochliwe sarny. Po matecznikach w zimie i w lecie świecą się „lampy“ wilcze i rysie ślepie. Biada zającom, a nawet lisom przebiegłym i nieufnym borsukom, gdy oko w oko z drapieżcami na wąskiej staną perci! Bandyci gór — szary i centkowany — sieją postrach dokoła i trudno ustrzec przed nimi jelenia, łanię i sarnę, a nawet kierdel owczy i młode „bizunki“



*Przedwiośnie na Bojkowszczyźnie*

— jałówki niemądre jeszcze i zapędliwe. Żaden pastuch nie ochroni ich na „borłach“ — błotach i na samotnych „borołach“ wystających tam i sam skałach czerwonawych, i to nie tylko jakiś tam głupawy „durbak“ albo „bagłaj“ — niedołęga, ale nawet sam gazda, baca czy watah bywały, bo wszędzie zwyżą i dosięgną owiec i krów wilk nigdy niesyty i żądny krwawej uczty ryś... „Boh ich skare!“ Pastuchy szukający nowych pastwisk, „worogitnyki“ — czarownicy i znachory myszkujący wśród zielonych gruni, gdzie wypatrują ziele na febrę — „dyrgawycię“ i na tyfus — „biszigę“; kłusownicy i przemytnicy rozповідаją, że widzieli tam „girj“ — ślad burego

kudłacza, a nawet ten i ów z nich natknął się na jego „hajno“, ukryte pod wywrotem, posuszem i ziemią przysypane. Jakiś śmiałek, wdrapawszy się na smerek począł nawet „tujkać“ na niedźwiedzia, lecz władca gór nie raczył zwrócić na niego uwagi. Zuchwały bowiem pomiędzy Skolem a Tuchlą zamieszkuje ludek — ci górale ze Sławska, Różanki, Wołosianki, Tuchółki, Smorza, Libuchory, Komarników, Klimca, Wyżłowa, Oporca, Matkowa i z Husnego spod Pikuja. Niemało tam osiadło przed wiekami szlachty drobnej — niebogatej, która z biegiem czasu wiarę i mowę zmieniła, lecz nie mogła się wyzbyć gorącego i hardego serca polskiego. O nich za czasów królewskich dowiadywano się wtedy, gdy ogłaszano pospolite ruszenie, lub gdy jeden magnat obmyślał najazd na drugiego. Na pierwszy odgłos pobudki wojennej zgłaszali się do chorągwi i rot bitni, do wszelkich trudów nawykli, odważni i zuchwali. Nie jeden z nich krew przełał na sławnym polu Grunwaldzkim, a i w innych wojnach gromadnie brali udział herbowi panowie spod Skolego, Tuchli i Doliny. Sporo ich tam było, lecz po części się wyszczerbiła tamtejsza szlachta, po części przeniosła się doTurki, gdzie miała krewniaków i pobratymców, częściowo zubożała do reszty, do szlachectwa przyznać się wstydziła, schłopiała i wsiąkła w społeczeństwo bojkowskie, czemu sprzyjała przynależność do cerkwi grecko-katolickiej, co jakoś nieznacznie samo przez się przyszło. Z. Stieber w swej pracy o gwarach ruskich na Zachód od Oporu zwraca uwagę na różnice, jakie zachodzą między mową karpackiej szlachty zagrodowej i gwa-



Cietrzewie na stanowisku

rami sąsiadujących z tą szlachtą chłopów. Okazuje się, że górską szlachta zagrodowa mówi gwarami bardziej zbliżonymi do gwar dolinnych niż okoliczni chłopci. Nie działał tu na pewno wpływ literackiego języka ukraińskiego, bo sprzeciwiałby się on gwarom dolinnym. Element polski występuje dość wyraźnie w słownictwie szlachty zagrodowej, lecz jednocześnie jest również silnie wyrażony we wsiach chłopskich. Można by więc przypuszczać, że gwary dolinne powstały drogą zmian mowy polskiej, używanej tu przez pierwotnych osadników dolinnych, którzy byli Polakami przybywającymi tu z różnych dzielnic Rzeczypospolitej — jak się to działo na przestrzeni wieków. Daleko silniej niż ojczysta mowa u tej starej szlachty zagrodowej utrwaliło się coś innego — a bardziej istotnego. Bo oto gdzieś na dnie duszy, niby żar pod popiołem — tliły się jakieś wspominki, niejasne echo dawnej tradycji polskiej, niewidzialne nici, łączące tę szlachtę schłopiałą, „zruszczoną“ z macierzą. Bo oto ledwie przebrzmiały głosy znad Sanu, Stryja i Dniestru, nawołujące do powrotu do polskości, do tworzenia związków szlachty podkarpackiej — podnieśli głowy utrudzone „panowie“ skolscy i tucholscy i usłyszeli tajemne poszepty swych serc: „Polakami jesteście, solą tej ziemi i jedynymi jej władcami!“ Bez namysłu więc przyłączać się zaczęli do pobratymców, jak dawniej, gdy to na wojenkę chadzali. Ba, nauczyły ich dawne, burzliwe dzieje, że ino śmiały zwycięża!

\* \* \*



*Sławsko — widok na Zeleny Wierch i Ilzę*

Zakątek Karpat, przecięty Oporem i Orawą, bodaj najdłużej pozostawał niezaludnionym. Badacze współcześni wątpią, by przelęciami wschodnich Bieszczadów mogli wdziierać się tu w w. XIII Tatarzy pod wodzą „bezbożnego i niegodziwego Telcbugi“. Jeszcze mniej prawdopodobne przedstawiają się pochody węgierskich wojsk mniej więcej w tym również czasie i przekroczenie tej grani przez Ludwika Węgierskiego, gdy w r. 1352 miał dążyć spod Bełza do Munkacza przez te „Alpes fortissimae“. Tylko ruski książę Świętosław, w w. XI kryjąc się w dolinie Oporu został napadnięty i zamordowany przez ludzi Świętopelka. Bywał tu też książę Daniło, gdy wracał od króla Beli IV w r. 1241 a pierwsze osiedle, które tu znalazł, było Synowódzko. Tyle, jak dowodzi prof. Papée, ustalić udało się z historii tego kraju i dopiero w ostatnich latach w. XIV. na widownię dziejową wynurzają się z borów i puszczy Skole i Tuchla, a to w akcie Władysława Jagiełły, nadającym „wiernym a miłym“ sercu królewskiemu Wołochom — „braciom Myce i Iwankowi prawo do założenia wsi w górach, lasach i „polach pustych“, nazywanych Skolem i Tuchlą. Pierwszą ich wieś z woli króla Skolem też nazwano. Zaludnili ją Myka i Iwanko swymi ludźmi z Marmoroszu i Siedmiogrodu oraz góralami podkarpackimi, którzy przybywali tu z północy ze swymi stadami. Rządzili się oni według prawa wołoskiego, stanowiąc osobną krainę, nominalnie staroście stryjskiemu podległą. Na czele gminy skolskiej stał wójt — „kniaź“, drugi sprawował rządy w Tuchli od połowy XV w.; z biegiem zaś czasu, gdy powstały Hrebenów, Korostów, Sławsko — inni wyznaczani byli „kniaziowie“, a nad wszystkimi dozór miał „krajnik“. Taki system zapożyczili Wołosi u Sasów siedmiogrodzkich wraz z architekturą i rzeźbą ich domów. Potomkowie Myki i Iwanka przybrali sobie nazwisko Skolskich, i przyjęli obyczaje i wiarę sąsiednich górali. W w. XV-ym do tego rodu weszli już Kryniccy z Drohobycza. Od razu zaczęły się waśnie, sądy i podziały. Dwie siostry — Chojda ze Skolego i Tacia z Krynicy prowadziły przeciwko sobie zacięty proces sądowy i prawowały się ze starostą stryjskim Zakliką Tarłem. Kryniccy coraz bardziej umocniają się w Skolszczyźnie, a do ich grona dochodzą coraz to nowe rody Kruszelnickich, Korczyńskich, Hołyńskich, Turzańskich, Matkowskich, Monasterskich i innych. Nicustanna waśń wre w tym jałowym, kamienistym kącie Bieszczadów. Rozdrobnienie posiadłości spowodowało nędzę, zadłużenie i zbrodnie. Z tego skorzystali bogatsi sąsiedzi i poczęli różnymi sposobami zagarniać i urywać szczątki dawnej włości, „miłych“

Jagielle Myki i Iwanka. Miesza się w ich spory starosta Tarło, po nim Jan Tarnowski, kasztelan krakowski i hetman polny, który przejął lasy, odstąpione mu przez zubożałych Skolskich; ubiegał się o tę schedę potężny wojewoda krakowski i starosta przemyski Piotr Kmīta, aż wreszcie panem tego kraju górskiego stał się Tarnowski, po nim zaś ksiązę Ostrogski. Daje on początek nowej erze dla Tucholszczyzny rzucając do niej falę osadników. Tucholszczyzna, licząca w połowie w. XVI zaledwie sześć wiosek, w ciągu 35 lat zwiększa ich liczbę do dwudziestu trzech. Osadnikami byli znów Wołosi, Słowacy, kmiecie z królewskiej samborskiej i kilka zbiedniałych czy awanturnicznych rodzin szlacheckich, jak na przykład, Komarnicy. Wtedy też powstała najwyżej położona, bo na wysokości aż 900 metrów, najdziksza wioska Tysowiec, której pierwszymi mieszkańcami byli zbiegowie z więzień węgierskich i wygnańcy. W Tuchli zbudowano zamek, a Skolemu nadano prawo miejskie i krótkotrwałą zresztą nazwę „Aleksandria”. I tam też był zamek warowny, który nawet miał być „dobry do obrony całego państwa przeciw napadom Węgrów i Siedmiogrodzian”; powstał tam ponadto kościół i ratusz, wreszcie wpuszczono Żydów, którzy od pierwszych lat Skolego wycisnęli na nim piętno brudnego miasteczka. Wkrótce potem Tucholszczyzna przerabiała sobie wyjście na świat — drogę przez góry na Munkacz. W r. 1594 czterdziestotysięczna horda tatarska, podpaliwszy Stryj i Dolinę, a unikając rozprawy z hetmanem Zamoyskim pod Samborem, runęła doliną Oporu przez Bieszczady, gdzie górskiego przejścia dzielnie brocił pop ruski... z sześciu góralami, a dwu innych Tucholców-Komarnickich w nocy napadło na tabor nieprzyjacielski i uprowadziło konia tureckiego i pięć wielbłądów, ofiarowując je potem potężnym sąsiadom Zamoyskiemu, Ostrogskiemu i Mniszchowi. Nad Opozem pozostały zgłiszcza i mogiły... Drugą klęskę zadał tej ziemi Stadnicki-„Diabeł”, który dla walki z Opalińskimi sprowadził tu swawolne chorągwie węgierskie Gabriela Batorego; grasowały tam również setnie Lisowczyków, posłanych na Węgry. Walki z luźnymi watahami, sabatami i opryszkami zarubieżnymi, surowe i bujne życie pasterskie i łowieckie przekształciły Tucholców na wojowników i żołnierzy starostów stryjskich i rot pospolitego ruszenia. Niektórzy ze Skolszczan i Tucholców służyli nawet w chorągwiach ostrogskich, ale też widziano ich w zajazdach i małych wojnach domowych przeciwko popom i monasterowi w Synowódzku, w zwadzie pomiędzy Baranowskim a Komarnickimi, w napadzie na Smo-

rze, a także w najeździe zbrojnym starosty jaworowskiego — Jana Sobieskiego, przyszłego króla polskiego, na dobra wojewodziny Konstancji Koniecpolskiej, co z powodzeniem i „wiktoria“ wykonali. Potem na dwór skolski zjeżdżali się dyplomaci węgierscy i francuscy i planowali różne „demarches“, by króla Jana uwikłać i przez Marysieńkę działać na znakomitego wojownika. Narobili też nie-lada „larum“ panowie Poniatowski, i przybyli tu z turczańskiego Ilnicki, Wysoczański oraz cała gromada Jaworskich, gdy to roz-



*Bieszczady — Paraszka (1271 m)*

pędzili na cztery wiatry doroczny jarmark w Skolem. Należała Tucholszczyzna do Radziwiłłowej, Zasławskich, Czartoryskich, Lubomirskich i Potockich; wzbogacała się i ubożała, aby znowu podnieść głowę, chociaż powodziło się tam przeważnie Żydom, a kłęski spadały wyłącznie na Tucholców i Skolszczan. Istniała w Skolem huta żelazna, obsługiwana przez górników-Czechów. „Państwo skolskie“ prosperowało w w. XVII i po rozbiórce Polski, lecz, jak pisze pewien urzędnik austriacki: „w chowie owiec, w spławianiu drzewa, w hucie żelaznej mieszkańcy znajdują obfite utrzy-



*Narciarskie ćwiczenia wojskowe w Bieszczadach*

manie, gdyby tylko chcieli pracować, ale u nich przestawanie na małym służy tylko za pokrywkę lenistwu". Tucholcy podczas wojen Napoleońskich służyli w wojsku polskim i w oddziałach byłego generała Kościuszkowskiego — Wojciecha Toczyskiego. W r. 1831 Tucholszczyznę nabył hr. Kinsky z Czech, który począł trzebić lasy, przecierając je na tartakach i ... szerzyć germanizację, a wtedy Bojki-Tucholcy i Polacy-Tucholcy zanosić zaczęli w świątyniach modły o ratunek wspólnej ojczyzny. Od Kinsky'ch „państwo skolskie" przeszło do baronów Groedlów, którzy założyli na Demni, na przedmieściu Skolego olbrzymi tartak. Po pożarze w r. 1888 miasteczko przebudowało się gruntownie i nowego nabrało wyglądu. Taką to burzliwą i ciekawą przeszłość miała Tucholszczyzna, a jej niepospolite dzieje wyodrębniają ją spośród innych ziem Bojkowszczyzny. Coś swojskiego wyczuwa się jak w historii Skolego i Tuchli, tak również w jego społeczeństwie, w chatach Tucholców i w ich oczach śmiałych, pełnych słońca zielonej wierchowiny. W wolnej Polsce można byłoby gorące iskry wykrzesać z potomków panów Skolskich, Krynickich, Korczyńskich, Hołyńskich i Monasterskich, jak to umieli czynić Ostrogscy, Sobieski, gen. Toczyński i mądra a dobrotliwa Izabella — księżna

Łubomirska. Taka jest Tucholszczyzna. W północnej jej części osiedlili się Bojki, ale w ich krwi nie zgasły tradycje, wigor i polot dawnych czasów; od Skolego i Tuchołki aż do granicy rozsiedli się Tucholcy, którzy, jak to wypływa z pracy E. Kucharskiego, zapewne Alanów mają za swych praszczurów i — Polaków. Krzepki to lud i rosły, o twarzach ściągłych, nosach prostych lub garbatych, włosach przeważnie płowych i ciemno-piwnych oczach. Mają oni dobre pastwiska, a nawet rolę miejscami lepszą od Bojków i Łemków, więc w pewnym żyjąc dostatku, inaczej na świat patrzą i inaczej czują. Inaczej też mieszkają i nieco odmiennie się noszą. Nie znają zagród pod jedną strzechą, bo oborę i stajnię stawiają osobno, na uboczu. Chałupy budują z dwuokienną izbą mieszkalną pośrodku. Po bokach jej znajdują się sień i komora z drzwiami od zewnątrz. Piramidalne dachy bez szczytów pokrywają od góry słomą, wystające zaś okapy poszywają dranicami lub gontami. Tucholcy stawiają swoje chaty na podmurowaniu i zdobią je inaczej, niż Łemkowie i Bojki, bo podpierają nisko opuszczone strzechy rzeźbionymi słupkami, a przed domem budują werandki; drzwi robią łukowate — a nieraz framugi, ramy okien i oddrzewia — zdobią zawilym ornamentem, rzeźbionym w rozety i festony na modłę siedmiogrodzką. Od zewnątrz ściany są gliną oblepione; gazdynie bielą je wapnem. Kurne piece nie nadają ponurego wyglądu wnętrzu izb, gdyż Tucholczanki sprzątają, obkurzają i bielą nie tylko piec, ale ściany też i powałę. Dumą rodziny jest zawsze zabytkowy, dziedziczny stół. Właściwie jest to skrzynia, nieraz rzezana lub „pisana“ z grubą



*Z kubłem po wodę*





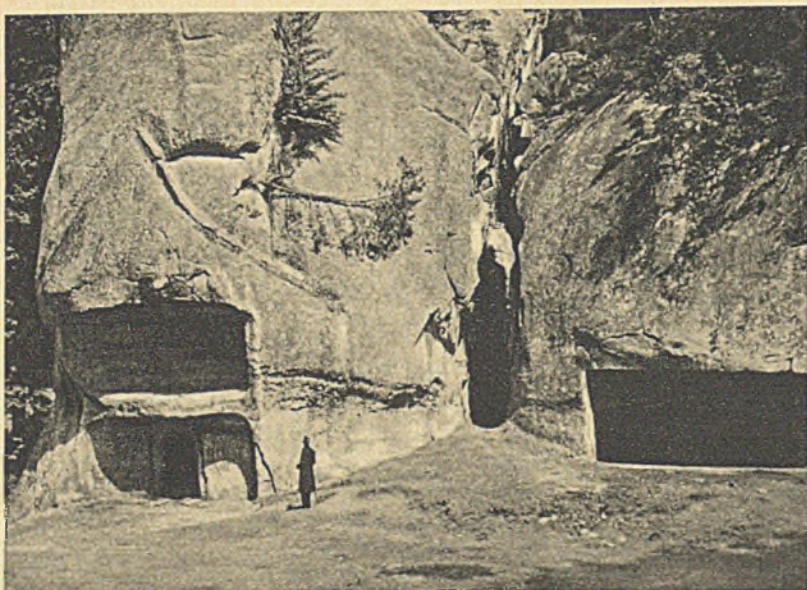
*Lania*

stolnicą z jednego kawałka jaworu lub dębu. Taka skrzynia zawsze starsza jest od samego domu, szanowana i utrzymywana czysto. Góral-Tucholec, który przede wszystkim jest pasterzem i drwalem, nosi kapelusze przeważnie niskie i płaskie z szerokimi rondami, zdobiąc je w święta barwną krajką, świecącym się guzikiem lub piórem pawim. Długą koszulę na modłę bojkowską wypuszcza na spodnie, przepasując ją szerokim pasem, spinanym trzema sprzążkami. Przód koszuli na piersi drobniutko się fałduje i zdobi ściegami z kolorowych włóczek. Guziki wyrabiane są ze zwierciadlanego szkła w mosiężnej oprawie. Mankiety sfałdowane są w „dudki”. Zwierzchnie ubranie — sirak, łejbik i spodnie niczym nie odróżniają się od bojkowskich: gładkie są bez ozdób i haftów. Kobiety ubierają się też po bojkowsku z tą tylko odmianą, że małą chustkę, tworzącą rodzaj czepca, zdobią dużymi błyszczącymi szpilkami i „uszkami” — dwiema długimi wstążkami. Koszule prawie takie same jak u gazdów; rozpór mają koło prawego ramienia lub na piersi i czerwone ozdoby włóczkowe u góry. Spódnice kroju bojkowskiego zakończone są u dołu ciemnoszarym pasem haftowanym, a na padole — koronką z grubych nici surowych. Tak też zdobią Tucholczanki znacznie krótszą od spódnicy „piukę” — fartuch płócienny, sfałdowany w pasie i upiększony wzorzystymi ściegami. Na szyi noszą na modłę huculską „sylanki” — plecionki z jaskrawych paciorków. Dziewuchy nie mają „uszek”, ale za to bardzo pięknie zdobią sobie głowy białymi chustkami w kształcie zawoju wschodniego. Gdzie niegdzie można odnaleźć wpływ huculskich elegantek: wzorzyste zapaski zamiast fartuchów. Również stary zwyczaj huculski obcinania męzatkom włosów przeniknął z biegiem czasu do Skolszczyzny i Tucholszczyzny, a odbywa się jak i w Czarnohorze przy oczepinach, gdy to uroczą Tucholczanka udając rozpacz zawodzi głośno: „horeż meni, ridneńka moja maty!” Zwyczaj ten prawie już zniknął jak i ten, co nakazywał gazdom ich włosy długie w warkoczyki zaplatać drobniutko (Kopernicki, Łuczakowski i Sygeni).

Życie Tucholców nie było i nie jest łatwe. Stwierdza to dokument z r. 1692,



*Sarenka*



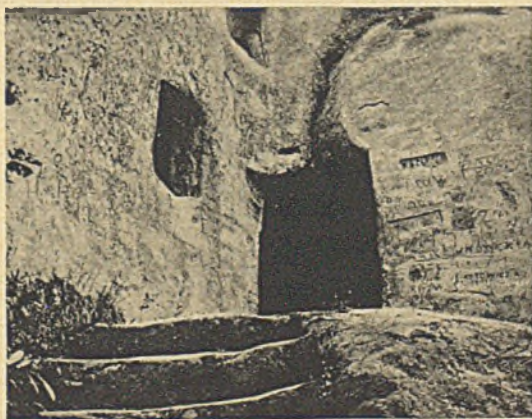
*Komory skalne w skałach Bubniszcza*

wspominając, że w tej zapadłej śród gór krainie tylko „steriles dominantur avenae“. Istotnie owies pozostaje po dziś dzień najgłówniejszym tu zbożem, gdyż pszenica udaje się rzadko, chyba wyłącznie nad dolnym Oporem i Orawą; żyto dojrzewa niekiedy tylko na polach nadbrzeżnych. Gospodarka rolna polepszyła się jednak od założenia niemieckich osad — Annaberg i Felicienthal w pobliżu Smorza. Te katolickie, a więc zupełnie spolszczone wsie przetrwały do naszych czasów i zdążyły już znacznie podupaść. Wojna to spowodowała i ciężkie warunki pracy. Nie byle jakiego bowiem wymaga wysiłku życie rolnika w tym kraju! Pola jego pną się po pochyłych płaszczyznach zboczy górskich. Zwożąc plon na dwu kołach w czasie... „od Maty do Maty“, to znaczy od Wniebowzięcia do Narodzenia N. Panny, Tucholec musi wlec uwiązany do osi świerk, jako hamulec, bo para wołów, choćby najcięższych, nie dałaby sobie rady na stromym zjeździe.

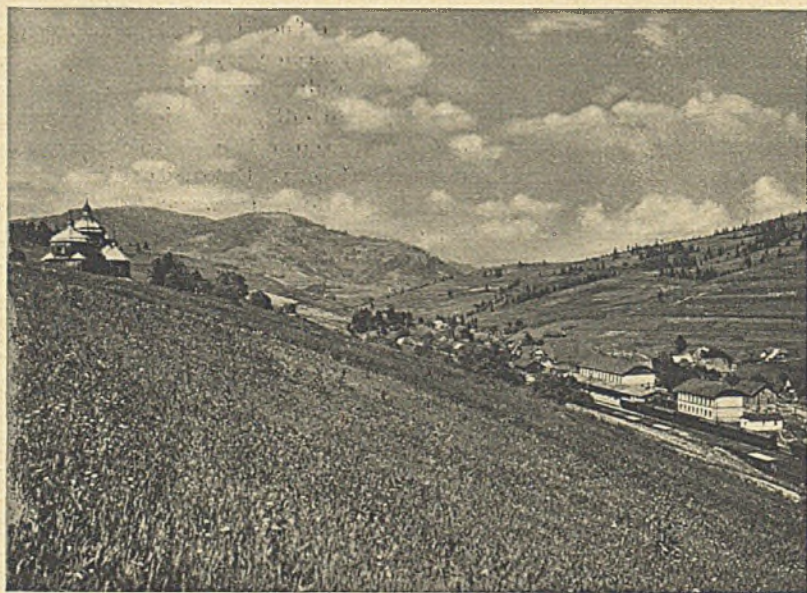
W lecie pławi się ta kraina leśna w słońcu gorącym — i dolina Oporu i Orawy, i wąwozy Butywli i Hołowczanki; toteż przybywają tu letnicy, na których czekają malownicze wille w Skolem

w Korostowie, Hrebenowie, Zelemiance i Tuchli. Znakomite kąpiele w czystym warcie rzek górskich, porywające wycieczki na szczyty okoliczne, do borów i malowniczych dolin, w zimie — doskonałe tereny narciarskie: jak w Sławsku, skąd odbywają się wyprawy na Trościan z Orszowcem na Zielony Wierch i Ilse — tak też w Ławocznem i Beskidzie, ze szczytami Uszcza, Bukowiec Tarnawski, Maradyków, Masiowe i Wierch Menczułowski; wszystko to czyni skolsko-tucholską połąć naszej ojczyzny wymarzoną terenem dla wypoczynku wakacyjnego, turystyki, sportu narciarskiego, wędkarskiego i myślistwego, a nawet dla założenia tu uzdrowisk klimatycznych i balneologicznych, gdyż górale coś tam przebąkują o „kisztych“, „tuchtych“ i słonych źródłach, co pozwala przypuszczać, że poszukiwania szczaw, siarkowych wód i solanek mogłyby dać i w tych okolicach wyniki pomyślne.

Ze Skolego i Tuchli — najlepiej zaś ze Sławska przekraczając dolinę Różanki a następnie Mizuńki — można się dostać grzbietami do doliny Ilnicy, lewego dopływu Świcy. Ostatnie tu i najwyższe docierają uskoki Bieszczadów, a z ich grani widać lesisty i skalny grzbiet Gorganów, zaczynających się tuż za Mizuńką. Widać stąd Chom, długi garb Arszyca i pograniczny Gorgan Wyszkowski. Z doliny Ilnicy nietrudne przejście doprowadza do nadrubieżnej z Rusią Podkarpacką lesistej Hyczy, gdzie poczyna się rzeka Świca, pędząca ku Dniestrowi, gdzie gaworzą tajemniczym pogwarem limby — niedobitki. Liczne potoki spływają z głównego grzbietu i wpadają do Świcy — trzy Magły, Czarna Rostoka, Terza, Gorgan, Sina Magóra Bukowinka, Menczuł i inne, które źródła swoje mają w tym węźle bieszczadsko-gorgańskim, gdzie okryte lasami lub już chciwą ogołocone siekierą wznoszą się szczyty Jaworowej Kiczery i Ukierni, Lisaka i Sywany — i gorgańskie wierchy: Pustoszak, Ilemski Gorgan, Sokółów i Niagryn przecięty okopami z cza-



Skalna „pustelnia“ w Rozharczu



*Wieś Ławoczne, w głębi Trościan*

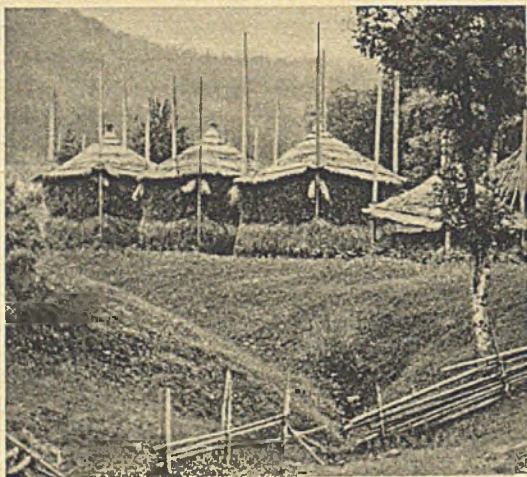
sów wielkiej wojny grzbiet Jajka Ilemskiego, Czorny Horb, Kruhla Młaka, Jaworowa Kiczarka, Gorgan Wyszkowski, Prysłop, Bukowinka i Dziki Bar. Czorny i Dziki! Takie to są nazwy, odpowiadające rzeczywistości i bezpośredniemu wrażeniu. Bory świerkowe, miejscami partie sosnowe tają w swym gąszczu niezbadanym czarny mrok. Z niego w dni „hodyny” — niepogody wysnuwają się zwoje i zwały mgieł, od czego staje się „bridniawo” i zimno. Drwale porzucają roboty na zrębach, pastuchy żując czerwoną „bagrinkę” żywiczną, podsycają watry i wążą do szalasów zostawiając stada na opiece kosmatych „gaw” — złych i czujnych psów. Ciężko wzdychają ludzie, bo w tej godzinie mglistej i niepogodnej dokucza im dotkliwie „żurba” — tęsknota, zatruta goryczą i trucizną złej „hodyny”. „Banno”, tęskno pastuchom bojkowskim, milczą więc i patrzą na szare, nieradosne niebo i usiłują rozpalić w fajkach „bage” — niedopaloną tabakę — mocną i „durmanną”. Niżej, pod pasmem świerkowego boru, rosną lasy świerkowo-bukowe, do półpionów tonące w gęstym podszyciu, gdzie gnieźdzą się głuszce, słonki i jarząbki. Nad Świcą i potokami łączącymi się z jej wartem, stoi skłębiony gąszcz olch

szarych, ponad którymi raz po raz strzeli wyżej jesion i grab. Po porzuconych płajach i perciach na berdach skradają się kozły ostrożne, na wyrąbanych polanach pasą się łanie i rozdymają nozdrza węsząc byka, żerującego w zaroślach. W bukowych haszczach z fukaniem i sapaniem przesunie się sznur dzików i zapadnie do wilgotnej rozłogi. W mroku puszczy, wyszedłszy z matecznika pęta się niedźwiedź, mrowisk szukając i dziupli, gdzie dzikie roje złożyły woskowinę z miodem wonnym, jakiego nie znają doliny.

Świca rwie i szumi. Tam rozleje się szeroko po kamienistym zdiarze, gdzie rozrosły się bujnie lepiężniki białe, błotne kniecie, ciemne skrzypy leśne i łopuchowate liście i różowe kwiaty miłosny; tu zwęża się nagle, staje się wąskim potokiem, roziskrzonym na szypotach i krętych załomach. Nad gnijącą, porzuconą klawużą, tuż nad prądem stoi malownicze schronisko Towarzystwa Tatrzańskiego, myśliwski pawilon firmy „Sylwinia“, nieco dalej — gajówka przy kolejce leśnej. W wąskiej kotlinie dmie świeży wiatr i niesie żywiczne zapachy. Z wirów Świcy wyskakują drapieżne pstrągi, chwytają owady i walczą z prądem i szypotami dążąc ku źródłiskom i wyciekom rzeki. Kwilą jastrzębie, a Bojki, śledząc ich lot spiralny, mruczą: „Galia, galia!“



*Hrebenów na tle Paraszki*



*Brogi w okolicy Skolego*

kim tartaku drzewo bieszczadskie i gorgańskie i rzuca je na dalekie rynki, które nic nie wiedzą o matecznikach i szczytach Bieszczadów i groźnych, dzikich Gorganów. Szosa i kolej łączą Wygodę z Doliną. Stara to osada polska, posiadająca już w w. XIV parafię katolicką i zamek, zaniedbany przez dzierżawców książąt Ostrogskich. Zamek zniszczyli chciwi dzierżawcy, a ileż to lasów wytrzebili, ciągnąc zysk z porębów i potażarni, wywożąc drzewo, popioły i smołę do Gdańska. Nie ominęli też solanek okolicznych i mieli tu czynne warzelnie, gdzie „kamienie solne” osobnymi „klejnami” doliniańskimi znaczyli, tak, jak to też i Sreniawici w Delatynie czynili. W Dolinie jej staro-

Na zlewie Świcy i Ilnicy przytuliła się pomiędzy górami osada Ludwikówka, przecięta drogą i torem kolejki, wykradającej puszczy najlepsze świerki, i Weldzisz, ongiś znany z rudy miedzianej, dziś — stolica drwali i kłusowników odwiecznych. Cały ten kraj ciąży ku Wygodzie — gdzie łączą się ze sobą Mizuńka i Świca — a gdzie żydowskie towarzystwo leśne Sylwina przeciera na wiel-



*Chata w Ławocznem*

sta, pan Jerzy Krasicki, obłąkaniec ponury i niebezpieczny, trzymał w swoim prywatnym więzieniu od r. 1625 do 1629-go łańcuchami skutego „wywołańca“ Mikołaja Białoskórskiego. Ten, jak głosi mandat królewski, chociaż skazany był na infamię i proskrypcję za zdradę stanu, drwił sobie z wyroków i bezkarnie nadal łotrowski pędził żywot, aż go starosta podstępem pojmał i uwięził, aczkolwiek ponoć miał doń „prywatny rankor“. Jest to możliwe, bo przecież pan Jerzy w r. 1619 w jasny Boży dzień z gospody w Przemyślu porwał i w Dubieckim zamku w lochu osadził bogatego mieszczanina



*Chaty w Siankach*

gdańskiego — Teodora Schulemberga. W pobliskim Mizuniu w w. XVIII-ym jeszcze cyganie wytapiali żelazo z „kraśnego kamienia“ i „rudę darniowej“, a proboszcz doliniański, niejaki ksiądz Piotr, chwalił cały kraj pomiędzy Bolechowem a Ceniawą, jako posiadający „dobry na rany, świerzby i czyraki tłuszcz ziemny“, który mu łowcy, „po górach ryskający w kubłakach przynosili“.

Z Doliny kolej, prowadząca do Stryja, mija Morszyn, — słynne uzdrowisko, polski Karlsbad, bezcenny skarb naszej ojczyzny. W starannie utrzymanym parku, gdzie dają cień stare świerki, jodły,



modrzewie, buki i graby, rozrzucono zakłady zdrojowe, lazienki, kąpiele borowinowe, pawilon pijalni, plac spacerowy, artystyczne kwietniki i kilka will. Liczne ścieżki ułatwiają dalsze przechadzki po malowniczych, lesistych wzgórzach. Na terenie parku biją źródła słynnego Bonifacego o gorzko-słonej wodzie leczniczej i „źródł pod Matką Boską“, popularna „morszynka“, radioczynna woda stołowa. Ładny kościółek i współczesne, nieraz o bardzo wysokich zaletach architektonicznych wille stoją w otoku drzew na wąskiej i długiej morszyńskiej polanie, ze wszystkich stron otoczonej gęstymi lasami, przeciętymi teraz szosą i torem kolejowym. Przez Morszyn przebiega w kamienistym łożysku potok Bereźnica, płynący tu z puszczy bolechowskich. Zewsząd obstąpiły „polski Karlsbad“ lasy niniowskie, lisowickie, zadereweckie, grabnickie i inne ich kompleksy i rewiry — zwarte i potężne. Prześlizgują się tam dróżki i ścieżki na najwyższą górę okoliczną Wedernicę i dalej ku dolinom Stryja, Oporu i Sukiela. Coś opowiada o lasach i górach niemilknąca nigdy Bereźnica, dzwoniąc i szmerząc na kamieniach. Na pewno pragnie a nie może zrozumieć dla ludzi mowę powierzyć wielkiej tajemnicy, ukrytej w knici.



*Cerkiew w Hrebenowie*

Nie tylko jednak gazy, wosk skalny i jeziora ropy leżą w ukryciu w głębi ziemi podkarpackiej. W różnych i licznych miejscach — w Truskawcu, Morszynie, Iwoniczu, Rymanowie, Krynicy, Szczawnicy, Żegiestowie, Muszynie i w innych zakątkach tego pięknego kraju wybijające na powierzchnię ziemi źródła wynoszą cudowną wodę leczniczą. Powstały tam i powstają zakłady lecznicze, przynoszące schorwanej ludności zdrowie i siły. Przeróżne są te źródła mineralne. Solanki zwykłe, wody jodowobromowe i gorzkie, różnego składu chemicznego, zależnego od pokładów soli, które w minionych okresach geologicznych złożyły tu wysychające lub cofające się morza. Są to wody o wysokiej najczęściej koncentracji i wielkiej sile leczniczej.



*Cerkiew w Morszynie*

Nie ustępują one najlepszym, rozreklamowanym i popularnym od dawna uzdrowiskom zagranicznym i powinny rychło już stać się źródłem dobrobytu i bogactwa tej części Polski, jak gdyby stworzonej, żeby stać się ośrodkiem zdrowotnym. Wszystko się bowiem złożyło na to. Walory lecznicze wód, klimat, uroczę miejscowości okoliczne, malowniczość i łagodność krajobrazu, obfitość lasów różnego gatunku, podgórskie lub wysokogórskie położenie i dogodne warunki dla turystyki oraz letnich i zimowych sportów. Na tym też terenie znajdują się inne źródła, a mianowicie gazowe szczawy i wody radioaktywne, działające cudotwórczo na pewne kategorie chorób ustrojowych. Jak zostało już ustalone, Podkarpacie mogłoby i powinno się stać ośrodkiem zdrowotnym dla całej Polski, a nawet zagranicy, gdyż posiada wszystkie naturalne warunki, potrzebne do tego. Jednocześnie powinno ono stać się również ulubionym terenem turystycznym i sportowym, tym bardziej, że przylega do turystycznego pasa Rusi Podkarpackiej i Słowacji, co znacznie rozszerza zasięg wszelkich wycieczek. Taka

sytuacja Podkarpacia czyni z niego ważną placówkę dla przedsiębiorczości państwowej i prywatnej, która nie może nie dać pożądanych zysków, gdy dokonane zostaną urządzenia potrzebne inwestycje, jak drogi, hotele, sanatoria, urządzenia sportowe, wzorowe zakłady lecznicze, łaźienki itd. Wtedy ruszy ku zielonym spychom Beskidu Niskiego i Bieszczadów fala ludzi szukających zdrowia dla ciała i ducha, zaludni Podkarpacie w letnim i zimowym sezonie, ożywi ten kraj, zmuszony do rozpoczęcia różnych robót, i wzbogaci jego ludność, która doszedłszy do dobrobytu powróci do dawnej ufności i przyjaźni dla jedynej dziedziczki tej ziemi — Polski.



*Pijalnia wód w Morszynie*



*Wieża wiertnicza w Boryslawiu*

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### PIEKŁO GALICYJSKIE



*Pomnik Łukasiewicza  
w Krośnie*

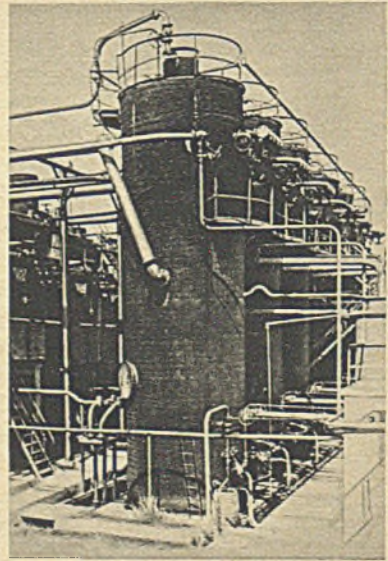
**K**tóż nie słyszał o Pensylwanii — tym królestwie ropy naftowej, oleju skalnego — największym bogactwie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej? Któż nie wie czegoś o nafcie, kopalinie gorączkowo i chciwie poszukiwanej we wszystkich częściach i zakątkach świata? Polska posiada własną Pensylwanię i własne zasoby ropy naftowej. Są to nasze ośrodki roponośne, ciągnące się wzdłuż północnych i północno-wschodnich odgałęzień Beskidu Niskiego, Bieszczadów, Gorgonów i Beskidu Huculskiego — od Lima-



*Jedlicze; zbiorniki ropy i...*

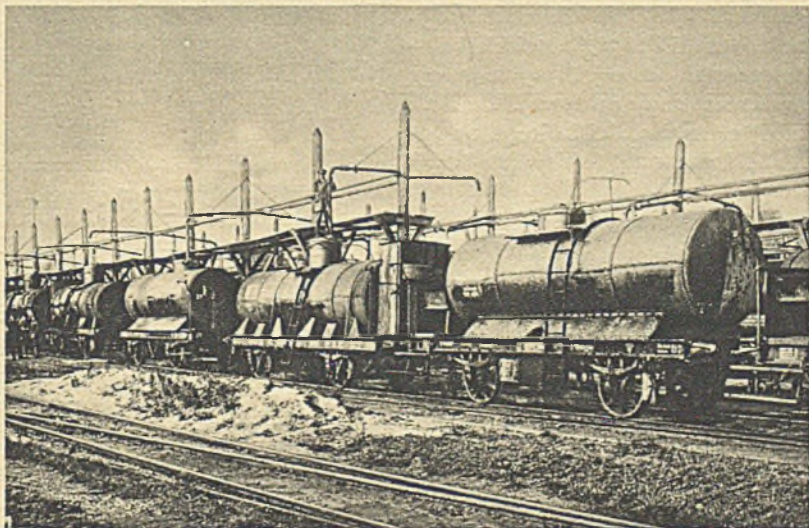
nowej aż do Kolo-  
myji. Ośrodkiem  
tego długiego pa-  
sa, bynajmniej je-  
szcze nie okreś-  
lonego ściśle, jest  
Borysław z złączo-  
nymi z nim Tus-  
tanowicami, Wo-  
lanką i Mrażnicą  
i z przymykają-  
cym do niego ob-  
wodem, ogarnia-  
jącym Schodnicę,  
Drohobycz a tak-

że i Stryj. W dawno już minionych epokach i okresach życia naszej planety pasmo to stanowiło dno płytkich mórz i jeszcze płytszych, szybko wysychających zatok morskich. Obfita fauna tych wód, składająca się z drobnoustrojów, skorupiaków, małżów, ryb i niemniej bogaty świat roślin morskich ginął raz po raz, znikał pod osiadającymi warstwami wapieni, soli i ilów. Mijały tysiąclecia i miliony lat. Na dawnym dnie morskim układały się nowe i nowe pokłady. Jedne z nich pod parciem sił górotwórczych wypiętrzały się w grzbiety wyższych i niższych gór, inne zapadały się głęboko. Panowała tam w łonie ziemi wysoka temperatura i zachodziły powolne, lecz nieprzerwane zmiany w resztkach porzebanych istot i roślin — najmniejsza, w rodzaju diatomei lub glonu, istotka i największy okaz świata zwierzęcego, potworna ryba lub gad rozkładały się bez dostępu powietrza, w wysokiej temperaturze i pod ogromnym sięgającym 130 atmosfer ciśnieniem kory ziemskiej, zmieniając się w wę-



*...fragment rafinerii*

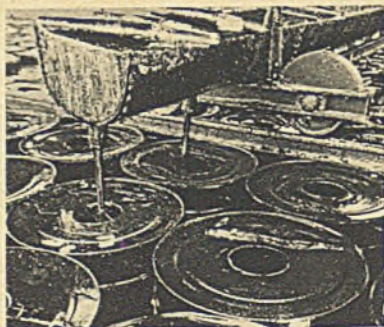
glowodory lotne, płynne i twarde. Rośliny w obecności soli morskiej przechodziły długi i zawily proces fermentacyjny i z ich resztek powstawały te same lub podobne węglowodory. Takim to sposobem na pierwotnym dnie morskim, przykrytym warstwami młodszymi wytworzyły się gazy ziemne, ciemna, gęsta ciecz ropy naftowej i pokłady wosku skalnego, złożonego z parafiny — mieszaniny twardych węglowodorów. W jednym miejscu ropa zgroma-



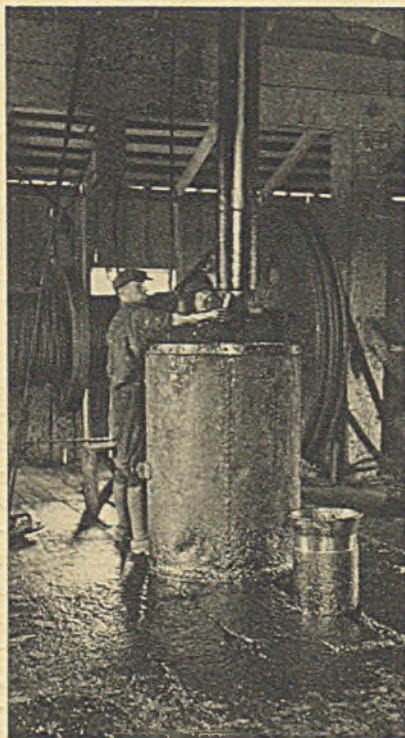
*Napełnianie cystern*

dziła się w podziemne jezioro, w innym pod ciśnieniem gazów prze-  
sączała się i wypełniła szczeliny i skały porowate, docierając nieraz  
do powierzchni ziemi i twardecząc pod wpływem powietrza i warun-  
ków atmosfery. W Karpatach wschodnich za Kazimierza Wielkiego  
i Jagiełły ludność nie tylko znała ropę, ale w wielu wypadkach po-  
sługiwała się nią, bądź to jako skutecznym środkiem leczniczym na  
rany, liszaje i kołtun, bądź też do smarowania osi kół i malowania  
chat gliną, zmieszaną z olejem skalnym. W wieku XVIII i XIX-ym  
Łemkowie i Bojki wykopywali studnie, głębokie do 60 metrów, ce-  
brami i kadziami na blokach czerpali zbierającą się na ich dnie ropę,  
znajdując na nią stałych nabywców. Po doświadczeniach amery-  
kańskich przemysłowców za Atlantykiem i Holendrów na Jawie

i Sumatrze, dwóch wielkich patriotów założyło podwaliny polskiego przemysłu naftowego. Byli to Stanisław Szczepanowski, organizator przedsiębiorstw i propagator głębokich wierceń, oraz J. Łukasiewicz, wynalazca lampy naftowej, popularyzującej ten produkt i stwarzającej dla niego stały rynek. Uczni Zuber, Załoziecki i Radziszewski poświęcili życie swoje badaniom ropy naftowej. Działali inni też znakomici i ojczyźnie zasłużeni, przedsiębiorczy, mądrzy i



*Asfalt zlewa się w bębny*



*Wnętrze wieży wiertniczej*

uczeni Polacy, których nazwiska zapisała historia przemysłu i nauki polskiej.

Dla eksploatawania Borysławia i innych miejscowości znalazły się kapitały krajowe lub cudzoziemskie, choć bezwzględne, obojętne dla kraju i chciwe, lecz za to pozbawione politycznego jednak zabarwienia i tendencji; wykształcono własnych wiertaczy, rafinerów i innych fachowców w tej dziedzinie; Polacy — właściciele terenów, mimo niezliczone szykany i trudności, nie sprzedawali i nie dzierżawili naftonośnej ziemi Niemcom i Austriakom; Łemkowie i Bojki nawet nie dawali się skusić lepszymi warunkami, proponowanymi przez cudzoziemców, i oddawali swoje tereny przedsiębiorcom polskim. Jak w sferach ziemiańskich, podtrzymujących się wzajemnie i z roku na rok podnoszących wydajność i rentowność swych majątków i gospodarstw

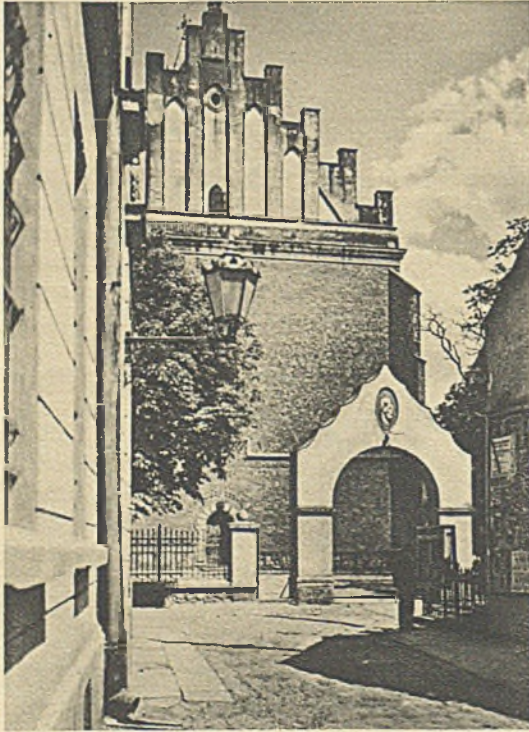
włościan okolicznych, tak też i w przemyśle powstawały związki obronne, banki, biura porad technicznych, katedry specjalne w wyższych uczelniach, firmy eksportowe i pośrednictwa handlowe, szkoły dla niższego personelu technicznego, do których garnęła się zarówno polska młodzież miejska, jak też i „ruska”, dochodząc nieraz do wysokiego stopnia fachowości i dobrobytu materialnego. Wrzała wspólna praca i walka o zachowanie wszystkiego, co było swojskie w tej dzielnicy dawnej Polski. Miasto, promieniując na cały powiat, nadawało mu barwy i charakter ducha polskiego, aczkolwiek otaczały je nieraz wsie i osady z nierównomierną i przytłaczającą częstokroć większością niepolską. Dokonywały tego cudu kościół,



*Gotowanie wosku ziemnego*

ziemiaństwo, oświata i wolne zawody, pomne wielkiego zadania. Taki stan rzeczy spowodował jedno niezmiernie charakterystyczne zjawisko, w innych rejonach roponośnych nigdzie na świecie nie spostrzegane. Polski przemysł naftowy nie przeżył okresu takiego „ażiotażu” i „gorączki naftowej”, które w Ameryce, na Sundach i na Kaukazie stały się źródłem różnych zbrodni, począwszy od





*Szczyt fary w Drohobyczu...*

pospolitego morderstwa i kończąc na tajnym odprowadzeniu ropy do zbiorników konkurenta lub podpalenia składów z olejem skalnym. Epickie wprost tragedie, koszarne walki i ostateczna niczemność ludzka — szalejąca w Ohio, Surabaji, Pensylwanii i Baku, nie miały tu miejsca, gdyż tamę im stawiło poczucie odpowiedzialności przed Ojczyzną. Jest to niezawodnie jedna z najpiękniejszych stronic dziejów porobiorowych, zapisanych ręką zmysłu politycznego, troski o przyszłość narodu i wiary w odrodzenie Państwa.

Wielki przemysł naftowy zapoczątkowany został wywierceniem dwóch szybów wybuchowych „Jakuba” i „Cecylii”, gdy to wyrwijące się gazy i ropa zapaliły się i czerwonym płomieniem oświeciły okoliczne góry i kotlinę, jak gdyby ognisty kwiat paproci — nieomylny znak utajonych w ziemi skarbów. Tym się uwieńczyła kampania, prowadzona od wykrycia przez Szczepanowskiego ropy w Słobdzie Rungurskiej w r. 1885 i wierceń koło Krosna i Schodnicy. Po Borysławiu — nastąpiła faza odkryć w Tustanowicach, gdzie z głębokości ponad kilometr szyb „Oil City” w pierwszych dniach wyrzucał około 150 cystern na dobę. Przemysł skoncentrował się obecnie w Borysławiu i Tustanowicach. Inne szyby zamknięto, niepewne i nieobfite tereny, gdzie produkcja wobec spadku cen już się nie opłacała, porzucono. Zapomniano już o zwykłych, ręcznym spo-

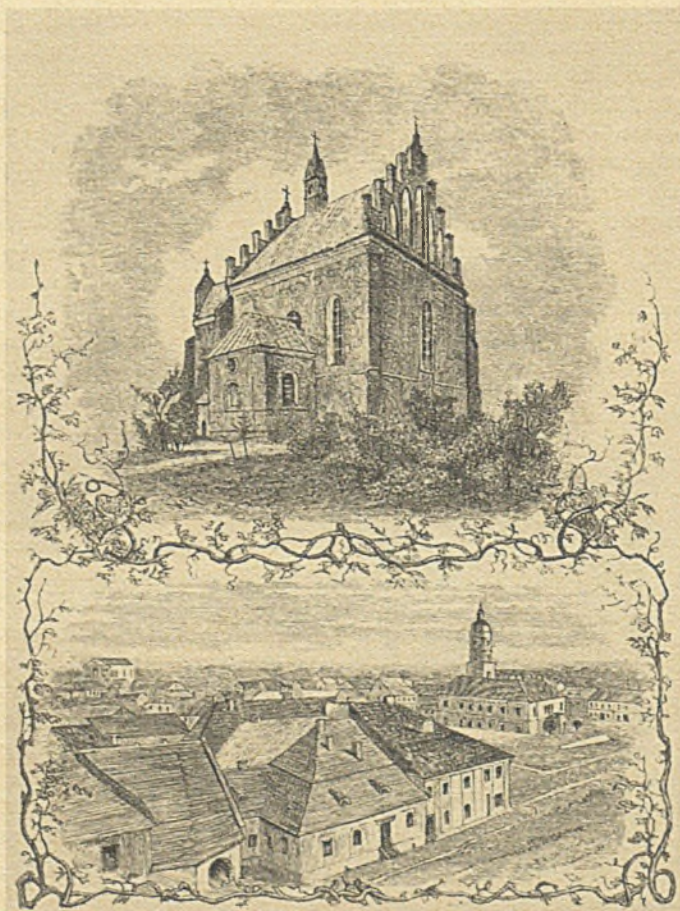
sobem kopanych studniach i o czerpaniu ropy wiadrami i beczkami; zaniechano systemu płuczkowego Faucka, wprowadzającego do szybu wodę pod wysokim ciśnieniem, i ulepszonego przez Wolskiego sposobu płuczkowo-taranowego. Zapanował niepodzielnie kanadyjski system wiercenia, zastosowany przez Mac Garveya. System ten został przez naszych inżynierów udoskonalony i wykształcił kadry polskich wiertaczy, o których ubiegają się obce kraje, jak Ameryka, Rosja, Rumunia, Persja, Irak i Indie Holenderskie. Obecnie w obwodzie borysławskim mamy szyby głębokie ponad 1500 m. Imponująco wyglądają Borysław i Tustanowice! Najeżone setkami wież wiertniczych, oplecione labiryntem zbiorników żelaznych i ziemnych, omotane siecią rurociągów, w dzień toną w chmurach czarnego dymu, wśród których przebijają się białe wybuchy par, w nocy — jak prawdziwe „piekło” — występują zarysami swymi i żółtymi liniami latarń ulicznych w ciemno-szkarłatnej poświacie, gdzie o każdej porze widnieją tłumy spracowanych robotników. Spoglądając na czarne, ropą zbryzgane wieże, trudno uświadomić



sobie, że ta lekka, smukła, osobliwego kształtu drewniana budowla stoi nad głęboką raną, zadaną ziemi stalowym i diamentowym dłutem — „świdrem”, że praca nad dotarciem do podziemnego zbiornika ropy trwała rok lub dwa i pochłonęła setki tysięcy a nawet miliony złotych, wydanych, zda się, na ryzyko a powierzonych głębokiej wiedzy i doświadczeniu polskich geologów, badających główną oś i uskoki „siodeł” pokładów naftonosisnych. Wydobywające się z szybów gazy albo giną bezużytecznie albo też idą do palenisk kotłów parowych, do oświetlenia i do wydobywania z nich skroplonej gazoliny, stosowanej w precyzyjnych motorach spalinowych. Rurociągi

*...i jej portal gotycki*

doprowadzają ropę ze zbiorników, do cystern taboru kolejowego lub do rafinerii, które przerabiają ją na naftę do lamp, na benzynę, smary, surogat asfaltowy i inne produkty.



*Drohobycz w r. 1879*

Ileż to pracy, zabiegów i niebezpiecznych czynności ludzkich poprzedza chwilę, gdy lotna benzyna i gazolina dostanie się do motoru turysty lub nafta zapali się w lampie na stole prowincjo-

nalnego hoteliku! Przy wierceniu warstw roponośnych zamknięte w skorupie ziemi a znajdujące się pod ciśnieniem setek atmosfer gazy lub woda wyrrywają się nagle wyrzucając ciężką sztangę, świdy i rury, bombardując ludzi kamieniami i zapalają się huczącym i ryczącym płomieniem, którego, zda się, piekielnej siły nic osłabić i zwalczyć nie zdoła. Ale i wtedy, kiedy świder dotarł już do podziemnego jeziora naftowego, na życie ludzkie czyhają podziemne moce i czekają chwili, by zemstę swoją wyrzucić na zuchwałym i chciwym człowieku. Cicho, prawie bezszmerne ślizgają się tłoki pomp i z pluskiem głuchym wylewa się bura ropa, gdy nagle wyrwą się z niej i pękną z bulgotem wielkie bąble gazu. Wtedy najmniejsza nicostrożność powoduje wybuch, a po nim płomień ogarnia całą wieżę, pożera ludzi i rozlewa się w wielkie morze ogniste, grożąc całemu miastu. Ze wszystkich stron z trwożnym drganiem trąbek i rykiem syren pędzą wozy i taborzy straży pożarnej, a ludzie w mosiężnych hełmach na głowach ciągnąc za sobą długie węże brezentowe rozpoczynają walkę z rozszałym, złym żywiołem. Gdzieś biją na alarm dzwony, pędzą w popłochu przerażone tłumy, rwą się krzyki obłędu i szloch rozpaczliwy, turkocą koła i dudnią wozy, spieszące z beczkami i kadziami wody; biegną ludzie z rydlami, żeby czym prędzej piaskiem i żużlami zasypać granice buchającego płomieniami basenu ropnego i umiejscowić pożar; ścielą się czarną płachtą i gęstymi kłębami czarne dymy, oslepiają i duszą walczących z ogniem ludzi. Całe miasto spowija się dymem a na czarnym niebie pełza i drga złowieszczą luna.

Nie mają jednak niebezpieczeństwo z chwilą, gdy ropa, przepompowana do cystern kolejowych, dostała się do destylarni. Tam w żelaznych, zamkniętych kotłach, pod którymi z głośnym „parskaniem“ pali się ropa lub płoną wpuszczane do palenisk gazy ziemne, kipi i wre „czarna krew“ ziemi, oddając bardziej lotne składniki, a te przeszedłszy zawiałą sieć chłodni, deflegmatorów i suszarni gromadzą się w przeznaczonych dla nich zbiornikach przerobione na gazolinę, benzynę i naftę. W kotłach destylarni pozostaje materiał, używany do fabrykacji smarów i domieszek do asfaltu. W tych zakładach przemysłowych zdarzają się nieprzewidziane i niewytłumaczone nieraz wybuchy lotnych części ropy, pęknięcie kotłów i pożary — straszne w tym państwie lotnych i łatwo zapalnych płynów. Ogień szerzy się tu z błyskawiczną szybkością, wybuchy burzą gmachy i pożerają życia ludzkie, jak płomień lampy pożera ćmy nierozumne. Podziemne moce mszczą się okrutnie za chciwość ludzką, wytaczającą czarną krew z piersi ziemi.

Borysław stanowi rażąco przykładowe zaniedbanie ogólnej kultury zewnętrznej i braku szlachetnej cnoty wdzięczności, poświęconych na rzecz gorączkowego pędu do wyeksploatowania bogactw naturalnych i wzbogacenia się w najkrótszym czasie. Z wyjątkiem kilku nowych gmachów rządowych, biur firmowych i domów prywatnych miasto to przypomina w swym ośrodku zbiorowisko byle jak skleconych, brudnych ruder żydowskich. Ulice krzywe, źle lub wcale niebrukowane; rynsztokami spływa do małej, płytkiej rzeczki cuchnąca woda i nieczystości. Jakiś ohydny biwak, naprędce założony, skazany na to, by być porzuconym niebawem. Poza rygami i poza najwydatniejszą na świecie kopalnią wosku ziemnego i szarobrunatnymi „hałdami” — pagórkami ziemi, wydobytej z szybów kopalni wosku nie ma tu na czym zatrzymać wzroku. Po stokroć przeżyta ziemia, zwały wydobytych z jej piersi ilów, gliny i łupków, dym, śwąd ropy, kupy osmolonych belek i desek zmurszałych w ścianach ohydnych legowisk; tłumy spracowanego ludu i innego, który niby pijawka wysysa wszystkie jego soki; ponury jak gdyby opuszczony, zarosnięty i zapomniany cmentarz, na wpół zgniłe, zbutwiałe szkielety porzuconych wież, lepkie jak maź lub ropa błoto i czarne kałuże w głębokich wybojach ulic, zwałiska zardzewiałego żelaza, beczek, rur i kotłów, cuchnące śmietniki, pomruk ludzi umęczonych, krzyki kupczących, jazgot i świst maszyn, gruchot i turkot warsztatów i poza tym nic, nic, ani śladu wdzięczności dla tego miasta ze strony tych Żydów, Holendrów, Amerykanów, Belgów i Francuzów, którzy wraz z „płynnym złotem” wypompowali stąd i pompują jeszcze „dzwonne złoto”, rozplywające się po całym świecie!

Lesiste wzgórza okolic Borysławia wydają się tu zbyt czyste i nie na miejscu... Góry-Horodyszcze, z przełomem zatrutej Tyśmienicy, Dział-Wierch, Buchowy, Ciuchowy i Chaszczowaty jak gdyby sztydzą i urągają, zamiast świerków i buków jeżąc szczytami wież i trójek Mrażnicy, Schodnicy, Wolanki, Tustanowic — a wszystko stłoczone, skupione, niczym nie osłonięte, co budzi trwożne i dręczące myśli...

Duma porusza się wszakże w głębi duszy, gdy w świadomości utrwali się przekonanie o tak wielkim bogactwie ojczyzny, a jednak westchnienie ulgi podniesie pierś, gdy malowniczą szosą wyrwie się turysta z „piekła galicyjskiego” i wjedzie do Drohobycza — największego przecież miasta naszego Podkarpacia, słynnego z handlu solą z własnych warzeln i z napadów czambułów tatarskich i atamanów kozackich w w. XVII-ym. W starożytnej farze,

ufundowanej przez Jagiełłę, Chmielnicki wyciął w pień mieszkańców miasta, szukających schronienia w Domu Bożym. Widać, nie chcą drohobycczanie zapomnieć Kozaków, bo na chórze „ad rei memoriam aeternam“ umieścili malowidło, przedstawiające podobną rzeź w Humaniu. Wiele cennych zabytków, zbiór manuskryptów i ksiąg, tablice z wyrzeźbionymi na nich ważnymi faktami historycznymi, dobre freski, witraże, stare kaplice posiada fara drohobycka. W dawnym kościele karmelitów zagospodarowali się ruscy bazylianie. Natomiast na przedmieściach Drohobycza kler ruski zbudował w w. XVII-ym trzy cerkwie modrzewiowe. Jedną z nich pod wezwaniem św. Jura, budowlę o okrągłych kopułach i osobno stojącej dzwonnicy, przeniesiono ponoć z Kijowa, druga — św. Krzyża stoi obok saliny, trzecia zaś poświęcona jest św. Parasce. Cerkwie drohobyckie, szczególnie jednak św. Jura, stały się zapewne wzorem dla sakralnego budownictwa Bojków. Motywy ich, zmieniane nieraz i zniekształcane, powtarzają się zbyt często na Bojkowszczyźnie, aby nie wyciągnąć wniosku, że św. Jur w tej dziedzinie wycisnął swe ślady. Miasto żyje intensywnie, co zawdzięcza pobliskiemu ośrodkowi naftowemu. Powstały tu współczesna rafineria, największa w Europie odbenzjniarnia, dla której materiał surowy idzie rurociągiem z Borysławia i z Daszawy pod Stryjem. W okolicach Drohobycza, zgiekliwego i ruchliwego, w Wróblowicach, duma o innych czasach pałac hr. Tarnowskiego ze słynną galerią obrazów i kaplicą w potężnym pionie dębowym.

Ciekawe są stąd pieszce wycieczki malowniczą drogą do Stebnika i Truskawca. W Stebniku wykryto bogate pokłady kainitu i soli potasowych. Jest to drugie na Podkarpaciu miejsce z pokładami tych soli bezcennych a niezbędnych do fabrykacji nawozów sztucznych. Pierwszym jest Kałusz, gdzie oprócz soli kuchennej osiadły też warstwy kainitu, sylwinu i karnalitu.

Truskawiec od dawna zasłynął jako zdrojowisko, ściągające od maja do października około 18 000 chorych, którzy dojeżdżają tu koleją ze wszystkich krańców Rzeczypospolitej. Okolica tu lekko górzysta, klimat łagodny. Leżąc w zasięgu naftonośnego rejonu oraz pokładów soli zwykłej i potasowych, galmanu, cynku i ołowiu, źródła truskawieckie posiadają niezwykle różnorodny skład mineralny. Szeroko słyną popularna „Naftusia“, „Zosia“, „Marysia“ — skarby i dusza Truskawca. Łazienki, kąpiele słoneczne, zakład zdrojowy, korty sportowe, rozległy i malowniczy park, wzięwalnia, zakład helioelektroterapeutyczny i gimnastyczny czynią z Tru-

skawca jedno z najpopularniejszych i najskuteczniejszych uzdrowisk, do czego przyczynili się również przedsiębiorcy prywatni, budując wygodne wille. Wypoczynkowy dom oficerski i niektóre gmachy instytucyj publicznych są ostatnim wyrazem techniki budowlanej. O trzy kilometry od Truskawca znajdują się Pomiarki ze źródłem „drugiej Naftusi“, porzuconą już kopalnią wosku ziemnego, gdzie obecnie urządzono kąpielisko solankowce, pływalnię, plażę, kąpiele słoneczne i place dla gier na otwartym powietrzu. Tam też założone zostało Muzeum Truskawieckie im. Emmy Jaroszowej ze znakomitymi wprost zbiorami ptaków, roślin i mineralów, szczególnie zaś owadów. Z uzdrowiska, którego tło stanowią Horodyszcze, Belejów, Bobowiszcze i Orowska Skiba, kuracjusze odbywają nieuciążliwe i przyjemne wycieczki do bliższej okolicy i dalszej — aż do Urycza.

Tu się właściwie kończy ostatni krąg „piekła galicyjskiego“. Granica jego przechodzi na wschód od Truskawca — przez Stryj — ważny węzeł kolejowy. Miasto to stare, bo wiadomości o nim sięgają w. XIV-go. Istniało jednak zapewne w neolicie, bo o tym świadczą wykopaliska okoliczne. Na przestrzeni dziejów Województwa Ruskiego, na barkach swoich wraz z innymi miastami niósł Stryj brzemień wszelkich klęsk i pod murami swej doszczętnie teraz zburzonej twierdzy widział Tatarów, Wołochów, Kozaków i Turków. Wtedy, gdy królewski jej małżonek był za Karpatami, roznosząc sławę oręża polskiego, bawiła na zamku stryjskim królowa Marysienka, a koło niej pleciono misterną sieć francuskich i węgierskich intryg, z których triumfator spod Wiednia umiał się wyslizgiwać szczęśliwie. Stryj palił się często i ze starych zabytków pozostał jedynie kościół farny, posiadający majestatyczny portal renesansowy. Miasto rozległe, czyste, bez jakichkolwiek dużych gmachów, niestosownych wobec jego „stepowego“ charakteru. Na południu i wschodzie rzeźbią się daleko zielone i granatowe łańcuchy Karpat, a na północnej stronie znikają fale podgórza i przechodzą w kwiecisty step z żurawiami studni na równinie, która pobiegła aż hen — do Lwowa! Przy drogach tkwią krzyże murowane, a wśród nich — tam i ówdzie — wykute z piaskowca szerokoramienne, przysadziste — „greckie“, jakich mnóstwo pozostało na stepach pomiędzy dolnym Dniestrem a Dnieprem. Stryj żyje pod znakiem zapewne świetnej przyszłości Daszawy, gdzie wykryto najobfitsze na świecie źródła gazu ziemnego. W ciągu pięciu lat wydobyto tu jego 350 000 000 metrów sześciennych, co,

w przeliczeniu na ciepłik, odpowiada 35 000 wagonom najlepszego węgla. Gazociąg łączy tę wioskę z miastem. Zapewne niebawem już obok gazociągu daszawskiego założone zostaną inne też rury,



*Ratusz w Drohobyczu*

gdyż próbne wiercenia ustaliły również obecność ropy w ilości zdatnej do eksploatacji. Tam też założono stację dla badań nad magnetyzmem ziemskim. Ze Stryja, posiadającego dobrą komuni-



kację kolejową i autobusową, na wszystkie strony otwarta jest droga dla turysty. Niechże nie ominie on uroczej, pozostawiającej silne wrażenie pustelni w Rozhurczu. Założyli ją eremici-bazylianie. Przebywali tu w dolnych i górnych komorach, wykutych w skałach i zaopatrzonych w okna i drzwi. Wygodne schody prowadzą na wyższe piętra. W komorze, w głębokiej niszy widnieje kamienna ława i wnęki w ścianach; taka też wnęka, tylko znacznie większa, przechowała się we frontowej ścianie. Zapewne był tam umieszczony niegdyś duży krzyż, czy nawet obraz, przed którym palono lampkę, gdyż w skale wydrążono zagłębienia — „stupaje“, by bracia mogli wspiąć się na gzyms framugi. Pustelnicy odeszli stąd na zawsze. Nie budzi już w nich obaw ani wir życia, ani zgiełk miast. W ich porzuconym ustroniu osiedlili się inni samotnicy — nietoperze, co ze zgrzytliwym piskiem, bezszelestnie szybują nad drzewami szukając zdobyczy.

Takie to wytknięto granice „piekła“... Nieściśle są jednak. Gdzieś pod powłoką ziemi, niewidzialnymi szczelinami przedarło się ono na wschód, aż popod Kołomyję i Bitków, na zachód — do Biecza, Krosna, Jasła i Gorlic, a i na całym Podkarpaciu — aż po spychy głównego grzbietu Bieszczadów i Beskidu Niskiego.



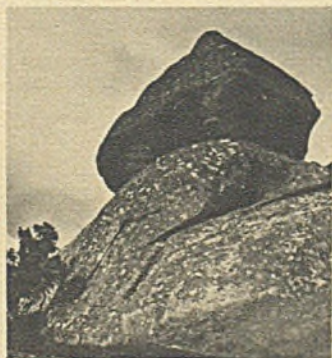
*Truskawiec — basen kąpielowy*



*Piękno i surowość znamionują przyrodę Karpat*

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### BESKIDNICTWO



*Potwór skalny*

„Czegoż się, błędny uskarżasz narodzi, los twój zwalając na obce uciski? Szukaj nieszczęścia w swej własnej swobodzie i boleć nad jej opłakane zyski”... — takie gorzkie słowa rzucił społeczeństwu swemu wychowanek jezuitów, biskup łucki — Adam Naruszewicz. Z owej właśnie swobody szlacheckiej wyrosły różne klęski, spadające na Polskę, na karpaccich zaś kresach jedna z nich, w pewnych okresach niezmiernie uciążliwa — beskidnictwo

także po część i w tym miało swe źródło. „Beskidnikami“ od w. XVI aż do końca XVIII-go nazywano słynnych zbójników górskich. Dwóch z nich — Janosik tatrzański i Dobosz czarnohorski urosło do rozmiarów i wspaniałości bohaterów ludowych i otoczyła ich swym urokiem legenda, uwieczniła poezja i sztuka. Poza tymi postaciami, istniały inne — stokroć szkodliwsze, niebezpieczniejsze i nieznośniejsze, gdyż wnosiły zamęt do burzliwego i ciężkiego na ogół życia w Beskidzie Niskim, Bieszczadach i na Podkarpaciu.

Niespokojne, jak już widzieliśmy, były te strony!

— Do panowania Władysława Jagiełły bodaj odłogiem leżały, nominalnie polskie, wistocie „bezpąskie“ puszcze karpackie, kędy najsmielsi tylko wdzierali się osadnicy polscy i inni. — Tam pomiędzy źródłami Dunajca i Świcy bezprawnie, przez nikogo nie śle-



*Jerzy Rakoczy, „ojciec beskidnictwa“*

su, gdy osady nasze posunęły się ku grzbieтови beskidskiemu, a potem — gdy przez przełęcz karpackie pobiegły drogi na Węgry, dobrze znane kupcom obu państw, gdy wreszcie przy tych drogach targowych powstały miasta i miasteczka: Krosno, Jasło, Gorlice, Biecz, Dobromil, Sambor, Sanok, Stryj i Dolina, — wtedy to beskidnictwo zmieniło swoją taktykę i bodaj w pierwszym rzędzie uczyniło Polskę celem swoich napadów. Zapewne były one częste i groźne, gdyż cały kraj podkarpacki oprócz „przesiek“ najeżył się zameczkami obronnymi Kmitów, Oświęcimów, Herburtów, Ba-

dzeni — mieli schrony swoje zbójnicy — wołoscy, słowaccy i madiarscy, którzy łącząc się nieraz w silne bandy czynili wyprawy na węgierską równinę i Siedmiogród, porywając bydło, kobiety i inny dobytek. Na razie nie byli oni groźni dla pogranicznych „pustoszy“ polskich, jednak z biegiem cza-

łów, Krasickich, Ligęzów, Jabłonowskich, Stadnickich, Kuropatów, Korniaktów i innych — za słabych dla wstrzymania wojsk regularnych, ale dostatecznych dla obrony przed opryszkami, gdyby rozprawa z nimi w polu nie przyniosła zwycięstwa. Krajnik skolski — Jerzy Wiśnicki w swoim raporcie o napadzie beskidników na Sławsko i Tucholkę wylicza z tradycji ustnej szereg nazwisk owych cudzoziemskich zbójników, z którymi porównuje współczesnych watażków. Wspomina więc o Węgrzynie Wyszyju oraz Gicie Syczynie i kilkunastu innych. W pamięci ludu tamtejszego wyrzeźbiły się głęboko imiona Bagi, Dernioła, Kusmaja, Tiszy, Gambusa i Walcy, których imiona, jak twierdzą niektórzy badacze średniowiecza Węgier, znalazły odbicie w ludowych pieśniach nad Ondawą, Latorycą i Seretem, albowiem groźne to były imiona dla obu stron grani Karpackiej. W czasach późniejszych, bo na początku w. XVII-go, a więc w okresie, gdy w górach i na podgórzu karpackim najpyszniej rozkwitł jadowity kwiat zbójnictwa, głównymi protektorami i organizatorami jego były możne węgierskie rody, mające swe posiadłości po obu stronach Beskidu Niskiego. Historia zapisała nazwiska Jerzego Drugetha de Hommonay, Aspermonta, Nagytuczy, Peteja, Rakoczego, Wesseleny, Tekelay, Bizy — panów węgierskich z górnego Laborca, gdzie mieli oni swoje zamki obronne — prawdziwe gniazda zbójcekie. Drugeth, możnowładca z Homonny, Lubowli i Pławca, otrzymał od Stefana Mniszcha w zastaw Założce, Chyrów i Laszki ze wspaniałym zamkiem obronnym. Tam to madzjarscy malkontenci założyli sztab, kwaterę intryg politycznych przeciwko własnej ojczyźnie i, werbując różną zbieraninę, oczajduszów, wywołańców, infamisów i zbiegłych z wień kajdaniarzy, czynili wyprawy na Siedmiogród i Spiż, oddawali całe prowincje polskie na łup swoim wojskom swawolnym — tym wszystkim „sabatom, seklom, raskom i donom“, na których uskarżał się królowi kasztelan oświęcimski Zborowski, opisując jak to „cudzoziemskiego autoramentu wolontariusze oraz lisowczycy pod wodzą Rogawskiego spustoszyli dobra rymanowskie, mel-sztyńskie, miasteczka i wsie, łupiąc i krzywdząc ludność“. W Humennem a nawet w Laszkach pod płaszczykiem też tej walki z Bethlen Gaborem, węgierscy panowie dawali u siebie schronisko opryszkom, którymi posługiwali się w wielu wypadkach. Drugetha otruła własna jego służba w Laszkach, lecz to stare gniazdo polskie dopiero w r. 1638 powraca do prawych właścicieli — Mniszchów. Nie ustają jednak zbójnickie wyprawy na ziemię sanocką, przemyską i sam-

borską, kierują zaś nimi ci sami „Humanaje“, Wesseleny, Berszeni i Tekely ze swoich zamków w Humennem, Użhorodzie, Munkaczu i Trenczynie pobierając od beskidników część zdobytych łupów. Sprawiedliwość nie pozwala zamilczeć, że wśród konfidentów niespokojnych sąsiadów spotkać można było nazwiska polskie — lisowczyków Brzezińskich i Klukowskich, szlachciców — Dubickiego i Strucia. Nazwisk Polaków-beskidników, z własnymi grasującymi watahami, kroniki ówczesne nie zapisały, więc zapewne szlachta udziału w tym nieczym procederze nie brała. Natomiast Huculi, Bojkowie, Tucholcy i górale tatrzańscy bywali „watahami“, do nich zaś często gęsto przyłączali się kmiecie, ale... Nie osądzajmy ich zbyt surowo; przypomnijmy wyżej przytoczone słowa Naruszewicza. Tak! Ciężkie miały życie rzesze kmieci dawnego Województwa Ruskiego. Panowie władający starostwami nie dążyli zwykle do osobistego rządzenia swymi włościami i w zastępstwie swoim osadzili podstarościch i dzierżawców — Polaków i Żydów, do dyspozycji ich oddając oddziały wojsk nadwornych. Nazwiska okrutnych podstarościch i dzierżawców ożywił Łoziński, wspominając tych „panów Odrzychłopskich“, jak Samuel Jabłonowski, Grabiński, Szaniawski, Pawłowski, Żyd Szaja z Doliny, Zaboklicki, Rykowski, Trojecki, Żyd Berko. Sami starostowie, właściciele posiadłości i rządcy ekonomii królewskich, jak Opałiński, Mniszech, Jerzy Krasicki, Stadnicki, sami nieraz gnębili i uciemieźali chłopów, którzy szybko, po „złoty czasach“ Jagiellonowych uboželi i zapominali o możliwości nawet tego, o czym w swojej „Przymówce Chłopskiej“ wspomina Kochanowski, gdy wkłada w usta kmiecia słowa: „Tak ci bywało, panie, pijaliśmy z sobą — a nie gardził pan kmiotka swojego osobą!“ Tymczasem pogarda ta rosła i zakorzeniło się przekonanie, że poddanego chłopu nikt bronić nie może i nie powinien, a tak święcie w to uwierzono, że za nic miano glejty i dekrety królów, usiłujących bronić kmieci; za pozyskanie zaś takich dokumentów okrytym opieką króla chłopom sprawiano krwawą łaźnię, poddając chłoście. Były to sprawy straszne i ponure. Słusznie jednak przestrzega Łoziński, ten oskarżyciel szlacheckiej, „złotej wolności“, przed bezwzględnością i uogólnieniem wniosków... „Winę ludzi — mówi — łagodzić należy koniecznie winą czasów“. Dzieje Polski tego właśnie najgorszego okresu znają innych też ludzi — szlachetnych, nie wspólnego z „Odrzychłopskimi“ nie mających — jak kasztelan Ligęza, kasztelan Stanisław Krasicki, jak Jan Jarmoliński, hetman Kalinowski i nie

mało innych, którzy za dobrodziejów włóścian uchodzili. Znamy teraz i widzimy w perspektywie czasu winy ówczesnej epoki, ale współcześni i do tego ci, którzy cierpieli najwięcej od „win czasu“ w pewnych okresach tracili resztki cierpliwości.

Wielki bunt chłopów r. 1648 wstrząsnął całym Podkarpaciem. Brała w nim też udział drobna szlachta polska: Krechowiccy, Hołyńscy, Uhernicy, Giżyccy, Berezowscy, Drohomirscy, Kryniccy

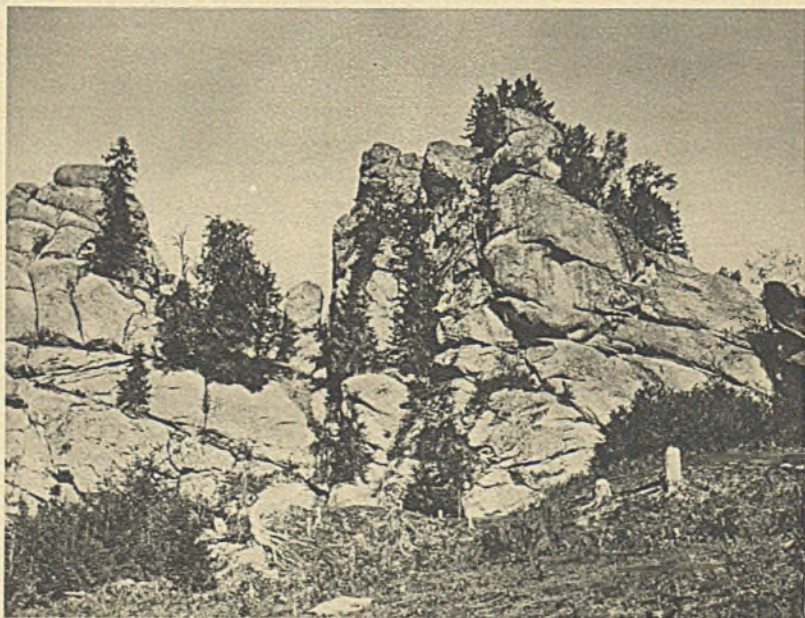


*Jarmarki podkarpackie pociągały chciwych zbójników*

— z Tucholszczyzny, spod Turki, Leska i Berezowa. Potem rozproszyły się te bandy uchodząc w góry i znikając w ich puszczech i głębokich wąwozach. Tam do nich przekradali się ściżgani chłopci z Doliny, Łużków, Spasa, Tyrawy, Turki, Skosolego. Cóż mieli robić po dokonaniu „hołownictwa“-mordu? Grasowali w pojedynkę lub całą bandą tak długo, aż nie ściął ich kat w Bieczu, Przemyślu

lub Samborze. Byli to zbójnicy, napadający dla kawałka chleba, dla tego, by przeżyć choćby jeden jeszcze dzień. Toteż w potyczkach „przewoźników“, prowadzących karawany kupieckie przez przełęcze, nigdy nie zanotowano rodzimych „beskidników“ w całym znaczeniu tego pojęcia. Zorganizowane, zuchwałe napady dokonywały madziarskie i słowackie watahy, przechodzące i ukrywające się potem w Humennem, a nawet w Trenczynie i Užhorodzie.

„Królewęta“, na Podkarpaciu rządzący się po-swojemu, prowadzący wojny domowe, posługiwały się nieraz opryszkami, ściągając



*Kryjówki zbójckie w skałach Urycza*

ich z górskich kryjówek, lub uzbrajały młodych kmieci, gnębionych niemilosiernie przez swych panów. Była to szkoła sztuki wojennej dla czynnych i przyszłych zbójników, szkoła praktyczna, bo wiemy, jak wiele zameczków i innych „fortalicji“ padło w tym czasie pod ciosami coraz śmielszych i liczniejszych band. Że działalności beskidników po naszej stronie przyświecała rozpacz, mściwość i przesądzenie o swym bezprawnym stanie, dowodzi udział sporej

liczby popów, grających wybitną rolę uczestników, doradców a nawet przewodców w tym ruchu. Nie tylko jednak możni panowie posiłkowali się opryszkami dla swoich prywatnych spraw. Wszelkie korzyści płynące z dobrych stosunków ze zbójnikami w lot ocenili Żydzi. Akta ziemi przemyskiej, halickiej i sanockiej niejedną przed nami odsłonią machinację, gdy to Żydzi byli



*Karczmy stojące na uboczu...*

„nawodcami“, szpiegami, wywiadowcami i paserami zbójnickich watażków, dostawcami broni dla nich, amunicji i koni, organizatorami kryjówek w miejscach zaludnionych i niebezpiecznych. Wielu z kupców, szynkarzy i karczmarzy żydowskich doszło do zamożności, prowadząc konszachty z beskidnikami, obdzierając i oszukując ich, jak gdyby ci nie mieli pistoletów za pasem i noża w garści. Zdobyć zbójnicką, nabytą przez Żydów, tajemnymi płajami przetrucano na węgierską stronę, gdzie kontragentami Hommonayów, Wesselenych i Rakocznych byli również Żydzi z Bardiowa, Preszowa i Użhorodu. W wieku XVII-ym przełęcz karpackie i nieznane przełazy w górach stały się źródłem stałych dochodów dla ludności doliny Świcy, Oporu, Stryja i Beskidu Niskiego, zupełnie tak, jak San i Wisła dla właścicieli i dzierżawców lasów

posyłających do Gdańska dębinę, świerkowe belki, wańczosy, smołę i potaż. Bojki, Tucholcy, drobna szlach.



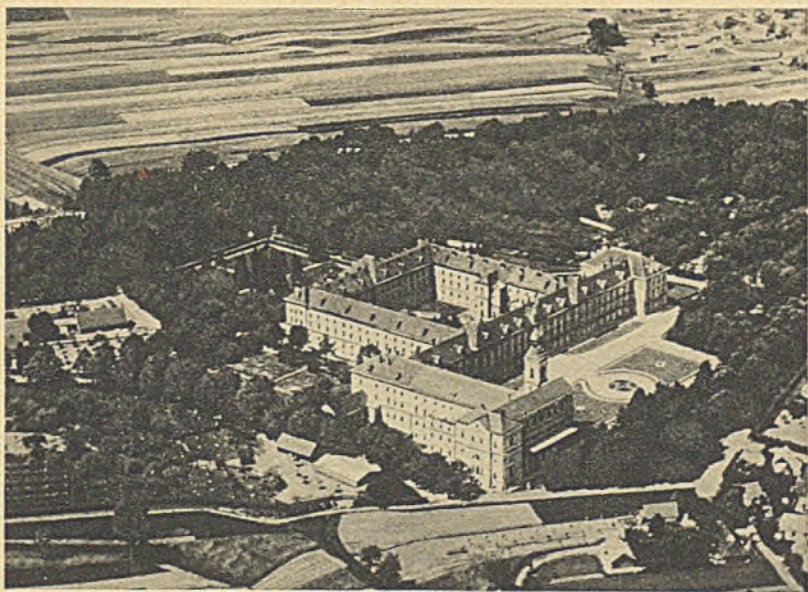
*...dawały zbójnikom schronienie*



ta i mieszczenie trudnili się przemysłem zdobyczego dobra opryszkowskiego i stawali się ich wywiadowcami, dostawcami koni, ludzi, prowiantu i kwater bezpiecznych. Niebywale rozpowszechnione łowiectwo w dobie wprowadzenia ochrony lasów i granic górskich automatycznie zwiększyło kadry zbójników. Góral, — kłusownik, wytropiony przez strażników lub w potyczce z nimi zabijający człowieka, nie miał innej drogi — tylko dać gardło z wyroku sądownego, albo zbiec w góry z bronią w rękę. Jednak, gdy ustaliło się w tej dzielnicy prawo i stało się ogólnym i ścisłym, w Karpatach, niby mgła nad wierchami, znikli beskidnicy i pospolici opryski. Górale z Beskidu i Bieszczadów nie pamiętają już żadnego nazwiska dawnych watahów. Znają tylko imię Dobosza. Ale to czarnohorski bohater i zapewne legenda tylko opowiada o tym, że kulawy Ołksa aż pod Łupkowską zapuszczał się przełęcz. Opryszków w w. XVII stworzyła i wychowała szlachta swawolna, głucha na ostrzegawcze głosy Orzechowskiego, Modrzewskiego, Klonowicza, Górnickiego, Skargi, Starowolskiego, Zamoyskiego i owego dominikanina, kaznodziei przeworskiego, surowego i płomiennego jak wielki inkwizytor.



*Stary Lemko*



*Zakład wychowawczy w Bąkownicach pod Chyrowem*

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### NA SZLAKACH KUPCÓW I NAJEŹDŹCÓW



*Kościół w Nowotańcu  
(pow. sanocki)*

Od przełęczy Tylickiej, Łupkowskiej, Dukielskiej, Beskid i Użockiej od dawien dawna przeciągnęły się trakty handlowe w głąb Podkarpacia do tych miast, które na drogach targowych powstały. Czynne, ruchliwe, przedsiębiorcze były te miasta, jak Sambor, Dobromil, Chyrów, Brzozów, Krosno, Jasło, Biecz i Gorlice; ożywiły one i do rozkwitu doprowadziły w w. XVI-ym handel z Węgrami i dalej nawet położonymi krajami, więc nic dziwnego, że królowie i wojewodowie troszczyli się o te ośrodki polskie, bronili ich

stawiając zamki lub kościoły warowne, chętnie obdarzali przywilejami i korzystnymi dla tych miast nadaniami.

Nad Dniestrem, w pobliżu ujścia Strwiąża, w w. XIV-ym usadowił się Sambor, gdzie rychło ufundowano wielką i bogatą świątynię; po wielu pożarach i przebudowaniach odmieniały się wielokrotnie jej kształty. Rządzili tą królewsczyzną wojewodowie, co ustalił



*Krzysztof Szydłowiecki*

Jagiello, gdy w r. 1415 odwiedził to — kresowe wówczas miasto, rozumiejąc zapewne znaczenie jego dla kraju. Rozumieli to też Tatarzy czyniący napady na Polskę, bo raz po raz zapuszczali tu swoje zagony, łupili mieszkańców, brali ludzi do jasyru i palili miasto. Zmuszało to wojewodów do ufortyfikowania Sambora — chociaż zwykłe wały i palisady już nie mogły zabezpieczać miasta od napadów Tatarów i Węgrów. Dopiero w r. 1530 kasztelan krakowski — Krzysztof Szydłowiecki opasał miasto wysokimi i mocnymi murami, pod którymi w sześćdziesiąt lat później hetman Jan Zamoyski stoczył z hordą tatarską jedną z największych bitw z najeźdźcami stepowymi. W mieście tym wojewoda Mniszech na zamku, przez siebie wzniesionym, rozpoczął konszachty z Dymitrem Samozwańcem, omawiając swój udział w jego szalonej awanturze i związek małżeński swej córki Maryny z przyszłym „carem“ moskiewskim. Tu też jezuita, ksiądz Pomaski nawracał i przygotowywał Samozwańca do przyjęcia rzymskiego chrześcijaństwa i stąd właśnie wyruszyła dumna wojewodzianka do Moskwy,

na tron carów rosyjskich, na burzliwe życie i tragiczną śmierć. Za panowania Zygmunta Starego wydany został dekret, zabraniający Żydom osiedlać się w Samborze poza granicą „ghetta“, jakim było przedmieście Blich, co też potwierdziła Bona, gdy rządził Polską syn jej, Zygmunt August. Mało więc tu było Żydów aż do Augusta II, który obdarzył ich przywilejem wolnego handlu i zamieszkania w Samborze. Miasto to widziało w swoich murach króla Jana Kazimierza i Jana III, do którego szeregów wyruszających na wybawienie Wiednia, między innymi wstąpił samborzanin, szlachcic polski, Jerzy Kulczycki, wsławiony założeniem w stolicy naddunajskiej pierwszej kawiarni. W drugiej połowie w. XVII-go zbudowano na obszer-  
nym rynku ratusz z wysoką wieżą, skąd czaty z daleka widzieć mogły zbliżających się nieprzyjaciół. Kościół powstał na miejscu starożytnej świątyni; liczne były w nim pamiątki z czasów Sobieskiego i bogate vo-  
ta dziękczynne, składane tu po zarazie morowej, przyniesionej przez Turków. Z biegiem czasu ufundowano w mieście barokowy kościół bernardynów i klasztor brygidek, gdzie obecnie



*Św. Jerzy z kościoła w Libuszy pod Bieczem*

w tym starym, nastrojowym gmachu mieści się polskie muzeum, gromadzące ciekawe dokumenty znalezione w archiwach miejskich, cechowych i prywatnych, a niezbędnie tu potrzebne wobec dobrze zorganizowanego muzeum bojkowskiego z bogatymi zbiorami etnograficznymi, mającymi niestety posmak niepotrzebnej i jątrzącej propagandy politycznej.

Miasto zajmuje duży teren, posiada gmachy współczesne i park. Samborszczyzna od dawna była zaludniona, o czym świadczą liczne tu grodziska, przyciągały tu bowiem ludzi duże rzeki — Dniestr i Strwiąż i żyzne ich doliny. Na zachód od Sambora, połączony z nim koleją, wśród wzgórz, okrytych polami lub zaroślami brzoź



*Ratusz w Samborze*

i buczyny, zaczął się nad Strwiążem Chyrów, gdzie na najwyższym punkcie usadowiło się kolegium i zakład wychowawczy o. o. jezuitów z potężną, wyniosłą wieżą kościelną. Obok brudnego i zapuszczonego miasteczka — tym wspanialej wygląda jezuicka siedziba, z której wyszły całe zastępy zasłużonych i wybitnych wychowanków

słynnej uczelni. Założono ją na tym samym miejscu, gdzie niegdyś ważne i brzemienne w następstwa sprawy przechodziły przez ręce Ossolińskich, Mniszchów i węgierskich Drughetów. W pobliżu Chyrowa znajduje się szereg bezcennych zabytków naszej przeszłości. W Felsztynie komuś grozi jeszcze zbudowana w XIV w. czworoboczna baszta obronna Herburtów z zamurowaną bramą wjazdową; tamtejszy gotycki kościół z w. XVI-go, posiada rzadką polichromię gotycko-renesansową; w zwornikach — herby Korczak, Nałęcz i Ogończyk. W Sąsiadowicach również pozostały ślady Herburtowe, gdyż o ich wielkiej pracy w tej ziemi świadczy warowny klasztor karmelitów. W Laszkach Murowanych w gruzu się rozsypuje smutna ruina renesansowego zamku z herbami Tarłów i Mniszchów; cień Maryny, córki woj. sandomierskiego, błąka się tu wszędzie, gdyż stąd z posłem cara-samozwańca wyruszyła na ślub do Krakowa.

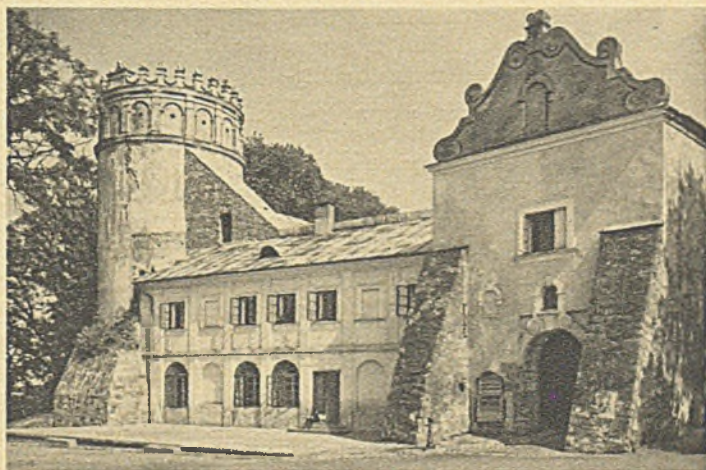
Szosa i kolej biegnąc na północ mijają wioski stojące w głębokich i często zalesionych jarach, przecinają pola uprawne, które okryły wszystkie wzgórza okoliczne. W tej miejscowości nad Wyrwą, która wpada do Wiaru, możni Herburtowie założyli niegdyś swoją stolicę Dobromil, gdzie powstała w r. 1560 drukarnia, słynna z wyłoczonych w niej utworów Kadłubka, Orzechowskiego i częścią kroniki Długosza, za co Zygmunt August nadał tej osadzie prawa miejskie. Bogate to było miasto, posiadające największe piwnice, do których przywożono na wychowanie wino „in Hungaria natum, in Polonia educatum“. Dokoła Dobromila wznoszą się stożkowate, urwiste wzgórza, a na jednym z nich tkwią ruiny zamku warownego Herburtów. Legenda głosiła, że każdy z tych panów po śmierci przeistaczał się w siwego orła, toteż szanowano orły w całej samborszczyźnie i w ziemi przemyńskiej, lecz jeden z Herburtów, by pochwalić się celnością oka, z kuszy ustrzelił króla ptaków i wkrótce potem zmarła ostatnia męska latorośl znakomitego rodu. Herburtowie wygaśli w 1646-ym roku, po czym Dobromil wraz z warzelniami soli odziedziczyła rodzina Czuryłłów, po nich zaś Krasieńscy. Dobromilski zamek Herburtów nieraz opierał się Kozakom, Węgrom i Szwedom. W okolicy miasta na wzgórzach rozmieścił się ponury klasztor bazylianów z ciemnymi krużgankami, portretami Herburtów, Czuryłłów i Krasieńskich. Wśród okolicznych pagórków umieścił się cichy Radycz, który ma groźną przeszłość walk w r. 1914/15.

Kolej w powiecie leskim mija Ustrzyki, gdzie Związek Strzelecki ma swoje szybowisko. Aeroklub lwowski i wojsko zorganizowały szybowiska w Bezmiechowej i Ustianowej na idealnych dla tego

sportu terenach. Wzdłuż linii kolejowej wszędzie dojrzeć można tartaki, zbiorniki ropy, składy drzewa — pierwsze odgłosy krosnieńsko-gorlickiego zagębia naftowego z jego niegdyś bardzo bogatym ośrodkiem w Potoku. Miejscowość lekko górzysta, najczęściej zaś równinna, gdzieniegdzie urozmaicona gajami bukowymi. Na polach pracują ludzie, pasą się krowy i konie, biją w oczy po polskich wsiach czerwone chaty biało pasiaste. Po obu brzegach Wisłoka na pagórkowatym terenie leży Krosno, znane od bardzo dawna, bogate niegdyś i warowne miasto, z którego pochodził mistrz poezji łacińskiej Paweł, późniejszy profesor Akademii Krakowskiej. W tej malowniczej miejscowości w r. 1348, za panowania Kazimierza Wielkiego, powstało Krosno. Z zachodu i wschodu otacza je równina, mniej lub więcej pogarbiona wzgórzami; z południa szafirowe ściany ich przegradzają zielony widnokrąg; od północy widoczne są lesiste wyniosłości, gdzie z ciemnej zieleni wycierają ruiny zamku odrzykońskiego i do murów i baszt podobne skały w Czarnorzekach, „Prządkami“ zwane. Kazimierz Wielki osobił opiekę nad Krosnem, dając mu przywileje i opasując murami z dwiema bramami i czterema okrągłymi jak barbakan krakowski basztami. Krosno potrafiło wykorzystać swoje fortalicje odpierając w roku 1474 wojsko węgierskiego króla Macieja i inne najazdy. Jednocześnie król zbudował tu kazał wspaniałą kościół gotycki, który bogactwem swoim sprostać był niemal w stanie katedrze krakowskiej, mając piękne grobowce, osiemnaście złotych ołtarzy bocznych, kaplice, obrazy, ofiarowany przez jednego z mieszczan trochę mniejszy od „Zygmunta“ dzwon „Urban“. Od początku wieku XVI i do połowy XVII-go Krosno dochodzi do szczytu swej zamożności, znaczenia handlowego i rozwoju licznych cechów. Kres temu położył Rakoczy, który w 1655 roku Krosno zdobył i złupił. Z trudem poczynało dźwigać się już z rumowisk, gdy nadciągnęła nowa burza wojenna — zatarg Karola XII z Augustem II, po czym posłany na lustrację pan Michał Humnicki donosi, że „Krosno dla wspaniałości murów i kamienic przez porównanie in parte w wolnościach ze stołecznymi miastami, bytnością królów zaszczycono. Przed czasy parva Cracovia nazywane, teraz na ostatnią przyszło ruinę i tak okropne spustoszenie, iż słusznie przypisać można: „nec locus ubi Troja fuit“, będąc pierwiej całej ziemi przed zbójcami węgierskimi receptaculum“.

Istotnie ślady zaledwie pozostały po dawnych murach, ale na rynku można oglądać stare kamienice z podcieniami, w któ-

rych szczególnie lubowali się Szkoci Porcjusze — mieszczenie krośnieńscy i panowie Skotniccy z Czarnorzeki; w farze mnogie wichury dziejowe przetrwały piękne rzeźby w drzewie dłuta uczniów Wita Stwosza, zabytkowa kazalnica, stalle, obrazy, nagrobki, ornaty, a z nich — najstarożytniejszy — tkany podobno i haftowany przez małżonkę Kazimierza Wielkiego — Aldonę, — córkę landgraфа heskiego, którą jej królewski małżonek porzucił i osadził na zamku w Żarnowcu. W kościele franciszkanów, zacisznym, otoczonym starymi



*Zamek w Przemysłu*

drzewami, z stołgłosymi korytarzami klasztorными i powodzią kwiatową, w bocznej kaplicy rzuca się w oczy znakomitego pędzla obraz. J. Łepkowski w r. 1852 dowodził, że to Van Dyke stworzył owe wskrzeszenie Piotrowina przez św. Stanisława, ale na płótnie zwracając od razu uwagę turysty panowie w kontuszach, szlachcianki w polskich sukniach połowy w. XVII-go, — swojskie, lechickie oblicza i postacie. Jest to „kaplica Oświęcimów“. Tam pod płytami posadzki leżą szczątki niezwykłych „kochanków“. Brat i siostra — Stanisław i Anna ze znamienitego rodu Oświęcimów — zapałali do siebie tak gorącą miłością, że postanowili wstąpić w związek małżeński. Stanisław wyruszył do Rzymu, gdzie strawił dwa lata, dobijając się dyspensy Watykanu. Uzyskał ją w końcu i, gdy szczęśliwy powrócił do domu, Anna, posłyszawszy radosną nowinę,



padła martwa; w kilka zaś miesięcy po jej zgonie zakończył życie niepokieszony brat, zatruty rozpaczą i tęsknotą. Taka to jest ta legenda krośnieńska i trzeba przyznać — jedyna bodaj w Polsce na modłę francuskiej o Abelardzie i Heloizie. Jest to legenda gorsząca — bo poetyzuje kazirodczą miłość. — W kaplicy, pysznie ozdobionej stiukami Falconiego i czarnym portalem Petroniego, pod portretem „kochanków“ widnieje napis łaciński „Anna de Kunowa Oświęcimówna, carissima fundatoris soror“ i „Stanislaus de Kunowa Oświęcim, fundator.“ Legenda o Stanisławie i Annie zwracała na siebie uwagę uczonych, pisarzy i dramaturgów. Bardzo plastycznie i zajmująco ujęła to wszystko pani Nawoja Sarnówna w swoim artykule („Prosto z mostu“, 1938). Dowiadujemy się, że tak poważny historyk, jak Karol Szajnocha zbadał „pseudo-romans krośnieński“ i przekreślił legendę o Oświęcimach. Materiały, zaczerpnięte z dziennika samego Stanisława Oświęcimsa, obalają każde słowo legendy. Rodzeństwo kochało się „miłością rodzinną“ — zapewne opromienioną wzajemnym uwielbieniem, co w w. XVII nie było cechą nagminną; o kazirodztwie w owych czasach mowy być nie mogło; Stanisław



*Jerzy Mniszczek*



*Dymitr Samozwaniec*

w ostatnich latach życia Anny do Rzymu nie jeździł; Oświęcimówna chorowała 25 dni, a śmierć jej nie była nagła, gdyż „in gravescente morbo et feбри calida degenerante in malignam“ przebywała chora — słabnąc coraz bardziej; Stanisław po śmierci siostry żył długo jeszcze i dużo podróżował. W podziemiach kaplicy Oświęcimów w trumnach rozsypują się powoli kości bohaterów romansu krośnieńskiego, nieśmiertelna zaś legenda żyje. Powtarzają ją wszystkie przewodniki i żebraczkę przed kościołem. Grzeszna miłość! To drażni wyobraź-



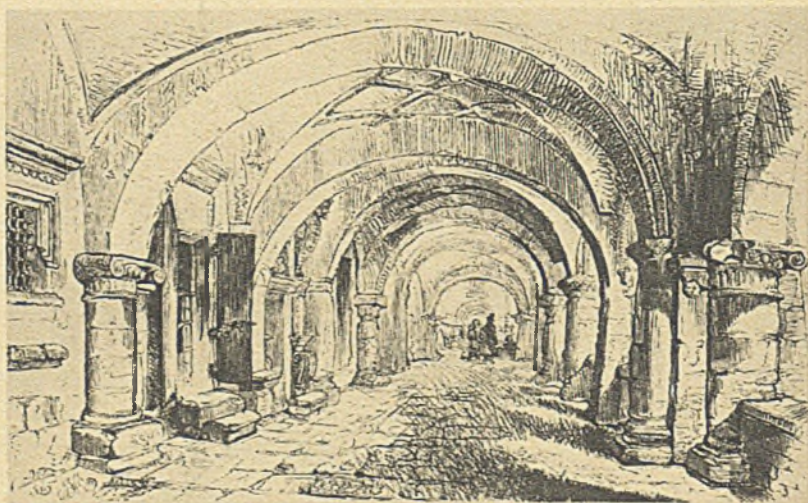
*Caryca Maryna ukrywająca się przed pogońią*

nię, zaciekawia, podnieca. Mniej by się zapewne podobało prawdziwe opowiadanie o pięknej, pełnej szacunku, uwielbienia i delikatności, rzewnej miłości braterskiej, z głębokim uczuciem i przekonywującą prawdą opisaną przez Stanisława Oświęcima. Wielcy ludzie i wstrząsające wypadki tworzą legendy. Tworzy je też nikczemna plotka. Ona to była źródłem legendy krośnieńskiej... Kościół kapucynów

zbudowany został z ciosanych bloków, zdartych z zamku odrzykońskiego; drewniany kościółek zaś św. Wojciecha stanowi cenny zabytek budownictwa epoki Zygmuntowskiej.

Krosno współczesne, czyste i ożywione miasto, otrzymuje stałe zastrzyki energii od okolicznego przemysłu naftowego, rafinerii ropy, fabryk gumowego obuwia, tkanin lnianych i huty szklanej.

Z daleka w zdumieniu patrzą na nowe życie Krosna i nasłuchują wspañałe ruiny zamku Kamień, znanego bardziej pod nazwą — Odrzykoń. Potężne jego baszty i mury od w. XIV z mozołem wznosili Moskorzewscy, Firlejowie, Kamienieccy i Oświęci-



*'Krośnięskie podcienia*

mowie, jak gdyby spajając skarpy i przyciesie ich ze skałami wzgórza, w którego łonie nieznanymi budowniczo wyculi labirynty głębokich lochów z podziemnymi przejściami, rozchodzącymi się w różnych kierunkach. W r. 1657 wysadzili go w powietrze Szwedzi. Pod murami sędziwego zamku siadywał Seweryn Goszczyński i słuchał, co mu opowiadał stary Kajetan Szypuła, bard Odrzykonia i kustosz wszystkich o tym zamku legend groźnych i pięknych. Skały, z których wyłoniło się przed siedmiu wiekami to olbrzymie zamczysko, przesunawszy się pod próchnicą i runem lasu, wyłaniają się znowu o dwa kilometry na wschód, gdzie tworzą naturalne mury, blanki,



*Marcin Kromer*

łożenia w dorzeczu Ropy, Wiśtoki i Jasiołki, staje się ono niebawem miejscem handlowym, szybko się zaludnia i wzbogaca. Przerzywa jego dobrobyt pierwszy najazd Mongołów a za nim w kilkanaście lat — drugi. Cystersi władali Jasiłem do r. 1366 i potrafiliby uzyskać dla niego różne przywileje od polskich książąt, co podnosiło miasto materialnie. (Wymieniał je Kazimierz Wielki na inne wsie, po czym miasto poczęło się rozwijać jeszcze pomyślniej). Losy jego pogarszały się od zawieruch wojennych, od działalności chciwych starostów jak Mniszech i Struś, co to „żadnej wyprawy wojennej nie opuścił“ i od bezprawnego rządzenia się jego małżonki — Zofii, osoby niezmiernie zachłannej; miasto częstokroć cierpiało od pożarów i postojów wojska jak na przykład oskarżonych o gwałt towarzyszków chorągwi wojewody braclawskiego — Stanisława Potockiego i od ciągłych procesów sądowych pomiędzy mieszczanami jasielskimi, cechami, szlachtą okoliczną, oo. karmelitami. Miasto w końcu podupadać poczęło. Kupcy i cechowi jeden po drugim opuszczali miasto, które szybko się wyludniało, kamienice się waliły, place świeciły pustkami. Jury był

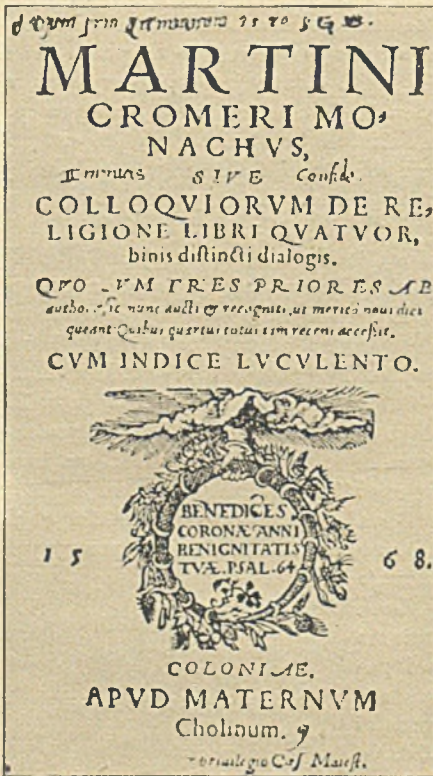
bramy i baszty. Lud okoliczny twierdzi, że są to „prządki“ — zamienione w kamień córki grafa Herenberga, ukarane w ten sposób za to, że tkwały płótno dla swych oblubieńców, chociaż wypadła właśnie Wielka Niedziela.

Ze starego Krosna niedaleko do jeszcze starszego Jasła, które pod nazwą wsi Jasiel znane już było zapewne w końcu XII stulecia, ale w każdym razie dokumenty stwierdzają, że za panowania Leszka Czarnego znakomity rycerz Mikołaj Bogorya, zakładając w Koprzywnicy klasztor cystersów, oddał im kilka wsi, a w tej zaś liczbie i Jasło. Korzystając z wygodnego po-



*Wilkom cechu w Bieczu*

jednak ów mieszczański ludek jasielski, w nieznacznym tylko stopniu zmieszany z kilkoma rodzinami szlacheckimi, pod wodzą Górskich osiadłymi w mieście. Sądźmy o takim właśnie charakterze patrycjuszów jasielskich z ceduły lustracyjnej z r. 1564, gdzie czarne na białym stoi, że dla wielkiego pyaństwa a stąd zabywania



y ynszych zbitków należałoby zakazać palenia i wyszynku gorzałki — (ks. W. Sarna). Ten przemysł był dziełem chciwości rąk Żydów, którzy omijając zakaz królewski umieli przez starostów wkradać się do Jasia, „mieszczanom w handlu przeszkadzać i wiktuały podkupywać“, a przede wszystkim jednak pijaństwem demoralizować społeczeństwo. Pomyśleć tylko, ile musiało tam być szynków, kiedy po spaleniu miasta przez Szwedów w roku 1655 pozostało zaledwie dziesięć domów mieszkalnych, ale za to jedna karczma i 5 szynków! Murowany kościół wystawiony w XV wieku przez scholastyka sandomierskiego, Stanisława Cielątka i Mikołaja Ciołka, mocno ucierpiał wtedy, a szynki żydowskie, zachowały się zdrowo. Bądź co bądź fara stoi na dawnym miejscu — i ze sklepień swoich świeci herbami Półkozic, Gryf, Topór, Trąby, Jastrzębiec, Odrowąż, Pi-

Karta tytułowa Kromerowego dzieła

ława, Strzemię, Śreniawa i Piastowskim Orłem Białym, utwierdzając w pamięci potomnych tych, którzy nie szczędzili ofiar na Dom Boży. Franciszkanie i siostry wizytki mają tu swoje świątynie, ale za panowania austriackiego zniesiony został klasztor karmelitów z cudownym obrazem N. Panny Węgierskiej i studnią, poświę-


coną przez św. Wojciecha. Podobno dostarczało tu wody źródło błogosławionego Jana z Dukli. Teraz studni tej nie ma, ale ludzie miejscowi pokazują turyście źródło przy drodze do Tarnowa i twierdzą, że płynie ono z puszczy dukielskiej i znakomicie pomaga na choroby.

Wykrycie i eksploatacja pokładów naftowych znowu podniosły Jasło, które się rozbudowało i wzbogaciło nowymi gmachami i nową ludnością. W dobie, gdy w sąsiednich Gorlicach szalały potworne bitwy, ostatnia wojna światowa dotknęła Jasło mniej niż inne miasta okoliczne — gdyż znajdowała się tu główna kwatera. Podczas chlubnych walk o niepodległość Polski — gimnazjum jasielskie zaszczytnie się zapisało w historii tego okresu. Wychowankowie starszych klas — i większość profesorów — zgłosili się do oddziałów ochotniczych. Wmurowana w holu szkoły tablica wymownie świadczy o bohaterstwie poległych uczniów i profesora, którzy w krwawym roku 1920 ojców poszli śladem, potomnym na przykład.

W okolicy Jasła na wysokości 560 m wznosi się

góra Liwocz. Jakżeż piękny i rozległy roztacza się z niej widok! Ogromna część Podkarpacia i dołów sanocko-jasielskich leży jak na dłoni aż hen — po Rymanów. Majaczy na horyzoncie grzbiet Karpat. W dolinach i na równiach przedgórza w każdym miasteczku i wsi widnieją dowody pracy Polski na tej podgórskiej polaci: tam grodzisko, zamek Golesz, Bezdzedza z gotyckim kościołem

HISTORIA POLONICA  
**IO ANNIS**  
**DŁVGOSI**  
 SE V LONGINI  
 CANONICI CRACOVIE.  
 IN TRES TOMOS  
 DIGESTA.  
 Autoritate & Sumptibus  
**HERBULTI DOBROMILSKI**  
 EDITA



**DOBROMILI,**  
 In Officina Ioannis Szcligx, Anno D. 1615.

*Druk oficyny w Dobromilu*



*Polężne ciosowe kolumny kościoła farnego w Bieczu*

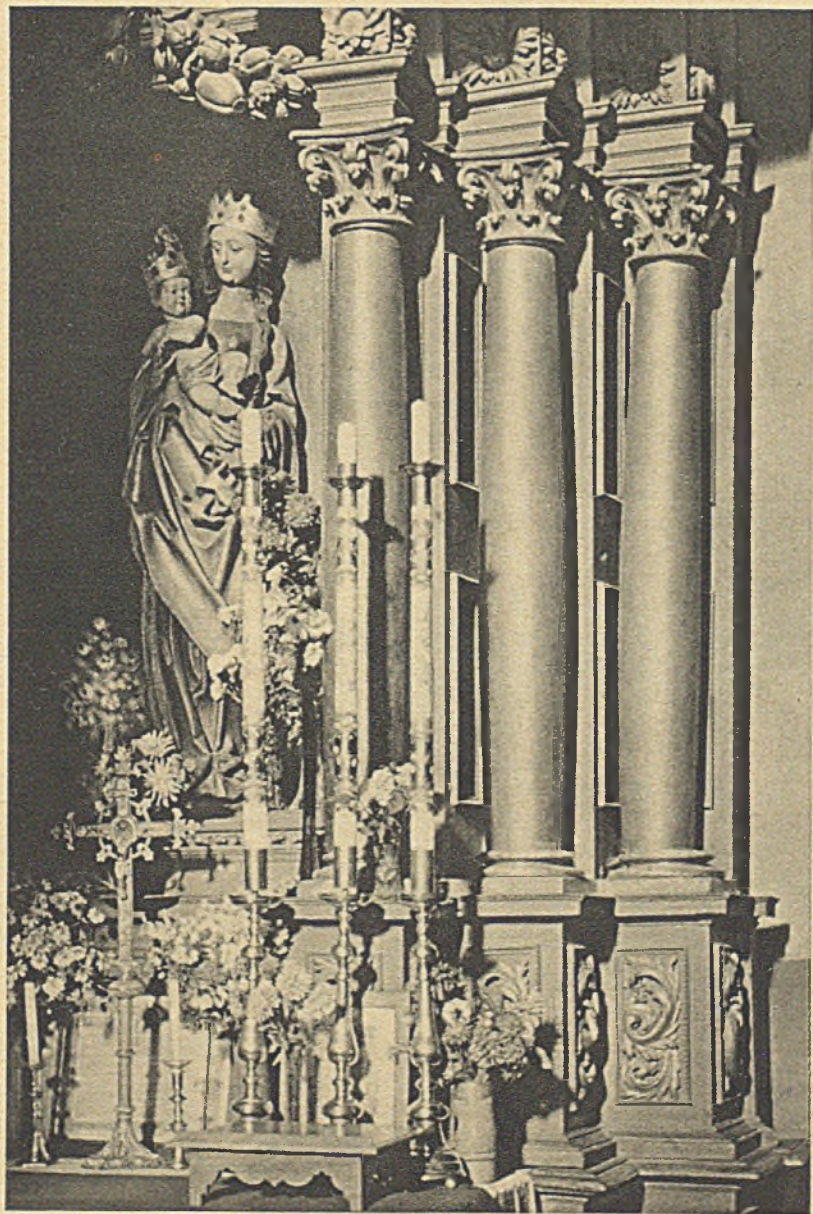
i dzwonną wieżą, stare Kołaczyce, a w pobliżu tego miasteczka — Biezdziatka, w której w XVIII-ym w. była fabryka gobelinów, dalej Osiek, gdzie stał jakiś zamek i pozostał z dawnych czasów stary kościół drewniany z w. XVI-go; i znów stare a bardzo miłe miasteczko Frysztak. W powiecie znane są i uczęszczane źródła lecznicze w Wysokiej, Nawsiu, Turaszówce i Głębokiej. Doskonała glina koło Strzyżowa spowodowała powstanie w nim „stolicy“ garncarzy podkarpackich. Okolicę przecina dawny gościniec, przy nim zaś, na pagórku, nad łożyskiem Ropy, stłoczyły się domy jednego z najstarszych miast Polski — Biecz, istniejącego jeszcze w w. XI-ym. Na zamku bieckim nieraz gościli nasi królowie i królowe, a między nimi Jadwiga, która założyła tu zamek, przytułek dla ubogich i szpital. Gdzieniedzie tylko można wykryć ślady starych murów i obejrząc okrągłą basztę przysadzistą. Biecz z nadania Wacława czeskiego należał do kapituły krakowskiej, lecz Łokietek wskutek ciągłych napadów Węgrów, odebrał miasto biskupowi Muszkacie, do „stołu“ królewskiego przyłączył i wzmocnił nowymi murami. W Bieczu odbyły się zaręczyny Władysława Jagiełły z Anną, wnuczką Kazimierza Wielkiego. Mieszkańcy, jak głoszą niektóre kroniki, z wody Ropy w owych już czasach warzyli sól, a z piany w kotłach wydobywali siarkę. Do końca XVI-ego wieku Biecz słynął z bogactwa i potężnych cechów, których majstrowie i „towarzysze“ zapraszani bywali nawet do Krakowa. Od roku 1572 do końca XVIII w. Biecz stopniowo podupada, co spowodowały zarazy, napady „tołhajów“ — opryszków, Węgrów i Szwedów, pożary — wreszcie walki konfederatów barskich z Moskałami. „Mały Kraków“ — Biecz leżał na wielkiej drodze handlowej; nic więc dziwnego, że beskidnicy strzegli tej drogi i w lasach okolicznych mieli swoje kryjówki. Grasowały tu całe ich bandy. W mieście działała bez przerwy szubienica, od której nawet nazwę otrzymała jedna z dzielnic miasta. Na rynku i na ratuszu, gdzie przechowywał się miecz, kat i jego pomocnicy jednego dnia ścięli stu dwudziestu węgierskich opryszków z ich hersztem Sają na czele. Jak z tego sądzić można, kat biecki miał nie byle jaką praktykę i musiał przeto stać się wykwalifikowanym specjalistą w swoim zawodzie. Tak było w samej rzeczy. Biecz posiadał osobny „cech katów“, który „małemu Krakowowi“ przysporzył nowej nazwy „grodu nauczania i wyzwania katów“. Mieli oni swego patrona, swój znak cechowy i nawet swoje „wilkomy“ — szklanice dla uczt zbiorowych, o czym Kasper Miaskowski tak pisał: „Jaki rzemieślnik tam szkło postawi, zielonym, złotym i szafirowym pędzlem i kształ-



tem pozornie nowym?" „Mistrzowie z Biecza“ — kaci — ci krwawi rzemieślnicy, lub „czerwoni towarzysze“, walczyli nawet o pierwszeństwo swego cechu przed „wielkim cechem“ kowali. Zarabiali wspólnie, jeżdżąc po różnych kasztelaniach posiadających „prawo miecza“ i spełniając swoje ponure czynności.

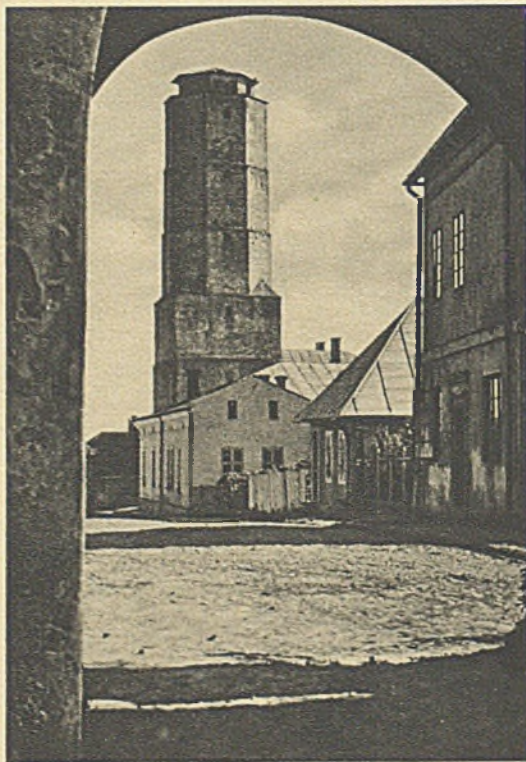
Kościół farny — piękny i dostojny, o trzech nawach i okazałej fasadzie gotyckiej datuje się od 1326 r. i, chociaż kilkakrotnie złupiony przez zaborców, przechował prawdziwe skarby starej sztuki kościelnej: rzeźbiony ołtarz drewniany w stylu flamandzkiego renesansu z końca w. XVI-go z bogatą polichromią i doskonałego włoskiego pędzla obrazem „Zdjęcie z Krzyża“, stallami barokowymi i amboną renesansową. Nowsze czasy przyniosły witraże i polichromię Włodzimierza Tetmajera. Biecz czci dwa nazwiska: Ligezy, dawnego kasztelana, i Kromera — historyka, biskupa warmińskiego i sekretarza trzech królów, którego dom przetrwał do naszych czasów. Na osobno stojącej czworokątnej dzwonnicy — zastępującej zapewne „bacznicę“ dawnej twierdzy, wisi ogromny dzwon „Urban“, odlany w r. 1302. Przechował się w Bieczu kościół reformatów, zbudowany na miejscu dawnego zamku starościskiego. Miasteczko żyje dość gorączkowym życiem jak zresztą każde inne, leżące w pobliżu terenów naftowych, bogate bowiem pokłady ropy naftowej znajdują się tuż-tuż na południu, nad tą samą rzeką, w okolicy Gorlic.

Jest to zachodni ośrodek galicyjskiego przemysłu naftowego. Szyby i rafineria nafty powstały nie tylko w bezpośrednim sąsiedztwie z miastem, ale i w całej okolicy na przykład w Libuszy i Gliniku. Gorlice są miastem młodszym od Biecza, Jasła i Krosna, gdyż powstały zapewne dopiero w w. XV-ym. Ze starych Gorlic prawie nic się nie zachowało, gdyż zniszczył je pożar w 1874 r. a potem wojna światowa 1914—18 r., gdyż tu właśnie załamała się ostatecznie groźna potęga Rosji. Kościół gorlicki tworzyli architekci i artyści włoscy, którzy obrali dla niego styl italskiego renesansu zachowując go w całym wnętrzu i wszystkich szczegółach. Wojna nielitościwie obeszła się z tym miastem i zrujnowała kościół i wiele charakterystycznych domków mieszczańskich. Po wojnie, już za czasów polskich powstały tu duże budynki; np. w nowej dzielnicy zwraca na siebie uwagę piękna siedziba Sokoła. W gmachu magistratu Łukasiewicz, którego pomnik stoi w Krośnie, robił próby destylacji nafty i konstruował pierwszą lampę. Za miastem ciągnie się rozległy, dobrze utrzymany park z pomnikiem Sło-



*Krośnieńska fara szczyli się pięknymi oltarzami*

wackiego i terenami sportowymi. Z gór Zamczysko, Baczniowa Górka i Nowa Wieś oko turyści sięga daleko ogarniając uroczą okolicę z wijącą się po niej wstęgą Ropy i dobiegając do Góry Małastowskiej, za którą już wznosi się grzbiet graniczny. I tu wszędzie widać troskę Polaków o ten kraj i jego kulturalne życie. Mówią o tym mury zburzonego pałacu Gładyszów w Szymbarku,



*Ratusz w Bieczu*

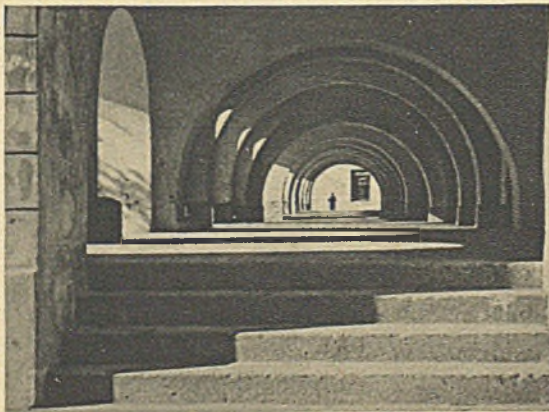
ków i dworów, otoczonych wałem i tynami, nadającymi im charakter fortalicji. Jednak i na nie nie pokładano zbyt wielu nadziei. Główną obronę na zachodzie powierzono kasztelanowi krakowskiemu, na wschodzie zaś włożono ją na barki wojewody ruskiego we Lwowie. Długi to był front, więc obronę kraju oparto na oporze

Sękowa z najpiękniejszym ongiś (zniszczyła go wojna) w Polsce drewnianym kościółkiem z w. XV i Wójtowa z innym starym kościółkiem, modrzewiowym i tryptykiem liczącym 400 lat. Tu, w tym kraju, gdzie w ruinach leżą twierdze, zamki warowne, klasztory i — kościoły obronne, ze szczególną mocą odżywają troski pokoleń polskich o tę krainę, której osłonić należycie nie zdołały same ściany Beskidu. Tak! Nie zdołały dać mu należytej obrony grzbiety Karpat. Zapewne zrozumiano to już za dawnych czasów i „górską bronią” wzmocniono szachownicą całą twierdz, klasztorów i kościołów obronnych — zamcz-

licznych zamków — rozproszonych po całej tej połaci, jednocześnie wkładając ciężki obowiązek utrzymywania składu broni, amunicji, prowiantów i roli głównej fortecy-bazy na Przemyśl, który podierały w czasie wojny na północ od niego położone i silnie obwarowane Przeworsk i Łańcut i jako magazyn żywnościowy i towarowy — Jarosław. Przemyśl powstał według Długosza w w. VII, na miejscu dawnych przedhistorycznych osad, czego dowodzą liczne wykopaliska, groby i kurhany. Jacyś długogłowi ludzie dyluwalni w tej miejscowości walczyli z mamutami i mastodontami, strzałami zaś o krzemiennych ostrzach obalali nieistniejące już w naszych czasach jelenie o wieńcach potężnych. W XII w., latopis Nestor znał już nazwę Przemyśla i sfałszował niektóre momenty jego dziejów ponieważ w epoce Mieszkowej gród ten nie należał jeszcze do Polaków. Odebrał go Włodzimierz, książę kijowski nie nam, lecz Pieczeniegom (E. Kucharski), przyłączył zaś do Polski Chrobry, ostatecznie zaś w w. XIV-ym Kazimierz Wielki, po czym to miasto obrotne, ludne i bogate dzieli losy całej Polski. Gnęb ją



*Krosno — rynek...*



*...i jego podcienia*

najazdy — Tatarów, Wołochów, Siedmiogrodzian, Szwedów, Kozaków i Rosjan, niszczą pożary, rujnują kupę swawolnego żoldactwa — przerażają choroby i wybuchające wojny domowe między butnymi magnatami ziemi przemyskiej i sanockiej. — Do drugiej połowy XVII w. Przemyśl

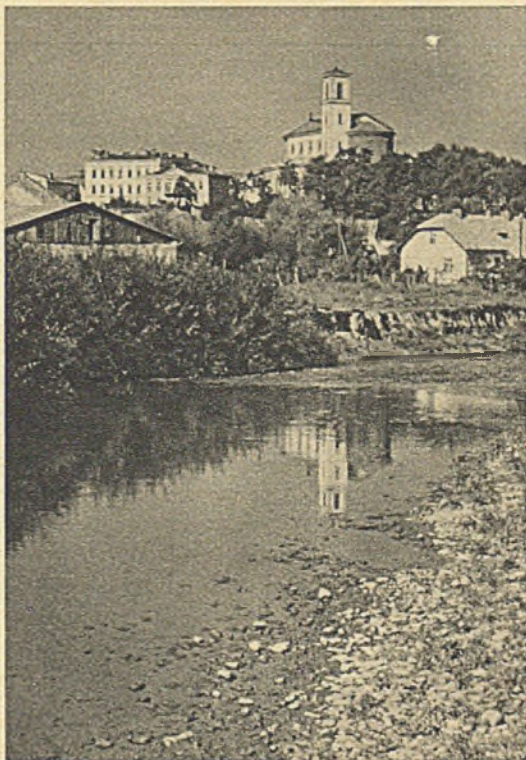
był miastem bogatym, słynącym z swoich obrotów handlowych i doskonałych mistrzów cechowych. Po dziś dzień jeszcze Przemysł ma wszystkie cechy dużego i ożywionego miasta, przechowując w swoich starożytnych murach, po których tylko szczątki pozostały na „Władyczu“, zabytki dawnej świetności. A były to istotnie czasy świetności niebywałej! „Ziemia przemyska — pisze W. Łoziński — góruje w Województwie Ruskim. Jest to ziemia klasyczna świetności i buty szlacheckiej. W niej — pielesz najstarożytniejszych rodów, w niej najżywszy ruch umysłów, najgładszy polor, najdawniejsze poczucie przywilejów i udziałności stanów; w niej koncentruje się niejako splendor nazwiska i dostojności całego województwa, z którego reszty ziem najchętniej tu spływa znakomitsza szlachta... Górująca nad województwem najstarszą w nim kulturą, najgęściej osadzona, najludniejsza, najbudownicza, najzabsobniejsza w miasta i miasteczka, najmożniejsza swoją liczną szlachtą jest zarazem najbujniejszą, najburzliwszą, najswawolniejszą. Ona głównie łączy województwo ze światem, z Rzeczpospolitą, z kulturą zachodnią i z ruchem umysłowym w Europie. Tu z całego województwa najwcześniej i najsilniej zakorzeniła się reformacja, tu najwięcej możnej szlachty zrywającej z katolicyzmem, najwięcej księży-



Biecz

apostatów — najgwałtowniejsza walka religijna. Tu najwięcej nauki, najwięcej politycznych talentów i politycznej opozycji, tu gniazdo — Herbur-tówi Orzechowskich“.

Najstarszym zabytkiem Przemyśla pozostaje jego zamek — zbudowany przez Kazimierza Wielkiego, a przebudowany rękami jeńców — Krzyżaków — po zwycięstwie grunwaldzkim. Obecnie pozostała już tylko część jego z basztami i murami w rozległym parku na Górze Zamkowej. Katedra biskupów przemyskich powstała w w. XV. Jest to gotyk przerobiony w 300 lat później na barok. Świątynia posiada skarby dawnej



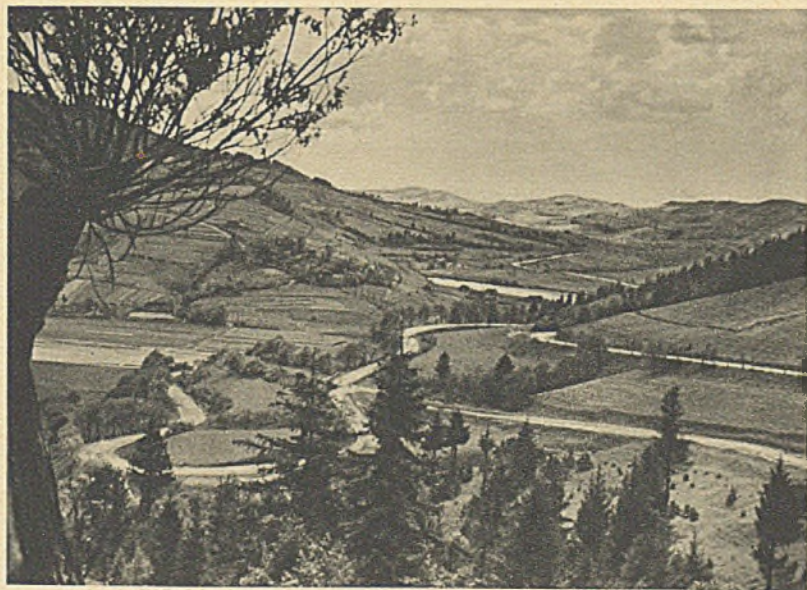
*Gorlice*

i współczesnej sztuki, starożytne sprzęty liturgiczne, nagrobki; tablicę pamiątkową grunwaldzką projektu K. Osińskiego, dłuta profesora Raszki; cenne ornaty, freski, malowidła i witraże. Przy katedrze wieża zegarowa; w pobliżu barokowy kościół Serca Jezusowego, tak zwany jezuicki; jest tu kościół franciszkanów i katedra biskupów ruskich, a dalej panuje nad miastem wieża kościoła na Karmelu; już poza obrębem dawnych murów miejskich stoi obronny kościół reformatów, których gwardian o. Szykowski na czele mieszczan przemyskich rozbił czambuł tatarski w r. 1672. Bogate archiwa, biblioteka, z miłością i znanstwem urządzone a ciągle wzbogacane muzeum T-wa Przyjaciół Nauk i inne np. diecezjalne zawierają skarby dla badaczy historii i ziemi przemyskiej. Z okolicznych wzgórz — „na Bu-

dach“ i „Zniesienie“ — roztacza się piękny widok na całe miasto i na dolinę Sanu. W niej, poza stolicą ziemi przemyskiej — a ostoją tego kraju — zachowały się piękne zamki: renesansowy Sapiechów — Krasiczyn z w. XVI-go o czterech basztach różnych nazw, oraz należący dawniej do Stadnickich, obecnie do rodziny Konarskich — w Dubiecku. Są one jak gdyby fortami dawnego warownego Przemysła. Dogorywają te zabytki dawnej możności i wspaniałości. Odegrały swoją rolę, dokonały wielkiego dzieła i umierają powoli te gigantyczne świadki przeszłości. Dobrze zasłużyły się ojczyźnie wszystkie te zmurszałe, pleśnią pokryte mury. Wszak wiernie broniły one podkarpackich rubieży i w wierności tej wychowały całą ludność, gdyż do połowy wieku XVII-go, wieku ogólnego oblędu i rozprzężenia w Polsce ani szlachta, ani mieszczaństwo nie dopuszczali się zdrad a nawet kmicie buntów nie wszczynali. Gdzież są ci kmiecie? Zmęło ich żarnami niedoli życie porozbiorowe, przetarły niby drzewo w tartaku, wojenne zawieruchy i klęski, dzieje ponure, zdradliwe, niczym opary nad bajorzyskiem. Ale w ziemi tej prapolskiej inni też przetrwali kmiecie: po tej i po tamtej stronie Sanu, po obu bokach Wielkiego Działu... Osobliwi kmiecie.



*Rusałka pawik na słoneczniku*



*Doliną Stryja wije się szosa ku Turce*

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### Z KORDEM PRZY RADLE



*Bóg i miecz!*

**Z**a Samborem zaczynają rosnąć wzgórza zielone. W głębokich rozłogach pług odwałił skiby i pociął pola brudami. W wąwozach, gdzie w gąszczu traw niewidzialne szemrzą ruczaje, skupiły się olchy, leszczyzny i młoda porośl bukowa. Przy drodze — kapliczki drewniane i murowane i krzyż — tuż nad urwiskiem Jablonki. Coraz więcej na szosie tłoczy się ludzi i wozów, a bocznymi drogami biegnącymi przez pola wiją się węże barwnych postaci. Wierna oznaka pobliskiego miasta! Jest nim Stary Sambor ze swym Powaliszczem, gdzie w XIV wieku



stał zamek obronny. Teraz w otoku dawnych rowów i wałów grodowych wyrosła tam cerkiew obszerna. Na rynku — stara brama, co niegdyś do zamku Włoszki Bony wstępu broniła. Wszystko sędziwe zabytki: dawne dworki szlacheckie i domy mieszczańskie —



*Kościół Sambora*

niejszym pośród nich — cudowną „Madonną Busowiską“, która broniła nieraz ludności przed złą mocą, co czai się w szczelinach „Diabelskiego Kamienia“, gdzie głowę groźną unosi rozparty niebdale „Szatan“, w skalicach uwięziony.

i tylko kościół katolicki w stylu nowo-romańskim — jasny, młody i wesoły przygląda się połyskliwej łusce Dniestru. W okolicy czczone są — „święte miejsca“ Rusinów — Ławrów, Spas i dawna rezydencja biskupów ruskich z klasztorem bazylianów, i bardzo piękną drewnianą cerkwią, nabijaną zębami ludzkimi, co, jako wota, miały chronić od cierpień. Nieco dalej leżą Busowiska ze starą okrągłą cerkiewką drewnianą. Przysadzista — nisko-okapowa ukrywa ona w mroku swej nawy wiele starożytnych sprzętów liturgicznych i obrazów z najsłyn-

Wśród wierzb, klonów, lip i buków sunie droga dolinami aż wznosić się zaczyna powoli na wzgórze zielone i dobiega Strzyłek, Topolnicy i Jasienicy. Przez pola dążą do cerkwi barwnie odziane kobiety i stateczni gazdowie w lejbykach. Już biją dzwony na starej dzwonnicy z galeryjką pod dachem dranicowym, porostami żółtymi i rdzawymi upstrzonym. Odcina się ona od tła drzew ciemnych i łąk szmaragdowych, kwiecistych. A może do Rozłucza z jeszcze starszą cerkiewką idzie ten ludek pobożny? Pięknie tam w zielonej kotlinie, wśród lasów iglastych, gdzie na polanach słonecznych stanęło duże schronisko narciarskie, malownicze wille przytulne, gdzie nad doliną potoku zawisł zuchwale wiadukt łukowy, pod którym syczy i warczy wodospad spieniony... Znika to wszystko za działem wysokim. Za nim na zielonym pagórku w cieniu drzew, niby pagoda buddyjska o trzech „stupach“ wymyślnych, podnosi kształtne kopułki cerkiewka. Jej krzyże wyciągają ramiona ku białej wstędze Stryja, co pomiędzy Pikujem a Czarną Ripą się zrodził i zbiegł z bieszczadzskich uskoków. Dalej — wśród łysych gór, przecięta wiaduktem kolejowym, który krzyżuje się z rzeką, szosą i mostem, ukryła się Turka. Szare skupienie starych, lichych domów, kościół z cudowną Bogarodzicą, kilka nowych gmachów murowanych, bulwar i wyboista szosa, rozjeżdżona i poarana ciężkimi kołami podwozi, naładowanych drzewem, skazanym na męki w tartaku. Za miastem suną ku południowi nagie góry, nędzne łaniki żyta i owsa, z rzadka — młody zagajnik lub niskie zarośla, samotne chaty, szare pola i szarzy na nich ludzie i tak — aż do Sianek, granicznej osady pod przełęczą Użocką.

Turka! Nazwa nic nie mówiąca, zapomniana... Od niedawna dopiero ożywiła tę nazwę — droga sercu polskiemu wiadomość, że w mieście tym wyłonił się samorzutnie pierwszy w odrodzonej Polsce powiatowy związek szlachty zaściankowej, zwanej tu zagrodową, by stać się przykładem dla innych powiatów Podkarpacia w organizacji i budzeniu sił uśpionych, w nagłym powrocie całej tej szlachty do porywu ojców i ofiarnej służby dla Ojczyzny.

Niby pożar na stepie rozpląmieniła się ta wieść i pobięta zapalając nagle budzące się serca polskie. Zbawienny, żywotwórczy płomień, co użyźnia glebę na dziesiątki i setki lat! Już powstało kilka okręgów Związku Szlachty Zagrodowej z Zarządem Głównym w Przemyślu, a organizacja ta, z ducha i woli rdzennie polska, ogarnęła już nie tylko całe Podkarpacie, ale przerzuciła się na Huculszczyznę, Podole, Wołyń a stąd na Polesie bagienne, na starą Nowo-

grodczynę i zasłużone w dziejach naszego państwa Wileńszczyznę i Ziemię Grodzieńską. Dziś jest to już potęga, z którą trzeba się liczyć poważnie, gdyż na arenę życia państwowego wystąpiła awangarda miliona potomków odwiecznych, wypróbowanych w największych bitwach i potrzebach Ojczyzny obrońców Jej i rycerzy. Mocą wielką i szlachetną brzmiały słowa, na których zbudowano i zatwierdzono w r. 1937 Statut Związku Szlachty Zagrodowej.

Posłuchajcie! Posłuchajcie, bo to przecież jest hasło w naszych czasach pozbawionych wielkich haseł!

„Ku większej chwale Rzeczypospolitej Polskiej, która wspólnym wysiłkiem wszystkich obywateli na szczyty potęgi wchodzi;

dla nawiązania do świetnych dziesięciowiekowych dziejów Narodu, który orężem na kartach historii wielkość swą zapisuje;

dla odnowienia świetności kresowego rycerstwa polskiego, które przy mieczu i pługu na kresach Pospolitej Rzeczy wierną straż pełniło;

dla nawiązania szlachetnych tradycji rycerskich do obowiązków obywateli wobec wskrzeszenia Państwa Polskiego tworzy się Związek Szlachty Zagrodowej“.

Koło Turki mają swe źródła rzeki — San, Stryj i Dniestr, Stąd ta kraina karpacka posyła wieść o sobie Bałtykowi i morzu Czarnemu. Nazwę swoją wywodzi miasteczko od turów, podobno, żyjących niegdyś w puszczy okolicznej, co do w. XV-go okrywała tę połąć od Karpat po Stary Sambor. Władął tą krainą puszczańską rycerz znamienity — Spytko z Melsztyna, a do swojej drużyny wcielał wołoskich rycerzy i na boje ich prowadził z Krzyżakami i hordą skośnooką. Niektórzy z nich wielce się zasłużyli w wojennej potrzebie i królowi Jagielle znani byli poimennie. Jednemu to z nich — niejakiemu Wańczy, może Szymonowi i jego potomstwu król Władysław w r. 1431 nadał na wieczne czasy Turkę z puszczą nad Stryjem i granicą węgierską leżącą. Wiernie służyli Wańczowe potomki Jagiellonom, a jeden z nich Janko de Thurca z Warneńczykiem wyruszył na turecką potęgę, za co otrzymał ziemię nad Sanem, nazywaną Ternowym Polem. Ród wyprowadzający się od Wańczy Wołocha tak szybko mnożyć się począł, że w sto pięćdziesiąt lat później panowie „Tureccy“ dziedziczne ziemie gęsto wsiami pokryli, nazywając się od miejscowości lub zajęcia Tureckimi, Jaworskimi, Ilnickimi, Komarnickimi, Wysoczańskimi i Matkowskimi, a wszyscy, jak jeden mąż, po dziś dzień klejnotem pradziada Wańczy się pieczętują. Klejnot to stary,

węgierski „Sas“ — w polu niebieskim półksiężyc złoty, rogami do góry, ze strzałą we środku i dwiema gwiazdami po obu rogach. A nad tarczą herbową — hełm rycerski o pięciu piórach strusich, strzałą przewleczonych. O rycerzach herbu tego napisał Długosz,



*Kościół w Turce*

że byli prawdomówni, odważni i mocarni, dygnitarstw nie żądni, lecz do krwi przelewu pochopni. Włość turczańska zaludniła się gęsto potomkami Tureckich lub Turczańskich, którzy sami wygaśli



*Szlachcic zagrodowy  
z Mielnicznego*

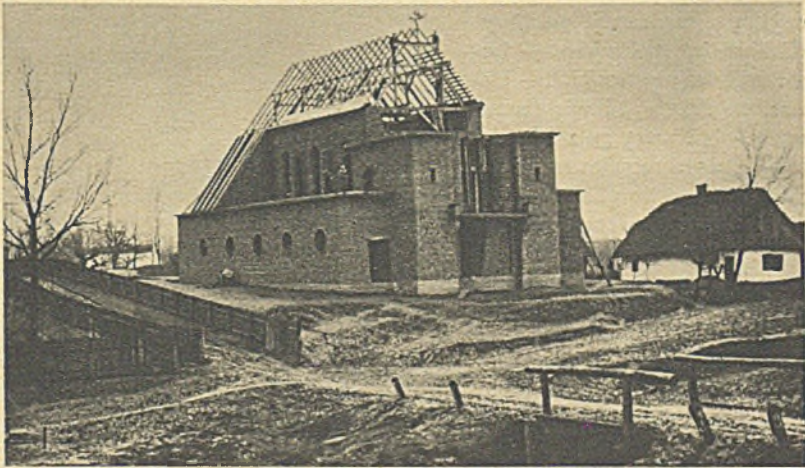
w połowie w. XVIII-go. Za to rozrodzili się bogato Jaworscy, Wysoczańscy, Komarniccy, Ilniccy, Matkowscy, Bratkowscy, Pulnarowicze, Grabscy, Nanowscy, Zalescy, Dobrzańscy, Wyszotrawkowie, Błażowscy, Gagałowicze-Łoniewscy, Turzańscy, Dunin-Borkowscy, Hoszowscy, Czarneccy, Opaccy, Dolińscy, Fiałkowscy, Stolnikowiczowie-Wysokińscy, Rozwadowscy, Klityńscy, Baczyna-Wołczańscy, Urbańscy, Krasowscy, Kopystyńscy, Czyczerscy, Radeccy, Kraśniccy, Lewicy, Sozańscy, Jasińscy, Lipeccy, Bilińscy, Stotyłowicze, Uniatyccy, Polańscy, Stebniccy, Monasterscy, Kropiwniccy-Cołyżyce, Dąbrowscy, Żurakowscy i Zubrzycy, a wszyscy kość z kości i krew z krwi

pra-pradziada Wańczy Sasa-Wołocha, rycerza króla Jagiełły, i pradiada — Janka Tureckiego, towarzysza wojennego Warnieńczyka. W w. XVI zaczynają spadać na te rody kłębki; komisje królewskie bowiem postanowiły sekwestrować niektóre ziemie, uważane przez Sasów za swoje. Jeden z Ilnickich w tym samym czasie hardo przypomniął królowej Bonie, że jest ona królową w swoich dobrach, on zaś króluje w swojej wsi. Miało to powiedzenie dwa skutki: Ilniccy otrzymali przydomek „król“, a mściwa Włoszka zaprzysięgła „królowi na Ilniku“ odwet. Od tego czasu ciągle trwały procesy sądowe, delegacje ze skargami na sejmy i swary nieskończone. Wreszcie musiało przyjść zubożenie — i „schłopienie“. Ten i ów z Ilnickich-Matkowskich, czy Wysoczańskich — pracując przy pługu, kroczył po bruździe bosa i o szlacheckim jego prawie, krwi i honorze świadczył kord — na pasie rzemiennym



*W turczańskiej ziemi żyją po zaściankach szlacheckie tradycje*

wiszący. Miecza czy szabli nie mógłby nigdy porzucić, bo wszak umiłowaniem jego była służba rycerska w chorągwiach królów i magnatów oraz w piechocie łanowej. Lubiła bitna szlachta rzemiosło wojenne, więc w r. 1648 przeciwko Kozakom stanęło 70 Jaworskich, 26 Bilińskich, 26 Kruszelnickich, osiadłych wówczas w Skolyszczynie, 19 Matkowskich, 15 Komarnickich, 14 Wysoczańskich, 13 Illickich i zbrojna kupa innych z różnych okolic ziemi przemyskiej i sam-



*W Krynicy Szlacheckiej powstają mury nowego kościoła*

borskiej. W r. 1657 na Rakoczego uderzyło 300 Sasów turczańskich pod regimentarzem Jerzym Borysławskim. Stawiali się też licznie na sejmikach wiszeńskich i sejmach elekcyjnych w Warszawie, by nowego króla na tron Rzeczypospolitej obierać. Pośród turczańskiej szlachty było wielu, pełniących obowiązki senatorów, komorników, strażników, mieczników, wojskich, komendantów granicznych, podczaszych, podstolich, rotmistrzów, łowczych, starostów, burgrabich, sędziów, cześników — i wiele innych spełniali panowie turczańscy służb publicznych i wojskowych; były też pośród nich osoby duchowne a także i układni dworacy. „Życie rycerskie w ciągłych wyprawach na Tatarów, Turków i Kozaczyznę wytworzyło w szlachcie rycerski animusz, odwagę, a także porywczosć do korda w życiu prywatnym“ — zauważa w swojej „Historii pow. turczańskiego“ W. Pulnarowicz. Istotnie panowie z nad źródeł

Dniestru, Stryja i Sanu często-gęsto brali udział w zajazdach, raptach i potyczkach granicznych, które nie raz głośnym echem obijały się nawet o Warszawę. Stefan Turecki z Turki — rotmistrz straży smolackiej — czyli pogranicznej, pochwycił herszta „tołhajów” — bekskidników węgierskich — Beczca, po długiej bitwie samowtór, obaliwszy go z koniem i — związanego osadziwszy w wieży samborskiej. — Bekskidnicy przez zemstę napadli na dwory panów Tureckich i wyrządzili im szkód na przeszło półtora krocie sto tysięcy złotych. W rok później pan Stefan pochwycił syna Beczowego i do Przemyśla go odstawił, z jakiego powodu wynikły długo trwające narady, targi i pertraktacje. W r. 1729 Turkę nabył członek halicki Kalinowski i uzyskał dla niej prawo grodzkie.



Zagrodowa szlachta Podkarpacia szła z królem Sobieskim pod Wiedniem na boje z Turkami

W Turce mieście osiedlili się Sasi Turczańscy, bo niektórzy z nich byli podupadli już ostatecznie, wycuci z ziemi i z braku kościołów częstokroć zruszczeni, choć w owych czasach rodziny polskie z ruskimi łączyły związki małżeńskie, kumostwo i przyjaźń, a nikt wtedy nie szerzył jeszcze wrogości pomiędzy nimi, dziećmi jednej matki — Polski. Wie o tym i dziś szlachta turczańska, stara i napływowa, katolicka czy już zruszczona, bo oto Sasi z nad Stryja, Sanu i Dniestru nie tylko byli obrońcami oj-

stateczny i dostoyny, do obcych odnosząc się z uprzejmością, ale bez cienia uniżoności. Szlachcianki turczańskie przechowały piękne maniere, a w obcowaniu są niezmiernie ujmujące, okraszając rozmowę wyszukаныmi wyrazami i komplementami. „Miłościwy panie, jakżeż ja rada szczo was uwiadała!” — wita szlachcianka gościa bez najmniejszego zakłopotania, pamiętając dobrze, jak to swego czasu jeden z Ilnickich oświadczył hardo królowej — cudzoziemce, że sam jest „królem” na swojej zagrodzie. Twardy to lud, uparty

czyzny na tych ciągle zagrożonych kresach, ale i po rozbiore Polski, zdziesiątkowani i zubożali, tłumnie zaciągają się do oddziału konfederata Franciszka Pułaskiego a potem do legionów polskich, by pod wodzą Napoleona walczyć o niepodległość kraju. Iluż tej szlachty zaściankowej przyłączyło się do wszystkich naszych powstań, do wojsk generała Bema i wreszcie gdy od jałowych i nagich gór u źródeł Dniestru, Sanu i Stryju głośnym echem odbiło się wezwanie marszałka Józefa Piłsudskiego, młodzi Jaworscy, Matkowscy, Bratkowscy i Ilnicy sypnęli się bez namysłu i bez wahań do związków strzeleckich. Wszędzie można poznać tę szlachtę naszą starą, bo ani po łemkowsku, ani po bojkowsku się nie noszą, inny mają wygląd zewnętrzny,



Znak związku szlachty zagrodowej



Pieczęć szlacheckiej gminy z herbem Sas

i wytrzymały, tyle już biedy się nałykał, tyle klęsk doświadczył, a zdzierzył wszakże i nie ustąpił z ziemi, którą przekazał mu praszczur, wierny rycerz Jagiełłowy, Wańcza Wołoszyn, potomek wojowników-Rzymian, za cesarza Trajana osiadłych w Siedmiogrodzie.

W innym też miejscu, w górzystej okolicy na południe od wroznego Przemysła jeszcze w r. 1367 otrzymał od króla Kazimierza



*Młode szlachcianki z Turczańskiego*

niejaki Stefan Węgrzyn obszary nad Wiarem z osadami — Rybotycze, Uhelniki, Sierakowce i trzema klasztorami ruskimi. Tak to hojnie wynagrodził król swego dworzanina wiernego i chętnego w czasie wojny i pokoju. Już w dwa lata później na pewnym dokumencie — podpisał się ów Węgrzyn, jako Szczepan Wołoszyn — Rybotycki (L. Wyrostek). Długosz daje możliwość ustalić, że Rybotycki pochodził z Dragów Sasów marmaroskich, więc znowuż, jak i pa-

nowie turczańscy, od wojennych osadników rzymskich ród swój wywodził. Ojciec Stefana był wojewodą wiernym królowi Ludwikowi. Synowie pierwszego Rybotyckiego, Radko i Iwanko, podzieliwszy włość ojcowską, dali początek licznym gniazdom Drago-Sasów na ziemiach Rusi Czerwonej. Od nich w prostej linii wywodzą się wszystkie gałęzie Rybotyckich, a więc: Brześciańscy, Buchowscy, Hubicy-Biskowiccy, Wołosieccy, Chłopiccy, Tarnawscy, Mrochowscy, Popielowic, Terleccy, Tustanowscy, Tatomirowie, Dzieduszyccy i Strzetyńscy. Widzimy ich niebawem rozsiedlonych po całym Podkarpaciu aż po Jasiołkę, a dolinami rzek posuwających się popod sam grzbiet Beskidu Niskiego i Bieszczadów. Był to lud wojenny, zadzierzysty, pracowity i uparty, a w wiernej służbie dla dobra ojczyzny nie ustający. Przedstawiciele rodów, pochodzących od Szczepana Wołoszyna Drago-Sasa Rybotyckiego, brali udział we wszystkich



wojnach Rzeczypospolitej, zapuszczając się na Dzikie Pola i na niezmiernie obszary moskiewskie, pędzili ciężkie lata w niewoli tureckiej i tatarskiej, gromili atamanów kozackich, czambuły ordynców, janczarów sultańskich, sabatów węgierskich, rajtarów szwedzkich, beskidników, bojarów i włodyków moskiewskich, gromili wszystkich lub ginęli, gdy taka była wola króla, hetmana i wojewody, w imię ojczyzny rzucających gromką komendę: „W nich — bij!” Oni też — ci Sasi podkarpaccy nie mogli usiedzieć po swoich schedach, gdy Napoleon, Kościuszko, Dwernicki, Bem, Traugutt, Piłsudski potrzebowali serc gorących, mocnych dłoni i wiernych dusz, więc znowu opuszczali swoje wsie i dworki i szli na poniewierkę, trudy, niewolę, śmierć i zwycięstwo.

Rozejrzawszy się jednak dobrze po całej połaci Podkarpackiej, która rozparła się od uskoków Beskidu Zachodniego aż po Białą Czeremosz, wnknijmy w dzieje osiadłych

tu Polaków, w ich nazwiska i nazwy ich wsi, przeszukajmy zmurszałe i spleśniałe szpargały próchniejące po archiwach, a znajdziemy więcej tej szlachty i mnogie tysiące prawnuków rycerzy Piastowych i Jagiellonowych. Pędzą oni cichy, szary żywot na swych schedach w obwodach — przemyskim, turczańskim, samborskim, leskim, sanockim, stryjskim, skolskim, dobromilskim, na Tucholszczyźnie, w Beskidzie



*Kompania szlachecka pułku podhalańskiego*

Huculskim i w głębokich dolinach Czarnohory. Odnaleźć ich musimy, bo ich to rękami wielcy panowie polską uczynili całą tę krainę przeogromną, przy ich udziale rzucili tu siew zachodniej kultury, krwią ich i potem użyźnili ziemię jałową, nie po to przecież, by nieprzyjaciele nasi po odwieczną polską ojcowizną chciwą wyciągali dłoń! Nie po to! Czuje to zubożała, rozdrobniona, spracowana

a bojowa, pamiętliwa szlachta podkarpacka i dlatego to Związek Szlachty Zagrodowej wylania Zakon Rycerski na nową zażartą o Polskę rozprawę, dlatego to synów swoich z dumą i radością widzi w kompaniach szlacheckich w malowniczych, dzielnych, orlich pułkach Strzelców Podhalańskich, czujących pod stopami rodzimą, od wielu stuleci własną ziemię. Ona przemawia do nich wszystkim: powiewem wiatru od gór, szelestem traw i ściernisk, pogwarem drzew, pluskiem wartu rzecznego i każdym odgłosem znojnego życia tej zielonej, łagodnej krainy. Gdy zaś w pelerynach rozwiewnych, niczym skrzydła do lotu gotowe, twardo, po żołniersku kroczą ich hufce żelazne migocąc piórami i błyskając żądlami bagnatów, stare mury twierdz polskich, gdzie gnieźdzą się myśli i troski o dobro i wielkość ojczyzny, pochwytyują echa ich kroków i ciskają w wyż i w dal, do najodleglejszych rubieży Rzeczypospolitej śmiały okrzyk woli dumnej pełen i mocy:

— Nasza — polska to ziemia!



*Szlachcianka z dworu podkarpackiego*

## ŹRÓDŁA ILUSTRACYJ

- ARCHIWUM MIASTA LWOWA:** 220;  
**BARZYKOWSKI T.,** Mościce: 135g;  
**BIBLIOTEKA BAWOROWSKICH,** Lwów: 252/3;  
**BIBLIOTEKA RACZYŃSKICH,** Poznań: 16, 17, 18, 23, 38, 50, 53, 54, 120, 121, 149, 208, 216, 219, 231, 232;  
**CENTRALNE BIURO INWENTARYZACJI ZABYTKÓW SZTUKI,** Warszawa: 39d, 236;  
**CZUBAK J.,** Krynica: 36, 37;  
**FLACH Z.,** Drohobycz: 172g, 173d, 215d;  
**GAŚSIOROWSKI H.,** Grudziądz: 169d, 193;  
**HŁASKO W.,** Lwów: 201gd, 202gd, 203, 204g;  
**JAKLIŃSKI H.,** Poznań: 256;  
**JAROSZYŃSKI J.,** Warszawa: 139, 141, 142, 143, 146, 150, 196gd, 197;  
**JEDLIŃSKI J.,** Solec n. Wisłą: 250d;  
**KOŁO MIŁOŚNIKÓW FOTOGRAFII (Sekcja Geograf. T. W. W. — fot. W. Loga):** 204, 205;  
**KOMISJA ZDROJOWA, Żegiestów:** 35;  
**KUPIEC B.,** Lwów: 84;  
**LENKIEWICZ A.,** Lwów: 7g, 8, 14/15, 49g, 109dg, 110, 111, 112, 117, 118, 122, 123, 124, 132/3, 135d, 138, 144, 145, 169g, 170/1, 172d, 173g, 178, 184, 187, 192, 206, 207, 213, 226, 245g, 246;  
**LESZCZYCKI S.,** Kraków: 27d, 28, 59, 75gd, 88;  
**LOPP. (fot. J. Ryś, Warszawa):** 130, 131;  
**MACIEJEWSKI J. K.,** Boernerowo: 27g, 152, 155, 156g, 161d, 181, 188, 189;  
**MIERZECKA J.,** Lwów: 214;  
**MIKOŁASCHOWA R.,** Lwów: 26, 55gd, 182/83, 244;  
**MINISTERSTWO KOMUNIKACJI (Wydział Lotnictwa Cywilnego — fot. S. Knappc, Dęblin):** 129;  
**MUZEUW LUBOMIRSKICH,** Lwów: 174;  
**MUZEUW NARODOWE,** Warszawa: 168;  
**MUZEUW WIELKOPOLSKIE,** Poznań: 136, 137, 245d;  
**OSSENDOWSKI F. A.,** Warszawa: 107, 134;  
**PODDĘBSKI H.,** Warszawa: 48, 94, 104, 105, 140, 194, 195, 198, 199, 200, 229;  
**PUCHALSKI W.,** Lwów: 1, 7d, 167, 190, 191;  
**REINFUSS R.,** Gorlice: 29, 44gd, 45gd, 49d, 56, 57d, 58gd, 64gd, 65gd, 66ab, 67ab, 68gd, 69, 70, 73, 74, 76, 77, 78, 79, 80gd, 83gd, 87d, 89, 90abc, 93abc, 147gd, 151gd, 156d, 157, 158, 159, 160gd, 161g, 221gd, 222;  
**RYBOTYCKI T.,** Poznań: 177, 250g, 252d, 253d, 254, 255;  
**TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK,** Poznań, 108, 148, 230d;  
**URZĄD KONSERWATORSKI,** Lwów: 60, 63, 87g, 97, 119, 223d, 249;  
**RZ.-KAT. KOMITET BUDOWY KOŚCIOŁA,** Krynica Szlachecka: 251;  
**WALCZAK W.,** Kraków: 12, 13, 57g;  
**WASUNG A.,** Kielce: 11;  
**WIECZOREK A. M.,** Zakopane: 34gd, 40, 43, 239, 240, 241gd, 242, 243;  
**ZAKŁAD ZDROJOWO-KAPIEŁOWY J. i E.** hr. Żaluskich, Iwonicz: 3, 6, 46/7, 85gd, 86, 98/9, 100, 103, 106;  
**ZAKŁAD ZDROJOWY,** Krynica: 30, 33;  
**ZAKŁAD WYCHOWAWCZY OO. JEZUITÓW,** Bąkowice p. Chyrowem: 223g;  
**ZAMOJSKI T.:** 215g.

Liczby podają stronę, litery przy nich wskazują położenie (lewe, prawe, górne, dolne), względnie porządek (a, b, c).

## OBJAŚNIENIA DO ILUSTRACYJ

- |   |   |
|---|---|
| <p>16: Fahijański (Tygodnik Ilustrowany 1863);</p> <p>17: H. Grabiński (Tygodnik Ilustrowany 1871);</p> <p>18: z książki B. Z. Stęczyńskiego „Tatry“, 1859;</p> <p>23: z książki B. Z. Stęczyńskiego „Tatry“, 1859;</p> <p>24: wg. rys. z XVI w. (Dzieje Polski ilustrowane);</p> <p>25: wg. rys. z XVI w. (Dzieje Polski ilustrowane);</p> <p>38: J. Matejko (Tygodnik Ilustrowany 1868);</p> <p>39g: wg. akwareli Rudolfa Alta, 1840 r. (Arkady 1938);</p> <p>50: J. Matejko;</p> <p>53: J. Matejko (Kłosa 1872);</p> <p>54: z książki B. Z. Stęczyńskiego „Tatry“, 1859;</p> <p>108: wg. rys. portr. L. Letronne'a;</p> <p>120: Kostrzewski (Tygodnik Ilustrowany 1863);</p> <p>121: Tygodnik Ilustrowany 1863;</p> <p>136: rycina ze zbiorów Bibl. Pawlikowskich (Wł. Łoziński — Życie polskie w dawnych wiekach, 1912);</p> <p>137: wg. akwareli J. Kossaka;</p> <p>148: z albumu Lewickiego;</p> <p>149: I. Styfi (Tygodnik Ilustrowany 1864);</p> <p>168: T. Axentowicz;</p> | <p>174: wg. akwareli ze zbiorów Biblioteki im. Gwalberta Pawlikowskiego;</p> <p>182/3: wg. akwareli P. Mikolascha;</p> <p>208: Tygodnik Ilustrowany 1879;</p> <p>216: Tygodnik Ilustrowany 1864;</p> <p>219: W. Grabowski (Kłosa 1882);</p> <p>224: wg. miniatury z „Liber genealog. Illustr. Familiae Schidlovicidae“ (Polska, jej dzieje i kultura, tom I);</p> <p>225: wg. polichromii drewn. kościoła w Libuszy pod Bieczem (Polska, jej dzieje i kultura, tom I);</p> <p>230g: wg. miedziorytu L. Kiliana;</p> <p>230d: „Franciszek Smiadecki Malarz Krak. do Druku podał“ — drzeworyt w XVII;</p> <p>231: L. Wyczółkowski (Kłosa 1878);</p> <p>232: J. Matejko (Tygodnik Ilustrowany 1866);</p> <p>233g: wg. portretu olejnego w kościele farynym w Bieczu (Polska, jej dzieje i kultura, tom I);</p> <p>233d Wilkom cechu wielkiego w Bieczu z r. 1691 (Własność Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie — Arkady 1936);</p> <p>234: karta tytułowa z „Mnicha“ M. Kromera, wydanie kolońskie 1568 (Polska, jej dzieje i kultura, tom I);</p> <p>235: karta tytułowa z „Historii“ J. Długosza, wydanie z r. 1615 (Polska, jej dzieje i kultura, tom I);</p> <p>245d: z albumu A. Grotzgera.</p> |
|---|---|

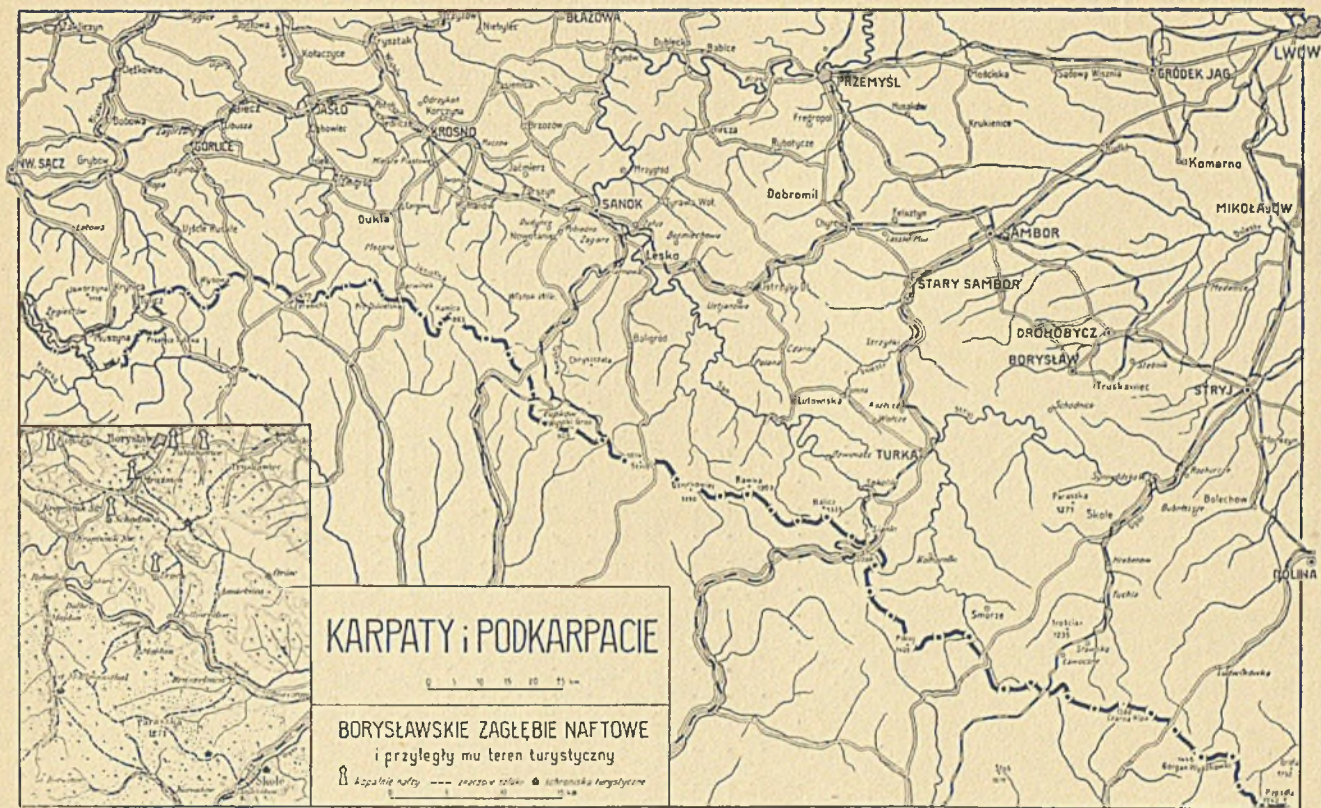
## SPIS RZECZY

	Str.
I: MILCZĄCE DZIEJÓW ŚWIADKI . . . . .	7
II: OSTATNIE USKOKI BESKIDÓW ZACHODNICH . . . . .	27
III: POMIĘDZY DWIEMA PRZEŁĘCZAMI . . . . .	39
IV: LEMKOWSZCZYŻNA . . . . .	49
V: KU PRZEŁĘCZY DUKIELSKIEJ. . . . .	85
VI: BESKID . . . . .	109
VII: BIESZCZADY . . . . .	135
VIII: BOJKI . . . . .	147
IX: WE WSCHODNICH USKOKACH BIESZCZADÓW . . . . .	169
X: PIEKŁO GALICYJSKIE . . . . .	201
XI: BESKIDNICTWO . . . . .	215
XII: NA SZLAKACH KUPCÓW I NAJEŹDŹCÓW . . . . .	223
XIII: Z KORDEM PRZY RADLE . . . . .	245
ŹRÓDŁA ILUSTRACJY . . . . .	257
OBJAŚNIENIA DO ILUSTRACJY . . . . .	258

~~BIBLIOTEKA~~  
~~Państwowego Liceum Pedagogicznego~~  
~~w GLIWICACH~~

~~Nr. 289~~







STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

K18760